tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 17 (1320)
22-27.04.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Końskie – sztuka strzelania sobie w kolano

Andrzej Sikorski Berczyński – smoleński macher

Anna Wyrwik Mazury przed sezonem

Zbigniew Marcin Kowalewski Polskie legiony na Haiti

ANDRZEJ DUDA
WESOŁEK NA TRONIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311508 17

eprasa.pl 4b4797ed

NEONOWA OPOWIEŚĆ O UCIECZCE I POŻĄDANIU

FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY

MOTEL DESTINO

REŻYSERIA
KARIM AÏNOUZ
(„NIEWIDOCZNE ŻYCIE SIÓSTR GUSMAO")

W KINACH OD 25 KWIETNIA

AURORA

Jerzy Domański

Pustosłowie patriotyczne

No i po świętach. Miłych, choć nie zawsze, bo polityka mocno dzieli i skłóca nawet najbliższych. Umęczeni wędrówkami po kraju i odwiedzaniem rodziny, dość powszechnym narzekaniem i marudzeniem, wracamy do pracy. By odpocząć przed świętami majowymi. Bo choć teraz panuje moda na podkreślanie, że najważniejsza jest Polska i najważniejsi są Polacy, mało kto odmówi sobie świętowania przy grillu. Zamiast udziału w pochodach i marszach. Biało-czerwona w deklaracjach jest wszechobecna, tyle że nijak to się nie przekłada na eksponowanie flagi narodowej w miejscach, w których mieszkamy. Gdyby policzyć armię polityków patriotów, ich wyborców i tych, którzy deklarują miłość do biało-czerwonej, to Polska, jak Stany Zjednoczone w czasie ich świąt, powinna się mienić barwami narodowymi. Nic z tego. Tak niestety nie jest i nie będzie. A będą politycy znani ze szczególnie gorliwego patriotyzmu, których paparazzi złapią – flagi u nich nie uświadczysz.

Pustosłowie patriotyczne ma swój odpowiednik w sacrum. Przestrzeganie przykazań kościelnych jest dla wielu prawicowców zbyt ciężkim obowiązkiem, by mu na co dzień potrafili sprostać. Pod względem liczby rozwodów bogobojna prawica jest zdecydowanym liderem. A pomysłowości w złodziejstwie mogliby od białych kołnierzyków prawicy uczyć się zawodowi przestępcy.

Oglądałem debatę w Końskich i najkrótsza recenzja jest taka. Między tym, co tam słyszałem i widziałem, a tym, co później ogłosili pretendenci, ich sztaby i związane z nimi media, różnica jest taka jak między dniem i nocą. Wartki potok brudu i kłamstw. Polacy nie mają na tę hucpę większego wpływu. Możemy więc tylko sygnalizować, że w tej brudnej grze nie ma żadnych zasad. Paru kandydatów walczy o polityczne życie i jak tonący będą wciągać w bagno każdego, byle siebie uratować.

Czytelnicy ostro krytykują ludzi z Nowej Lewicy chodzących do radiowęzła PiS i telewizji Karnowskich. Mają rację, bo to zwykła głupota i kompromitacja tej formacji. Trudno jednak dyskutować z masochistami, których tam pisowscy wyjadacze wykorzystują i ośmieszają. Nie przeszkadza im nawet to, że firmują grupę rekonstrukcyjną PiS. Formację, która po ośmiu latach złodziejstwa na niebywałą skalę nie zdobyła się nawet na cień refleksji. Nie ma śladu skruchy. Najbardziej pazerni i bezczelni złodzieje są pod ochroną partii. PiS staje w ich obronie. I chce za wszelką cenę sparaliżować sądownictwo i prokuraturę. Zastraszanie i groźby ze strony pisowskiej grupy przestępczej są ostatnią redutą obrony. Przed prawem i sprawiedliwością.

BĄKOWSKI

Ukazał się nowy numer
ZDANIA (1/2025)

„Troje na jedną”
z MAGDALENĄ ŚRODĄ
„Jestem socjalliberałką”
W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b4797edfc

W NUMERZE

KRAJ

8 **Sztuka strzelania sobie w kolano**
Wpadki Trzaskowskiego i lewicy

12 **Macher smoleński**
Prokuratura poszukuje Berczyńskiego

14 **Wesołek na tronie**
Dorobek Dudy liczony w memach

18 **Ziemia niepojęta**
Wilimowski i paradoksy śląskości

22 **Bank rolny potrzebny natychmiast**
Dlaczego w Polsce go nie ma

25 **Adwokat od „trumien na kółkach" skazany**
Po dwóch latach zapadł wyrok

26 **Mazury przed sezonem**
Remonty, budowy, nowi kolonizatorzy

HISTORIA

30 **Czerwoni Khmerzy i maraton eksterminacji**
Jak Pol Pot został „naszym sukinsynem"

ZAGRANICA

34 **Włosi nie chcą „turystyki kanapkowej"**
Bilety wstępu i limity

54 **Schody niezgody**
Sagrada Família znów w centrum sporu

SPORT

38 **Wyboista droga Leo Beenhakkera**
Raz sukces, raz pech

KSIĄŻKI

40 **Antykolonialna rewolucja – rozmowa ze Zbigniewem Marcinem Kowalewskim**

KULTURA

44 **Wojciech Łaski. Fotografia reporterska**
Pierwsza taka retrospektywa

46 **Anioły w Warszawie przeciw obojętności**
Teatr o AIDS

49 **Qulturalia**

66 **NEOromantyzm Macieja Raucha**

PSYCHOLOGIA

50 **Siła strachu**
Współczesny świat nasila lęki

ZDROWIE

56 **Jak jelita rozmawiają z mózgiem**
Jelitowy układ nerwowy

ZWIERZĘTA

59 **Empatia słoni**
Nawet ludziom pomogą

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Pustosłowie patriotyczne

21 **Jan Widacki**
Polityka i śmigus-dyngus

37 **Roman Kurkiewicz**
My, dinozaury gutenbergowskie

43 **Tomasz Jastrun**
Starość i młodość

53 **Wojciech Kuczok**
Przeminęło z wiadrem

26
KRAJ

MAZURY PRZED SEZONEM
Remonty, budowy, nowi kolonizatorzy

38
SPORT

WYBOISTA DROGA LEO BEENHAKKERA
Raz sukces, raz pech

59
ZWIERZĘTA

EMPATIA SŁONI
Nawet ludziom pomogą

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b4797edfc

Warto było

Z wielkim sentymentem przeczytałem rocznicowy materiał „Warto było” o 75-leciu ZSP, mojego ZSP. Nasunęła mi się refleksja, iż w zebranych relacjach dawnych działaczy koledzy mówili o kolegach, a przecież tyle wspaniałych dziewcząt współtworzyło ZSP na wszystkich polach działalności organizacji. Wspomnę jedynie te mi najbliższe, bo z tej samej uczelni i z tego samego wydziału prawa, jakże dobrze znane i szanowane. To prof. Danuta Waniek i dr Hanna Zbyszyńska. Dodam, że mężem Danusi był wiceprzewodniczący Rady Okręgowej Edward Waniek, a z Hanią byłem w tej samej grupie studenckiej. Jako trzecią wymienię Ewę Bem, z którą przeprowadziłem mój pierwszy wywiad do redagowanego przeze mnie Uniwersyteckiego Informatora Kulturalnego – UNIK.

Rafał Skąpski, członek ZSP od 1968, członek SZSP do 1976

Political fiction

Nikt, kto nie płaci podatków w Polsce, nie powinien kandydować ani głosować.

Andrzej B. Izdebski

•

Twierdzę, że polski obywatel mieszkający za granicą nie powinien mieć prawa udziału w wyborach powszechnych w Polsce. A rzeczywistość jest taka, że miliony obywateli polskich głosują, układając losy rodakom w ojczyźnie. Nie dotyczą ich konsekwencje decyzji polityków, którym powierzyli władzę.

Jan Brożyński

•

W przyszłej ordynacji wyborczej jednak powinien być zapis, że czynne i bierne prawo wyborcze przysługuje obywatelom mającym poświadczenie, że płacą podatki w kraju i tu mieszkają. Rozumiem, dlaczego po 1989 r. wprowadzono obecnie obowiązujące uregulowanie, ale po 36 latach to już jest bzdura. Mieszkający za granicą nie tworzą naszej rzeczywistości, a mają wpływ na nasze wybory, pośrednio na wydawanie naszych pieniędzy z budżetu itp.

Krzysztof Szyd

•

Ale skoro niektórzy polscy politycy chcą dopuścić obywateli Ukrainy do wyborów w Polsce, to tym bardziej takie prawo powinni mieć polscy obywatele przebywający za granicą. Wielu z nich wyjechało na Zachód za chlebem.

Damian Paweł Strączyk

•

Oczywiście, że nie powinni głosować. Mieszkając na stałe za granicą, mają słabe pojęcie o polskiej rzeczywistości. Władze wyłaniane w powszechnych wyborach tworzą prawo obowiązujące (w zasadzie) obywateli mieszkających w Polsce. To prawo nie wiąże Polaków, którzy na stałe przebywają poza granicami kraju. Dlaczego zatem ci, których regulacje prawa, jakże często głupiego bądź dolegliwego, nie dotykają, mają uczestniczyć w kreowaniu organów władzy wprowadzających to głupie i dolegliwe prawo? Jeśli ktoś mieszkający za granicą chce wybierać, niech wraca i ponosi konsekwencje tych wyborów. Jeżeli nie, to niech układa swój świat tam, gdzie teraz zarabia i żyje.

Michał Czarnowski

Smoleński kult, smoleński hochsztapler

Katastrofa smoleńska to tragiczny symbol niedbalstwa i tałatajstwa ówczesnych służb i decydentów.

Stelios Lotsios

•

Cytat z artykułu: „a także wiele wybitnych postaci naszego życia politycznego”. A co z tymi, którzy zginęli, a nie byli wybitnymi postaciami? Mnie żal tych młodych ludzi, których nazwisk już nie pamiętamy – stewardes, ochroniarzy i innych, już zapomnianych. A piloci? Chcieli zginąć czy może jednak żyć?

Waleria Lubner

ZDJĘCIE TYGODNIA

W wieku 74 lat zmarła Jadwiga Jankowska-Cieślak. Debiutowała w 1972 r. w filmie Janusza Morgensterna „Trzeba zabić tę miłość”. Była dwukrotną laureatką Złotych Lwów za główne role w „Sam na sam” (1977) i „Wezwaniu” (1997). Jako pierwsza Polka zdobyła Złotą Palmę za pierwszoplanową rolę kobiecą w „Innym spojrzeniu” (1982). Jeszcze kilka tygodni temu grała w warszawskim Teatrze Gudejko. Nz. kadr z „Innego spojrzenia”.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b4797edfc

Najwyższa Izba Kontroli ustaliła, że zbycie, w ramach połączenia z Orlenem, aktywów Lotosu **5 mld zł poniżej ich wyceny** było niegospodarne. Nie urzeczywistniły się żadne z przewidywanych przez Orlen korzyści z fuzji. Ale **doradcy zarobili na tej transakcji 253 mln zł.**

•

Z odtajnionej przez Adama Bodnara korespondencji między CBA a Zbigniewem Ziobrą wynika, że mimo zrzucania odpowiedzialności na podwładnych, **za zakupem Pegasusa,** systemu do inwigilacji, **stoi** właśnie **Ziobro**. Wiedział, na co poszły środki z Funduszu Sprawiedliwości (25 mln zł), i wiedział, że izraelskie oprogramowanie pozwala służbom specjalnym szpiegować obywateli.

•

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie **uchylił decyzję Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji** o przyznaniu Telewizji Republika i wPolsce24 miejsca na multipleksie MUX-8. Pisowska KRRiT dała je swoim mediom, łamiąc wszystkie zasady.

•

Amerykański koncern **Warner Bros. Discovery zrezygnował ze sprzedaży TVN**. Mocno znerwicowani pracownicy dowiedzieli się o tym z listu władz stacji. Tak zwane wolne media nie znają dnia ani godziny, kiedy i komu zostaną sprzedane.

•

Jeszcze Senat nie podjął decyzji w sprawie obniżenia składki zdrowotnej, a już Adrian Zandberg i Magdalena Biejat spotykają się z prezydentem Dudą i apelują, by ustawy nie podpisywał. Wszyscy od dawna wiedzą, że Duda jej nie podpisze. Po co więc te ustawki?

•

Zmarła Jadwiga Jankowska-Cieślak, wybitna aktorka. Debiutowała w filmie „Trzeba zabić tę miłość". Za rolę w węgierskim filmie „Inne spojrzenie" dostała główną nagrodę dla aktorki w Cannes. Dwukrotnie otrzymała Złote Lwy na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych.

•

Na 199 szpitali powiatowych 110 miało w 2024 r. długi wymagalne, w tym 22 szpitale były zadłużone na ponad 10 mln zł.

•

Tylko 11% z 11 344 działających w Polsce aptek realizuje recepty farmaceutyczne na antykoncepcję awaryjną. W ubiegłym roku wystawiono 298 809 recept na pigułkę „dzień po". Najwięcej takich recept wystawiono w 2022 r. – 640 959.

•

W przeliczeniu na euro płaca minimalna w Polsce jest na piątym miejscu wśród 27 krajów Unii Europejskiej. Większość stanów USA również ma płacę minimalną niższą niż w Polsce. Znacznie gorzej jest u nas z wydajnością pracy. **Niższą wydajność w Unii mają tylko Łotysze, Bułgarzy i Grecy.**

•

Za 473 mln euro wyeksportowaliśmy w 2024 r. **polskie jaja.** Najwięcej do Niemiec (117 mln), Holandii (86 mln), Czech (45 mln), Wielkiej Brytanii (36 mln) i Francji (32 mln).

•

W 2024 r. hitem sprzedaży wśród nowych samochodów były modele Toyota Corolla (28 883 egzemplarze), Škoda Octavia (18 903) i Toyota Yaris Cross (15 424).

•

W latach 1989-2020 udzielono w Polsce **2813 rozwodów kościelnych. Obecnie jest ich ok. 5 tys. rocznie.**

PRZEBŁYSKI

Wielki Zbieracz Sierakowski

Sami musicie osądzić, w czym Sławomir Sierakowski, celebryta medialny, jest lepszy. Czy w zbiórce kasy dla Ukrainy? Głośno było o nim w mediach, gdy latem 2022 r. zbierał na Bayraktara, ostatnio zaś jest równie głośno po akcji ze zbiórką na karetki wojskowe. A może Sierakowski lepiej pozyskuje dolary od USAID (Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego)? Do Polski trafiło co najmniej 380 mln dol. Wśród obdarowanych byli m.in. „Krytyka Polityczna", „Gazeta Wyborcza", TVN, „Kultura Liberalna" i liczne reprezentacje środowisk LGBT.

Kasą z USAID Sierakowski nigdy się nie chwalił. Branie pieniędzy od zagranicznych rządów jakoś nie jest w Polsce dobrze widziane. I kojarzy się dość paskudnie.

Tak czy owak, Wielki Zbieracz Sierakowski ma do zbiórek spory talent. Zbiórka tu, zbiórka tam. Nie on jeden zbiera. Znamy wielu pomagających Ukrainie. Tym jednak się różnią od Sierakowskiego, że nie latają ze swoją dobrocią do mediów.

Leo, pamiętamy!

Leo Beenhakker był wybitnym trenerem, który wprowadził Polskę do mistrzostw Europy, ale powinniśmy też znać jego drugą twarz – społecznika. W roku 2008 został ambasadorem Fundacji Wandafonds, holenderskiej organizacji zajmującej się zbieraniem funduszy na pomoc polskim dzieciom z porażeniem mózgowym. Beenhakker wpłacał na leczenie polskich dzieci własne pieniądze, namawiał także do wpłat swoich znajomych. W zbiórkę zaangażowana była również – działająca przy Fundacji Dom Holenderski – platforma Punt.NL. Prowadziła ją Annette Bleeker, przez wiele lat lektorka języka niderlandzkiego w Fundacji DH i przyjaciółka Polaków.

Leo, pamiętamy!

Nz. spotkanie w Ambasadzie Królestwa Niderlandów w Warszawie. Leo Beenhakker i jego donacja dla Wandafonds, a po lewej ciemnowłosa Annette Bleeker.

Świrski nie dogodził Rydzykowi

Tak się chłop starał dogodzić Radiu Maryja, ale im ciągle mało. Za mało pieniędzy państwowych. I za słaba ochrona przed krytyką imperium o. Rydzyka. Maciej Świrski, przewodniczący KRRiT, tak bardzo rozczarował środowisko radiomaryjne, że doczekał się surowej krytyki na łamach „Naszego Dziennika". Za co? Za dobrotliwość wobec TVP, która wyemitowała reportaż z cyklu „Niebezpieczne związki" zatytułowany „Czy PiS odpowie za finansowanie Rydzyka publicznymi pieniędzmi?".

Świrski, który szasta karami finansowymi, nie zrobił tego w przypadku TVP. Ograniczył się do wezwania, by w przyszłości zaniechano takich materiałów. To jego osobista decyzja. Po artykule „Bezkarni oszczercy" Świrski, jak na taliba przystało, będzie bronił interesów Rydzyka z większym zapałem.

FOT. YOU TUBE, ARCHIWUM PRYWATNE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b4797edfc

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy dopłaty do samochodów elektrycznych są zasadne?

MARIUSZ GZYL,
dziennikarz motoryzacyjny

Dopłaty do samochodów elektrycznych nie mają większego sensu ze względu na to, że z gruntu jest to program raczej dla ludzi, którzy jak na polskie warunki mają sporo pieniędzy. Rząd tymczasem powinien się skupić na tych kilkunastu milionach obywateli, którzy mieszkają na terenach gmin wykluczonych komunikacyjnie, czyli bez jakichkolwiek szans na normalne życie i dojazdy do pracy bez własnego auta. Mieszkańcy Polski B czy C radzą sobie, kupując najtańsze auta za 2-3 tys. zł lub nawet mniej. Rozwiązaniem byłoby więc zaoferowanie w ramach programu rządowego leasingu socjalnego, który objąłby najmniej zamożne grupy ludzi. Na przykład we Francji rokrocznie do rozdysponowania jest 50 tys. pojazdów elektrycznych dla osób, których roczny dochód nie przekracza 15,4 tys. euro. Koszt leasingu w zależności od klasy pojazdu waha się od 90 do maksymalnie 150 euro.

DR DARIUSZ KOWALSKI,
prawnik, USWPS

Z punktu widzenia prawników i ekonomistów jest kilka istotnych aspektów takich dopłat. Nie możemy zapominać, że mamy konstytucyjnie określony ustrój gospodarczy, którym jest społeczna gospodarka rynkowa, podkreślam: rynkowa. Dopłaty takie bez wątpienia wpływają na mechanizmy rynkowe, mogą zatem być wprowadzane jedynie w uzasadnionej społecznie sytuacji. Takim uzasadnieniem może być ochrona zdrowia Polaków czy dbanie o środowisko, jednak wprowadzenie dopłat, o których mówimy, powinno być poprzedzone dokładnymi analizami ich wpływu na te obszary. Ponadto takie dopłaty mogą być narzędziem polityki społecznej poprzez wspieranie np. dużych rodzin. Reasumując, dopłaty mogą być zasadne, ale pod warunkiem właściwego zbadania i wyważenia ich zalet oraz ryzyka, jakim jest np. wpływanie na mechanizmy rynkowe.

ŁUKASZ BIGO,
redaktor naczelny portalu Elektrowóz

Jako redakcja nie jesteśmy zwolennikami wydawania publicznych pieniędzy na potrzeby, które nie są kluczowe lub strategiczne z punktu widzenia jak największych grup społecznych. Wiemy, że środki z KPO dałoby się zagospodarować lepiej. Optymalizację programu dopłat sugerowała nam nawet Unia Europejska. Ale z pragmatycznego punktu widzenia jesteśmy „za". Proszę się zastanowić: czy wychodząc na ulicę, wolelibyśmy czuć zapach zieleni czy spalin? Czy w korku wolimy jechać za nowoczesnym autem albo elektrykiem, czy za kopciuchem plującym duszącym dymem? Czy w mieście nie byłoby przyjemniej, gdyby znikł nieustanny hałas silników? Koniec z męczącym tłem, zamiast niego dostalibyśmy szum opon i wiatru w gałęziach. Każdy nowy samochód elektryczny na drodze to czystsze powietrze, mniej hałasu, więcej zdrowia. Chyba warto o to powalczyć.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 4b4797edfc

Sztuka strzelania sobie w kolano

Końska dawka polityki. Mało kto oglądał, wszyscy o tym mówią

Robert Walenciak

No to mamy kampanię wyborczą, do ludzi dotarło, że są wybory nowego prezydenta RP. I jest cała związana z tym gra.

Za realny, nie teoretyczny początek kampanii śmiało możemy uznać piątek 11 kwietnia, dzień debaty w Końskich. To wydarzenie wymknęło się z rąk jego organizatorom i może dlatego wzbudziło tak wielkie zainteresowanie. Awantura, którą wywołała debata, przyciągnęła publiczność. Jak obliczono, przedwyborcze spotkanie kandydatów obejrzało 6,16 mln widzów w telewizjach TVN 24, Polsat, TVP i TVP Info! Natomiast w sieci, jak mogliśmy się dowiedzieć, zasięg debaty doszedł do miliarda kontaktów, czyli przeciętnemu Polakowi informacja o niej wyświetliła się średnio 40 razy.

W ten sposób kampania, która sączyła się powoli, jak woda z cieknącego kranu, przeszła w potężny prysznic. Już każdy wie, że trwa.

Nie wywołuj wilka z lasu

Jak do tego doszło? Rękawicę rzucił Karol Nawrocki. 27 marca kandydat PiS zaproponował Rafałowi Trzaskowskiemu debatę w Końskich. Ku zdumieniu obserwatorów Trzaskowski po kilku dniach się zgodził. I zaproponował piątek, 11 kwietnia. Sztabowcom Trzaskowskiego sprawa wydawała się prosta. Jeżeli do debaty dojdzie, prezydent Warszawy wyjdzie z niej zwycięsko, bo prezes IPN dał się poznać jako osoba drewniana, źle wypadająca w mediach, na dodatek słaba merytorycznie. Sprawy polityki międzynarodowej, gospodarki oraz ustawodawstwa były i są dla niego ciemnym uniwersum. A gdyby Nawrocki odmówił, to także byłby przegrany, można by mówić, że stchórzył.

> Wpadka sztabu Trzaskowskiego jest oczywista – cóż to za debata, o której do końca nic nie wiadomo.

Poza tym, wybierając sobie przeciwnika, Trzaskowski sprowadzał kampanię do duopolu PO-PiS, wypychając innych na dalekie pozycje. Życie pokazało, jak naiwne były te kalkulacje.

Nawrocki, postawiony w trudnej sytuacji, zaczął kluczyć. Jego sztabowcy wymyślali przeszkody, warunki. W ten sposób sprawa tego, czy kandydat PiS przyjedzie do Końskich, czy nie, stała się tematem dnia. Do tego włączona została Telewizja Republika, która domagała się udziału w wydarzeniu.

Mieliśmy zatem kompletny chaos, nad którym sztab Trzaskowskiego nie potrafił zapanować. Zamęt pogłębiła decyzja Szymona Hołowni, który ogłosił w piątek, że jedzie do Końskich, by też uczestniczyć w debacie. Na te słowa zareagowali kolejni zarejestrowani kandydaci i wszyscy, z wyjątkiem Mentzena i Zandberga, również tam się udali.

Postawiony pod ścianą Trzaskowski ustąpił. I zaprosił, półtorej godziny przed programem, pozostałych kandydatów do debaty. Ale oni już uczestniczyli w debacie zorganizowanej ad hoc na rynku przez Republikę. Najpierw więc dokończyli swoje kwestie, a potem przeszli do hali, w której mieli rozmawiać kandydaci PO i PiS.

Tak oto Trzaskowski zamiast złota dostał orzeszki. Pretensje skupiły się na nim jako tym, który chciał dzielić kandydatów na lepszych i gorszych, w dodatku decydować, kogo media będą prezentowały, a kogo nie. Wpadka sztabu Trzaskowskiego jest zatem oczywista – cóż to za debata, w której do końca nic nie wiadomo: jaki jest format, kto w niej uczestniczy, ba!, kto ją organizuje.

Swoje do chaosu i przeświadczenia, że coś się rozgrywa za plecami, dołożyła telewizja publiczna, która ochoczo podjęła się relacjonowania debaty i zaangażowała w to środki. Nie dziwmy się teraz, że TVP jest w sprawie Końskich bombardowana pytaniami polityków i dziennikarzy. Te pytania nie biorą się znikąd. Skąd telewizja dowiedziała się o debacie? Dlaczego została jej współgospodarzem? Kto o tym zdecydował i kiedy? Jak to się ma do zasady równości kandydatów, do której przestrzegania jest zobowiązana? Dlaczego zdecydowała się na transmisję, nie wiedząc nawet, czy debata

eprasa.pl 4b4797edfc

Andrzej Duda przyjął w Pałacu Prezydenckim wicemarszałkinię Senatu Magdalenę Biejat. 14 kwietnia 2025 r.

się odbędzie i czy nie będzie to monolog jednego Trzaskowskiego?

Mamy tu przykład zaangażowania się TVP po stronie jednego z kandydatów. I to w sposób mało mądry. W efekcie w swojej nadgorliwości bardziej mu zaszkodziła, niż pomogła. Sprawa zresztą nie jest zakończona. Będą się nią zajmować nie tylko posłowie, ale także Państwowa Komisja Wyborcza i prokuratura.

„Idziemy do Telewizji Polskiej w likwidacji, nieformalnego sztabu Rafała Trzaskowskiego, żeby dostać szczegółowe informacje. Żądamy umów, które zostały zawarte między sztabem Rafała Trzaskowskiego a Telewizją Polską w likwidacji, a także między wszystkimi podmiotami, z którymi związany jest pan Andrzej Moebus (właściciel firmy Dom Mediowy AM Studio, która wynajęła halę w Końskich i formalnie organizowała debatę)", mówił poseł PiS Andrzej Śliwka.

Oburzenie i zgorszenie nie są zresztą udziałem jedynie polityków opozycji. Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej" Michał Szułdrzyński pisał: „Formuła, w której organizatorem debaty w hali sportowej był sztab Rafała Trzaskowskiego, a dziennikarze TVP, TVN i Polsat News wystąpili w roli konferansjerów – z całym szacunkiem dla prowadzących tę debatę – uderza w wiarygodność mediów. Główne telewizje okazały się tak naprawdę wykonawcami planu sztabu Trzaskowskiego".

Debaty uświadomiły, jak mocno Polska jest przechylona na prawo, jak rozmówcy są splątani przez różne prawicowe dogmaty.

Huzia na Józia

Na tym kłopoty prezydenta Warszawy się nie skończyły. Oto bowiem w Końskich mogliśmy zauważyć inną tendencję: wszyscy debatujący kandydaci, nieważne, z której strony sceny politycznej, mieli do niego najwięcej pretensji i na nim się skupiali, jego atakowali. Gdyby postronny obserwator debaty chciał odróżnić przedstawicieli koalicji rządzącej od reprezentantów opozycji, miałby spore trudności. Mieliśmy więc mecz Trzaskowski kontra reszta podwórka.

Poza tym pojawiła się fala komentarzy, ocen debaty – i głosy, że Trzaskowski zaprezentował się co najwyżej przeciętnie. Czy tak było? Odpowiedź nie jest prosta. Nikt nie odmawiał Trzaskowskiemu kompetencji, słyszałem wręcz opinie, że na tle innych wyróżniał się wiedzą i kulturą wypowiedzi, ale – zaraz dodawano – oczekiwano od niego więcej.

Dlatego wyróżniano tych, którzy pozytywnie zaskoczyli. Przede wszystkim Szymona Hołownię – bo podczas debaty czuł się jak ryba w wodzie, a także Magdalenę Biejat – bo przygarnęła tęczową chorągiewkę. Ale czy to świadczy, że mają oni prezydenckie kompetencje? Oto najważniejsze pytanie. Jeżeli bowiem uznamy, że debaty, ta piątkowa i ta poniedziałkowa w Telewizji Republika, były rozpoczęciem kampanii, to w jakim stopniu zmieniły przebieg wyścigu?

Nikt przytomny nie powie przecież, że 13 kandydatów ruszyło z jednej linii, z równej pozycji. Wiadomo, że jest dwóch faworytów, za nimi Mentzen, który ma szansę na wyprzedzenie Nawrockiego, i reszta, która startuje w innej kategorii. Inne cele jej przyświecają.

Czy debaty mogły ten porządek zburzyć? Albo przynajmniej jakoś nim wstrząsnąć? Tego dowiemy się tak naprawdę na początku maja, gdy opublikowane zostaną sondaże przeprowadzane po Wielkanocy. Na razie ostrożnie możemy założyć, że debaty spłaszczyły słupki poparcia. Dwaj pierwsi kandydaci stracili na rzecz tych z dalszych szeregów. Trzaskowski na rzecz Hołowni

FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP

eprasa.pl 4b4797edfc

i Biejat, Nawrocki na rzecz Stanowskiego. Czy Mentzena? Chyba nie.

Tak czy inaczej, o wszystkim zadecyduje druga tura oraz to, jak przekazywane będą głosy. I towarzysząca temu atmosfera. Jaka będzie? Nie wiemy, choć mamy świadomość, w co grają najwięksi – straszą jedni drugimi i chcieliby plebiscytu zamiast wyborów.

Tymczasem, co pokazało zainteresowanie debatami, wyborcy chcą czegoś innego, już nie duopolu. Te 6 mln oglądających udowodniło, że Polacy oczekują poważnej dyskusji polityków. Nie ustawek, awantur, lecz powagi. Chcą mieć możliwość oceny i porównania. Czy to dostali? Oczywiście takie poważne debaty powinna organizować telewizja publiczna, ona ma narzucać sztabom wyborczym ton. Ale widzimy, jak jest.

Druga sprawa – debaty uświadomiły, jak mocno Polska jest przechylona na prawo. Jak rozmówcy są splątani przez różne prawicowe dogmaty. Widać to było, gdy w Republice zapytano o przyszłość złotówki, czy Polska powinna przyjąć euro. Wszyscy kandydaci mówili, że nie. Tylko złotówka, precz z euro, trzeba bronić naszej suwerenności. Jedyna Joanna Senyszyn, profesor ekonomii, wytłumaczyła pozostałym, że to Lech Kaczyński jako prezydent RP podpisał się pod umową zobowiązującą Polskę do przyjęcia euro. I miał rację, bo w dłuższej perspektywie jest to dla naszej gospodarki ruch bardzo pożyteczny. Ale żaden kandydat nie zamierzał w te sprawy się zagłębiać. Wystarczyły pseudopatriotyczne pohukiwania.

Jeżeli dla Hołowni i Biejat punktem odniesienia był Trzaskowski i to w niego wymierzali uszczypliwości, narzuca się pytanie: co państwo jeszcze robią w koalicji rządzącej?

No właśnie, czy wystarczyły? Bo w zgodnej opinii jednym ze słabszych rozmówców okazał się Nawrocki, który wygłaszał drewniane formuły, jakby wyjęte z elementarza pisowskiego agitatora. OK, można uznać, że taką przyjął taktykę. Ale nie sposób nie zauważyć, w jaki popłoch wpadał, gdy dostawał pytania od Mentzena czy Brauna. Ciekawe, czy Mentzen zdecyduje się w końcu przycisnąć Nawrockiego energiczniej, czy też pogodził się z tym, że druga tura nie jest dla niego.

Wróg, śmiertelny wróg, koalicjant

To polityczne stopniowanie pochodzi z czasów koalicji SLD-PSL i chyba dobrze oddaje emocje, które wylały się przy okazji debat. Jeżeli bowiem dla Hołowni i Biejat punktem odniesienia był Trzaskowski i w niego wycelowali gros swoich uszczypliwości, to narzuca się pytanie: co państwo w tej koalicji rządzącej jeszcze robią?

Ostatnie dni pokazały, że koalicja jest nią już chyba tylko z nazwy. I chodzi nawet nie o różnice zarysowane podczas debaty, lecz o czyny. Oto bowiem rząd przeforsował w Sejmie ustawę o obniżeniu składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Zdecydowanie protestowała przeciwko temu lewica. W efekcie ustawa przeszła w Sejmie stosunkiem głosów 213 do 190. Lewica była przeciw, a ustawa została przyjęta tylko dlatego, że wstrzymała się część posłów PiS i Konfederacji, część posłów opozycji na głosowanie zaś nie przyszła. Generalnie jednak PiS również było przeciw tej ustawie. Wiadomo więc, że jeśli nie zostanie zmieniona w Senacie, to Andrzej Duda ją zawetuje, co zresztą już zapowiedział.

MAJÓWKA Z DOBRĄ KSIĄŻKĄ

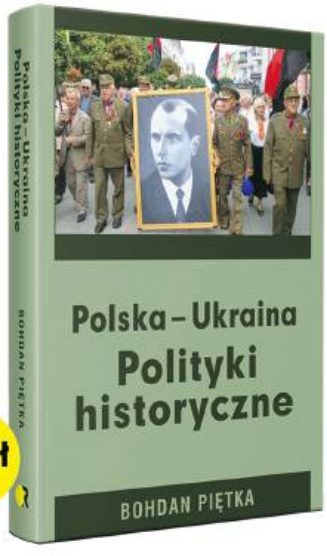

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA
Polsko-ukraiński spór o historię
~~50 zł~~ 39 zł

POROZRYWANE STANY
Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy" i politycznych wyborów
~~58 zł~~ 49 zł

Dostępne także w formie e-booka

eprasa.pl 4b4797edfc

Konia kują, żaba nogę podstawia – w swojej niechęci do obniżenia przedsiębiorcom składki zdrowotnej lewica zabrnęła tak daleko, że Magdalena Biejat zdecydowała się iść do prezydenta i prosić go o weto do tej ustawy (choć jeszcze nie przeszła ona przez Senat). Duda, co oczywiste, przyjął kandydatkę na jego następczynię i w obecności kamer wysłuchał.

Tak oto w ciągu kilkudziesięciu godzin Magdalena Biejat przeszła z nieba do piekła. Co zyskała w Końskich, zwłaszcza gestem z flagą, straciła w Warszawie. To oczywiste – elektorat lewicowy jest elektoratem najbardziej nieufnym wobec PiS, najbardziej nieufnym wobec Dudy, najmocniej zresztą przez nich doświadczonym. Wdzięczenie się do Andrzeja Dudy, na dodatek w sprawie, w której on i tak już zadecydował, nie mieści się zatem w żadnych kalkulacjach. Chyba że Magdalena Biejat chciała sobie z nim zrobić pamiątkowe zdjęcie.

Te ruchy źle wróżą rządowi i temu, jak będzie on wyglądał po 1 czerwca. Patrząc bowiem na działania Donalda Tuska, odnosi się wrażenie, że na koalicjantach postawił krzyżyk i niezbyt się nimi przejmuje.

Tusk ma własną agendę, coraz bardziej prawicową i… etatystyczną. Ogłaszając program „repolonizacji" gospodarki, premier mówił rzeczy, które jeszcze kilka lat temu zawzięcie zwalczał. Stwierdził więc, że kapitał ma ojczyznę, że rząd po to ma firmy państwowe, żeby kierowały się one innymi kategoriami niż tylko zysk. No i że rząd musi prowadzić aktywną politykę przemysłową.

Dla wyborcy platformerskiego, zwłaszcza tego wywodzącego się z KLD, to słowa rewolucyjne. Ale dla lewicy powinny brzmieć jak rzecz oczywista. Tymczasem gdy Tusk ogłaszał „repolonizację" gospodarki, nikogo z lewicy przy nim nie było. Ile w tym niechęci premiera do koalicjanta – lub zwyczajnego lekceważenia – a ile słabości samej lewicy? Kłopot w tym, że wizytami u Andrzeja Dudy lewica swojej pozycji nie wzmacnia.

A zwróćmy uwagę na grę PSL – w ostatnich tygodniach otrzymaliśmy kilka komunikatów o rozwoju polskiej zbrojeniówki, o nowych zamówieniach itd. I zawsze przy tych komunikatach mogliśmy widzieć wicepremiera i ministra obrony Kosiniaka-Kamysza. Hołownia zaś, rozpoczynając debatę w Telewizji Republika, nie omieszkał pozdrowić żony, pilotki myśliwca, która właśnie patroluje granice Polski.

I nie jest prawdą, że agenda „budujemy i chronimy Polskę" znajduje się poza lewicową wrażliwością i sprawczością. Przecież zarówno Ministerstwo Cyfryzacji, jak i Ministerstwo Nauki mają w tych sprawach szerokie pole do popisu i mogą się wykazać. Innymi słowy, lewica nie musi chodzić do Dudy, żeby się budować. Tylko czy o tym wie?

Magdalena Biejat przeszła z nieba do piekła. Co zyskała w Końskich, zwłaszcza gestem z flagą, straciła w Warszawie.

Wizytami u Andrzeja Dudy lewica swojej pozycji nie wzmacnia.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Wyjątkowa okazja
Książka z autografami!
Pamiątka na lata

Prof. Romanowski mówi o zmianie poglądów, o gen. Jaruzelskim, londyńskiej emigracji i o tym, co warte są mity narodowe.

~~79 zł~~ 59 zł

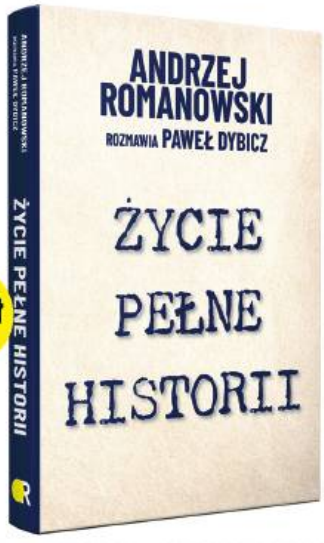

Prof. Andrzej Karpiński wspomina swoje życie w trzech ustrojach. W książce jest wiele faktów dotychczas przemilczanych lub zakłamanych.

~~95 zł~~ 69 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

Promocja ważna do 11.05.2025 r.

eprasa.pl 4b4797edfc

Macher smoleński

W czyim interesie działał Wacław Berczyński, zaufany człowiek Antoniego Macierewicza?

Andrzej Sikorski

Prokuratura Krajowa poszukuje Wacława Berczyńskiego. Były współpracownik Antoniego Macierewicza i szef podkomisji smoleńskiej (w latach 2016-2017), która propagowała teorie o zamachu na samolot prezydencki, ma usłyszeć zarzuty w związku z utrudnianiem śledztwa dotyczącego katastrofy smoleńskiej. Grozi mu nawet pięć lat więzienia.

Zaginione dowody

W 2016 r. Berczyński przejął z prokuratury materiał dowodowy, tj. fragmenty rozbitego tupolewa. Chodzi o kilkadziesiąt elementów, m.in. części kadłuba, skrzydeł, wyposażenia samolotu. Dowody te nie zostały zwrócone, a część zniszczono w trakcie tzw. badań, które z nauką nie miały wiele wspólnego. Prokuratura jeszcze za rządów PiS wielokrotnie i bezskutecznie prosiła podkomisję o zwrot materiału dowodowego. Ale wtedy Macierewicz i jego pseudoeksperci byli dla śledczych bohaterami.

„Gdyby nie on (Macierewicz) i współpracujący z nim naukowcy w Zespole Parlamentarnym, wiele faktów nigdy nie wyszłoby na jaw. Trzeba o tym mówić i przypominać o tej ogromnej pracy w bardzo trudnych warunkach, pod ciągłym »ostrzałem« medialnym. Bardzo dobrze się stało, że ci sami specjaliści są w rządowej komisji powołanej przez pana ministra Macierewicza w ramach Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych", prawił w 2020 r. Marek Pasionek, zastępca prokuratora generalnego i jednocześnie szef jednego z zespołów śledczych, które zajmowały się wyjaśnianiem przyczyn katastrofy smoleńskiej.

Wacław Berczyński, były współpracownik Macierewicza i szef podkomisji smoleńskiej, ma usłyszeć zarzuty w związku z utrudnianiem śledztwa dotyczącego katastrofy.

Nie wiadomo, gdzie są zaginione części tupolewa. Na początku marca br. Żandarmeria Wojskowa w poszukiwaniu materiału dowodowego wkroczyła do domu Ewy Stankiewicz i jej męża Duńczyka Glenna Jørgensena. Stankiewicz to propagatorka zamachu smoleńskiego, a jej mąż był członkiem podkomisji. „To działania pozorowane i zastraszające, które mają zdyscyplinować osoby, które starają się dociec prawdy, które mają w ręku dowody na eksplozję i zbrodnię, która się dokonała. To niebywałe, by w demokratycznym państwie nie można było rozliczyć zbrodni na prezydencie Polski i 95 osobach kluczowych dla suwerenności państwa", oburzała się Stankiewicz.

Ale pretensje powinna mieć do Macierewicza. To kapłan religii smoleńskiej wskazał prokuraturze Jørgensena jako odpowiedzialnego za przejęcie dowodów rzeczowych i samowolne nimi dysponowanie.

Wojna w rodzinie

Być może Macierewicz celowo wystawił Jørgensena, bo jest z nim i jego żoną skłócony, choć po przeszukaniu mówił, że „w tej sprawie mamy do czynienia z przestępczością ze strony formacji, która te działania wykonała".

Duńczyk publicznie krytykował Macierewicza za sposób zarządzania podkomisją smoleńską. „Obecny przewodniczący Antoni Macierewicz prezentuje żarliwy patriotyzm i przez wielu jest postrzegany jako bojownik o prawdę smoleńską. Jednak kierowanie badaniami wypadku lotniczego wymaga określonych zdolności i kompetencji. (...) Przewodniczący nigdy nie zaplanował ani przedmiotu prac, ani środków, ani zasobów ludzkich w celu przesłuchania świadków, a kiedy przesłuchania te zostały podjęte z inicjatywy własnej członków podkomisji, nakazał zaprzestanie wszelkich przesłuchań świadków

eprasa.pl 4b4797edfc

w fazie, kiedy zaczęli być przesłuchiwani wyżsi rangą pracownicy wojska", oskarżał Jørgensen.

Macierewicz miał też zablokować w TVP za czasów PiS krytyczny wobec podkomisji smoleńskiej film Stankiewicz „Stan zagrożenia". „Bardzo mnie niepokoi to, co się dzieje w podkomisji. Sądząc po owocach – mija pięć lat, a Polska nie ma raportu końcowego, który miał być dopiero pierwszym krokiem, narzędziem do poprawy bezpieczeństwa państwa. Jeśli taki raport zostanie opublikowany pod koniec kadencji, to będziemy mogli go włożyć do szuflady. Nie ma raportu, nie ma zarzutów. Ja oczekuję bezpiecznego państwa. A nie mam poczucia, by bezpieczne było państwo, które pozwala zginąć prezydentowi, pierwszej damie i całej delegacji. I że taka zbrodnia pozostaje bezkarna", napisała w oświadczeniu Stankiewicz.

Wróćmy jednak do Wacława Berczyńskiego. Jak ustaliłem, nie stawił się on w prokuraturze. I raczej nie ma co liczyć na to, że się pojawi. Współpracownik Macierewicza mieszka na stałe w USA i oprócz polskiego paszportu ma amerykański. Berczyński to tajemnicza postać. Z Polski za ocean (najpierw do Kanady, potem do USA) wyjechał w 1981 r., tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Chwalił się, że był współzałożycielem Solidarności na Politechnice Łódzkiej, ale żaden z członków związku go nie kojarzył. Berczyński należał za to do PZPR, był nawet w egzekutywie partii na politechnice i podróżował po całym świecie, co wówczas było rzadkością i przywilejem.

W pisowskich mediach Berczyński przedstawiany był jako „inżynier, konstruktor Działu Wojskowo-Kosmicznego Boeinga, wieloletni pracownik innych koncernów lotniczych, specjalista od konstrukcji samolotów i śmigłowców (kadłubów i skrzydeł)". Tyle że Boeing tego nie potwierdził, informując lakonicznie, że Berczyński pracował u nich jako „inżynier oprogramowania". Miał również pracować „na Concordia University w Montrealu, gdzie zajmował się materiałami kompozytowymi", ale nie ma śladu jego działalności naukowej na kanadyjskim uniwersytecie. W ogóle nie ma śladów po tym, że współpracownik Macierewicza pracował jako konstruktor.

Berczyński był nie tylko szefem podkomisji smoleńskiej, ale także dzięki politycznym wpływom został przewodniczącym rady nadzorczej Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 w Łodzi. Swobodnie poruszał się po Ministerstwie Obrony Narodowej. Miał dostęp do tajnych dokumentów, m.in. w sprawie przetargu na śmigłowce Caracal.

Lobbysta

Jedną z pierwszych decyzji rządu PiS było zerwanie przygotowanego przez rząd PO-PSL kontraktu na zakup przez polską armię wielozadaniowych śmigłowców produkowanych przez koncern Airbus Helicopters. Według oficjalnej wersji przedstawiona oferta nie odpowiadała bezpieczeństwu oraz interesom ekonomicznym Polski, a wartość offsetu proponowanego przez francuski koncern była niższa od oczekiwanej.

Bomba wybuchła, gdy wiosną 2017 r. Berczyński w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną" przyznał: „Nie wiem, czy pani wie, ale to ja wykończyłem caracale. Znam się na tym, znam się na śmigłowcach, znam się na lotnictwie. Pamiętam, jak przeczytałem o tych caracalach, o tym, że polski rząd zamierza je kupić, to mi włosy stanęły dęba. Powiedziałem, że to jest przekręt, że Polska nie może tak strasznie przepłacać – i się zaczęło. To był kwiecień 2015 r., jeszcze rządziła PO. Potem wybory wygrał PiS, ministrem obrony został Antoni Macierewicz, który powiedział: »Bądź moim pełnomocnikiem w sprawie śmigłowców«".

Okazało się, że o jednej z największych umów wojskowych w historii Polski nie decydowali specjaliści – rzecz rozstrzygnął facet nie wiadomo z jaką przeszłością i przez kogo nasłany. Berczyński miał dostęp do dokumentacji przetargowej i interesował się przetargiem. Okazało się, że wyniósł z MON stos dokumentów, które przetrzymywał przez kilka miesięcy. Nie wiadomo gdzie te dokumenty były przechowywane ani kto jeszcze miał do nich dostęp. Wiadomo za to, że współpracownik Macierewicza wyjeżdżał w tym czasie do USA. Od razu nasunęło się podejrzenie, że wykańczając caracale, działał w interesie Boeinga, który produkuje śmigłowce Apache.

„Super Express" ujawnił, że Berczyński (pracował w Boeingu w latach 1985-2007) dostał kredyt z funduszu zakładowego – 200 tys. dol., za które nabył nieruchomości. Z czasem ich wartość wzrosła do 4 mln dol. To raczej nie przypadek, że w marcu 2017 r. rząd PiS kupił bez przetargu za 2,5 mld zł trzy boeingi do przewozu VIP-ów. Jak potem orzekł sąd, stało się to z naruszeniem prawa.

Po przyznaniu się do wykończenia caracali Berczyński nie został zatrzymany przez służby, ale uciekł do USA i zrezygnował z przewodzenia podkomisji smoleńskiej. Złożył też rezygnację z członkostwa w radzie nadzorczej WZL nr 1 w Łodzi. Zamiast wyjaśnić skandal, Antoni Macierewicz pochwalił Berczyńskiego. „Dziękuję, Wacku, w imieniu służby. Naprawdę, wykonałeś olbrzymią pracę. Mam nadzieję, że rychło powrócisz do pełnej aktywności w zespole badającym tragedię smoleńską i wtedy, kiedy będzie podpisywany raport końcowy, będziesz mógł to sygnować wraz z pozostałymi członkami", stwierdził ówczesny szef MON.

Za zerwany kontrakt Polska zapłaciła potem Airbus Helicopters w ramach ugody 80 mln zł, a działania Berczyńskiego okazały się skuteczne – rząd PiS zawarł umowę na zakup śmigłowców Apache produkowanych przez Boeinga. Za 96 amerykańskich maszyn zapłacimy gigantyczną kwotę 10 mld dol. Do tego trzeba doliczyć ok. 1,2 mld zł za osiem śmigłowców Apache, które polska armia wzięła w leasing. ■

Nie ma śladów po tym, że Berczyński pracował jako konstruktor.

FOT JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 4b4797edfc

WESOŁEK NA TRONIE

Zapamiętamy Andrzeja Dudę jako autora sytuacji śmiesznych i żenujących. Nawet nie trzeba go parodiować

Kornel Wawrzyniak

Znany narciarz, gawędziarz, raper, przyjaciel Wąsika i Kamińskiego, ale przede wszystkim bohater niezliczonych internetowych memów. Długo można wymieniać przymioty mieszkańca Pałacu Prezydenckiego. Nie drukujemy jednak laurki dla Andrzeja Sebastiana Dudy. Każde zawierające garść faktów podsumowanie będzie dla prezydenta niekorzystne. Nie zmienia to faktu, że przygody Andrzeja Dudy są beczką śmiechu.

Andrew Polish

– Andrzej Duda nie potrafi znaleźć swojego czasu, żeby jakoś w ogóle się zaprezentować. Ma cechę osoby, która odzywa się nie wtedy, kiedy by należało – mówi satyryk i felietonista Michał Ogórek.

Duda rzeczywiście wydaje się człowiekiem, który trafia obok celu, a jego reakcje są przesadzone. Przypomina to satyrę stworzoną przez legendarnego komika Rowana Atkinsona w filmie „Johnny English". Główny bohater to nieudolny szpieg w stylu Jamesa Bonda, karykatura brytyjskich stereotypów i zachowań. Jeśli nawet coś mu się udaje, jest to dziełem przypadku. Film prezentuje humor w stylu cringe, czyli mający wywołać śmiech poprzez zażenowanie. Cóż, sporo wystąpień publicznych Dudy daje taki sam efekt. Ba! Niektóre momenty kariery prezydenta (szczególnie te uwiecznione przez media) są jak polska adaptacja brytyjsko-francuskiego „Johnny'ego Englisha". Andrew Polish zasiadający w Pałacu Prezydenckim.

– Jaką rolę ma prezydent Duda? Śmieję się, że kiedy pan prezydent pojechał na inaugurację Trumpa, to dostał tam takiej migreny, że wezwano lekarza. Podczas badania okazało się, że Dudzie skoczyło ciśnienie, i lekarz pyta, kiedy ostatnio to ciśnienie Dudzie badano. Prezydent odpowiedział, że trzy lata temu po powrocie

eprasa.pl 4b4797edfc

z Nowogrodzkiej. Lekarz dalej go bada i mówi: „Poziom wazeliny wysoki, ale z tego, co pamiętam, to panu nie szkodzi. To jeszcze chciałem zapytać, kto zrobił wlewkę". Pan prezydent odpowiada, że pan Mastalerek. Ukontentowany lekarz stwierdza: „To dobrze, bo to dobry specjalista". Przechodząc do diagnozy, lekarz wyrokuje: „Panie prezydencie, muszę panu powiedzieć, że to, co pana boli, to nie jest migrena, pan ma po prostu za ciasną aureolę". I mniej więcej w ten sposób oceniam rolę pana prezydenta – komentuje satyryk Krzysztof Daukszewicz.

Specyficzna nienaturalność prezydenta sprawia, że przeważająca część jego publicznych wystąpień natychmiast stawała się obiektem żartów, a telewizyjne kadry na zawsze zapisały się w historii polskiego memiarstwa. Dlaczego Andrzej Duda jest chodzącym generatorem sytuacji żenujących i śmiesznych?

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Andrzej Duda nie dostosowuje mimiki do przekazu, a na dodatek stara się proste rzeczy umocnić miną. A że robi to nienaturalnie, pojawia się ogromny rozdźwięk między treścią a formą przekazu, który jest po prostu śmieszny. Tę karykaturalność doskonale było widać w słynnej wypowiedzi o rzeczach, które się człowiekowi nie śnią. Prezydent Duda, choć mówił zupełnie szczerze, próbował jednocześnie wzmocnić swój przekaz tonem głosu i ta nienaturalność wyszła komicznie – tłumaczy politolog dr Mateusz Zaremba z Uniwersytetu SWPS.

Z tą naukową opinią zgadza się Michał Ogórek. – Jeśli pan prezydent czasem zdobędzie się na jakiś poważniejszy gest, szybko okazuje się to nie mocnym tupnięciem, tylko lekkim puknięciem otwartą dłonią w stolik. Na dodatek zawsze wykonuje ten gest nie w tym momencie, kiedy należało. Czy to wynika z opóźnionego refleksu? Sądzę, że on cały czas myśli, że powinien coś zrobić, nie bardzo wie co, a gdy w końcu zdecyduje się coś zrobić, zawsze jest za późno – zauważa satyryk.

Zagubienie w złożoności świata polityki i jej różnych kontekstach dostrzega też Witold Bereś, redaktor naczelny miesięcznika „Kraków i Świat": – Prócz książek ma Andrzej Sebastian Duda nad półkotapczanem zestaw DVD z pasjami oglądanym „Zezowatym szczęściem". Kiedy już zapada zmrok i nikt Andrzejowi Sebastianowi Dudzie nie przeszkadza w subtelnych analizach własnej duszy, wraca nasz Wielki do sceny, gdzie obywatel Piszczyk przypadkiem idzie w marszu narodowców, choć wcześniej był kimś w rodzaju demokraty w Unii Wolności. Tłum krzyczy: „Wodzu, prowadź na Kowno! Niech żyje Polska od morza do morza!", a Piszczyk konstatuje: „Stopniowo zaczął mnie ogarniać nastrój tego krzyczącego tłumu, chociaż wcale mi nie zależało na Kownie". Po chwili jednak do marszu dochodzi druga grupa, która skanduje: „Ży-dzi na Ma-da-ga-skar!". „Zupełnie nie wiedziałem, co krzyczeć – trochę się bałem, że z powodu mojego nosa mogą mnie wziąć za Żyda. Dlatego postanowiłem wykrzykiwać na przemian: jedno hasło dla tych z przodu pochodu, a drugie dla tych z tyłu".

Michał Ogórek: Ma cechę osoby, która odzywa się nie wtedy, kiedy by należało.

Witold Bereś: Jest postacią żywcem wyrastającą ze schabowego polskiej kultury.

Nieudane próby wpisania się w trendy i bieżącą sytuację są znamienne dla prezydentury Andrzeja Dudy. Weźmy podjęcie wyzwania Hot16Challenge podczas pandemii. Kolejne osoby publiczne, aby dodać otuchy obywatelom siedzącym w pandemicznym zamknięciu, nagrywały rap lub melorecytacje i zapraszały do zabawy kolejnych wskazanych. W tym zestawieniu pojawił się wreszcie prezydent ze swoim „Ostrym cieniem mgły". Widać było, że facet rzeczywiście się postarał. Niestety, efekt był tym bardziej komiczny. Coś tam zdecydowanie nie pasowało.

– „Ostry cień mgły" to była próba pewnej reakcji na zjawisko społeczne i to dobrze, że prezydent Duda spróbował podjąć temat. To była potrzebna inicjatywa w trudnym czasie pandemii. Tylko znowu mógł to zrobić troszkę lepiej. A tak wyszło nienaturalnie, bo kiedy Duda próbuje być luźny, wychodzi to drętwo – podkreśla dr Mateusz Zaremba.

Andrzej, który został Adrianem

Brak wyczucia u prezydenta Dudy to jedno. Drugie to fenomen serialu „Ucho prezesa", w którym kabareciarz Robert Górski stworzył postać Adriana. W każdym odcinku pokazywano, jak prezydent RP jest lekceważony przez prezesa partii. Widzowie latami zadawali sobie pytanie, ile jest Andrzeja w Adrianie i vice versa. Jedno jest niezaprzeczalnym faktem – serialowe imię Adrian przylgnęło do prezydenta Dudy.

W książce „Tajemnice Pałacu Prezydenckiego" dziennikarka Dominika Długosz wspomina, że Andrzej Duda do tej pory jest przekonany, że kpiny i pseudonim „Adrian" dotarły do twórców serialu prosto z Nowogrodzkiej. To partyjnym kolegom Duda miał zawdzięczać figurę petenta, który wiecznie siedzi w korytarzu, czekając na audiencję u prezesa. Obraz był tak sugestywny, że Dudę przy każdej okazji nazywano Adrianem. W pewnym momencie granice między rzeczywistością a serialem mocno się zatarły. Aktor Paweł Koślik, który grał serialowego Adriana, wspominał niedawno w Radiu Dla Ciebie, że ludzie do tej pory wołają do niego na ulicy „panie prezydencie".

Pozostaje jeszcze zapytać, czy to opinia publiczna uległa serialowej sugestii i dopasowała sobie Dudę

eprasa.pl 4b4797edfc

do obrazka, czy prezydent po prostu okazał się Adrianem. Przypomnę tylko wystąpienie Dudy w Rzeszowie, podczas którego wypowiedział słynne: „Ja się cały czas czegoś uczę. Bez przerwy. Ja się uczę w mieszkaniu, ja się uczę w samochodzie, kiedy jadę, ja się uczę w samolocie, kiedy lecę. Ja się cały czas czegoś uczę. Jak się nie uczę tego, co mam powiedzieć, to się uczę tego, co będę chciał kiedyś powiedzieć i wydaje mi się, że warto – więc w związku z tym czytam jakąś książkę".

Dodajmy do tego liczne wpadki, m.in. z posługiwaniem się językiem angielskim w sytuacjach międzynarodowych. Taki obrazek nie działa na korzyść Dudy. Zacinający się publicznie dorosły mężczyzna, który nie potrafi sklecić zdania, nie pasuje do wizerunku silnego lidera, którego mogliby oczekiwać obywatele jakiegokolwiek kraju od swojego prezydenta.

Wreszcie mamy w tej mieszance uległość wobec większości decyzji prezesa PiS, która świadczy raczej o tym, że Andrzej Sebastian nie rozumiał w trakcie swojej prezydentury powagi piastowanego urzędu.

– Duda nie udźwignął w pełni roli prezydenta. Moim zdaniem szczególnie na początku w ogóle nie rozumiał swojej funkcji i nie pojmował swojej roli w stosunku do rządu, parlamentu i własnej partii. Część jego zachowań cechowała też małostkowość, która nie wspomaga na co dzień działań urzędu prezydenta – mówi dr Zaremba.

Niektóre skecze kabaretowe potrafią nawet zwiastować przyszłość w życiu prezydenta Dudy. Ponad miesiąc temu na antenie Polsatu kabaret Chyba Czesuaf odegrał skecz „Końcówka Andrzeja", który zaczyna się od słów: „Gdy kończy się kadencja, przeciętny prezydent odchodzi… Nasz prezydent zjeżdża!". Na początku scenki zastajemy prezydenta rozważającego, który kask wybrać na narty, biały czy czerwony. W tym miejscu porzucamy skecz i wracamy do rzeczywistości – minął miesiąc i prezydent Duda ubrany cały na czerwono zjeżdżał z Kasprowego Wierchu. Trudno już rozpoznać, gdzie tu jest parodia.

Samochwała na mównicy stała

Patrząc na wystąpienia publiczne Dudy, trudno opędzić się od myśli, że nie ma drugiego polityka, który tak by zachwalał sam siebie. Od samochwalstwa Duda właściwie zaczął pierwszą kadencję, kiedy w 2015 r. ogłosił z mównicy sejmowej, że jest człowiekiem niezłomnym.

– Duda jest postacią żywcem wyrastającą ze schabowego polskiej kultury. Tylko on, geniusz nad geniuszami, potrafił bez chwili zawahania sam o sobie powiedzieć w exposé: jestem człowiekiem niezłomnym. Wiem, siła przekazu rośnie wraz z oddaleniem od podmiotu wychwalanego. I niby najlepiej, aby o przewagach pana X opowiadały panie między sobą, a nie przy nim. Ale jak nikt nie chwali, to co? Stań w kącie, a znajdą cię? – ironizuje Witold Bereś.

To jednak nie koniec publicznej miłości własnej. W trakcie jednego z przemówień w kampanii wyborczej 2020 rozległ się grzmot nadchodzącej burzy. „Właśnie – przerwał prezydent i odegrał scenkę, biorąc się pod boki: – Ma się tę moc? Ma się?", zachwycał się sobą.

– Kiedy usłyszałem, że prezydent Duda spotyka się z Adrianem Zandbergiem, pomyślałem, że łączy ich właściwie jedno, mianowicie obaj są zapatrzeni w siebie. Słyszałem, że podobno jakaś pani spod Końskich napisała list do pana prezydenta, kończąc go słowami: „Uwielbiam pana, panie prezydencie". W odpowiedzi otrzymała list z podziękowaniem, w którym było napisane tylko jedno zdanie: „Ja siebie też" – śmieje się Krzysztof Daukszewicz.

Ale tak na poważnie…

Satyrycy są zgodni: Dudy nie trzeba parodiować. Wystarczy powtórzyć, co prezydent ostatnio powiedział, a robota dzieje się, można powiedzieć, sama.

– Mam taki monolog, gdzie cytuję naszych polityków z tym, co publicznie wypowiadają. Pan prezydent zajmuje tu dosyć wysokie miejsce. Najbardziej rozbawił mnie zdaniem, że ziemię nawozimy obornikiem, bo postawiliśmy na nowoczesność… – mówi Krzysztof Daukszewicz.

Głośnym echem odbiły się w społeczeństwie wypowiedzi prezydenta o tym, że coraz więcej ludzi będzie miało własne samoloty. Komizmu sytuacji dodaje kilka faktów. Ekipa PiS otworzyła przecież przeinwestowane lotnisko w Radomiu (poszło na nie 800 mln zł), które notuje straty finansowe. W 2023 r. sięgały one prawie 33 mln zł, a po 10 miesiącach 2024 r. przekroczyły 28 mln zł. Dodatkowo rozsierdziło Polaków odklejenie prezydenta od rzeczywistości – mówienie o samolocie w każdym garażu nie przystaje do codziennych zmagań szarego Kowalskiego ze skutkami inflacji.

W każdym przyzwoitym człowieku może dziś rosnąć obawa, że komiczność Dudy przesłoni i zepchnie w zapomnienie wszystkie jego poważne przewiny wobec demokracji i obywateli. A było ich sporo. Pytanie, czy po ustąpieniu z urzędu Duda

eprasa.pl 4b4797edfc

zostanie nam w głowach jedynie jako internetowy mem patrzący na nas zza krzaka, czy jako człowiek, który wielokrotnie przez swoją niewiedzę, złośliwość lub usłużność wobec prezesa Kaczyńskiego zawiódł Polki i Polaków.

– Te komiczne sytuacje są tylko pewną częścią większego obrazka. Inne działania prezydenta Dudy zostaną mu zapamiętane i nie rozpłyną się w sytuacyjnych śmiesznościach. Nie można jednak powiedzieć o Dudzie, aby był w polityce postacią wielowymiarową. Jest raczej dość płaski. To człowiek, który nie wniósł nic specjalnego, a trochę nawet popsuł, bo nie poczuł powagi roli, którą dostał – podkreśla dr Mateusz Zaremba.

Co po Dudzie?

– Historia potraktuje go surowo. Miał jednak dwa momenty, kiedy popsuł szyki prezesowi Kaczyńskiemu. Pierwszym było zawetowanie likwidacji TVN, co miało dość istotny wpływ na rynek medialny w Polsce. Druga sytuacja to wsadzenie w pewnym momencie kija w szprychy podczas kolejnych deform praworządności przez Prawo i Sprawiedliwość. Tyle że było to maksimum możliwości prezydenta Dudy, a przecież mówimy o okresie 10 lat – komentuje Michał Ogórek.

– Dla mnie najważniejsze jest to, że za około półtora miesiąca już go nie będę oglądał. I muszę przyznać, że to duże szczęście w moim życiu. Problem w tym, że nie wiadomo, co będzie dalej. To wrażenie nawet się wzmogło po obejrzeniu debaty prezydenckiej w Końskich. Najbardziej podobały mi się słowa kandydatki Senyszyn, która stwierdziła, że kandyduje, bo nie ma na kogo głosować. Trzeba przyznać, że to rozbrajająca szczerość – docenia Krzysztof Daukszewicz.

U niektórych pojawiają się obawy przed swoistym syndromem sztokholmskim. Czy naprawdę może przyjść czas, że jeszcze za Dudą zatęsknimy? Wszystko zależy od tego, kto zastąpi obecnego mieszkańca Pałacu Prezydenckiego.

– Duda był bardzo śmieszny na początku rządów. Być może ten kontekst, że teraz z nim się żegnamy, sprawia, że czegoś niektórym zaczyna brakować. Nie nazwałbym tego jednak żalem. Natomiast obawiam się, że z perspektywy tego, co może nadejść, jeszcze będziemy Dudę wspominali dobrze. W porównaniu z kilkoma obecnymi kandydatami na prezydenta Duda wydaje się całkiem przyzwoity – wzdycha satyryk Michał Ogórek.

Równie fatalną opcją jest powtórka z rozrywki, czyli kadencja kolejnego człowieka bez właściwości, który będzie usłużny wobec swojej frakcji politycznej. Takich kandydatów mamy w obecnym wyścigu prezydenckim przynajmniej dwóch. Pytanie, czy któryś ma szansę zostać Dudą bis.

– Gdybym miał obstawiać, to na zrobienie z siebie drugiego Dudy największy potencjał ma kandydat Nawrocki – ocenia Krzysztof Daukszewicz i dodaje: – Dostałem ostatnio zdjęcie plakatu wyborczego gdzieś z Wybrzeża. Podobno autentyczny. Na grafice jest zdjęcie Jana Pawła II i Nawrockiego. Pod nimi napis: „Pierwszy Karol dał nam wolność, drugi ją odzyska". Popatrzyłem na to i wymyśliłem taki żart „menelik": jeden menel mówi do drugiego, patrząc na ten plakat: „Jeszcze tydzień i zrobią z tego Nawrockiego Chrystusa!". Drugi mężczyzna ze spokojem odpowiada: „Mnie to nie przeszkadza, byle gwoździe były prawdziwe".

Ale oddajmy głos samemu prezydentowi Dudzie. „Chciałbym, żeby polskie państwo było państwem stabilnym, było państwem wartości. Wartości. Nie państwem pustych frazesów", powiedział w wywiadzie dla Telewizji Trwam 2 kwietnia 2025 r. Warto, aby czytelniczki i czytelnicy pamiętali o tych słowach, kiedy będą wsiadali do swoich prywatnych samolotów zaparkowanych na lotnisku Baranów.

Krzysztof Daukszewicz: Na pożegnanie życzę mu, żeby żadnej dobrej roboty nie znalazł. Taki jestem wredny wilniuk.

– Niektórzy mówią, że w sumie żal im Dudy. Uważam jednak, że nie ma żadnego powodu, żeby go żałować. I mało tego! Na pożegnanie życzę mu, żeby żadnej dobrej roboty nie znalazł. W ogóle życzę mu dużo niedobrych rzeczy. Taki jestem wredny wilniuk – ironizuje Krzysztof Daukszewicz.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 4b4797edfc

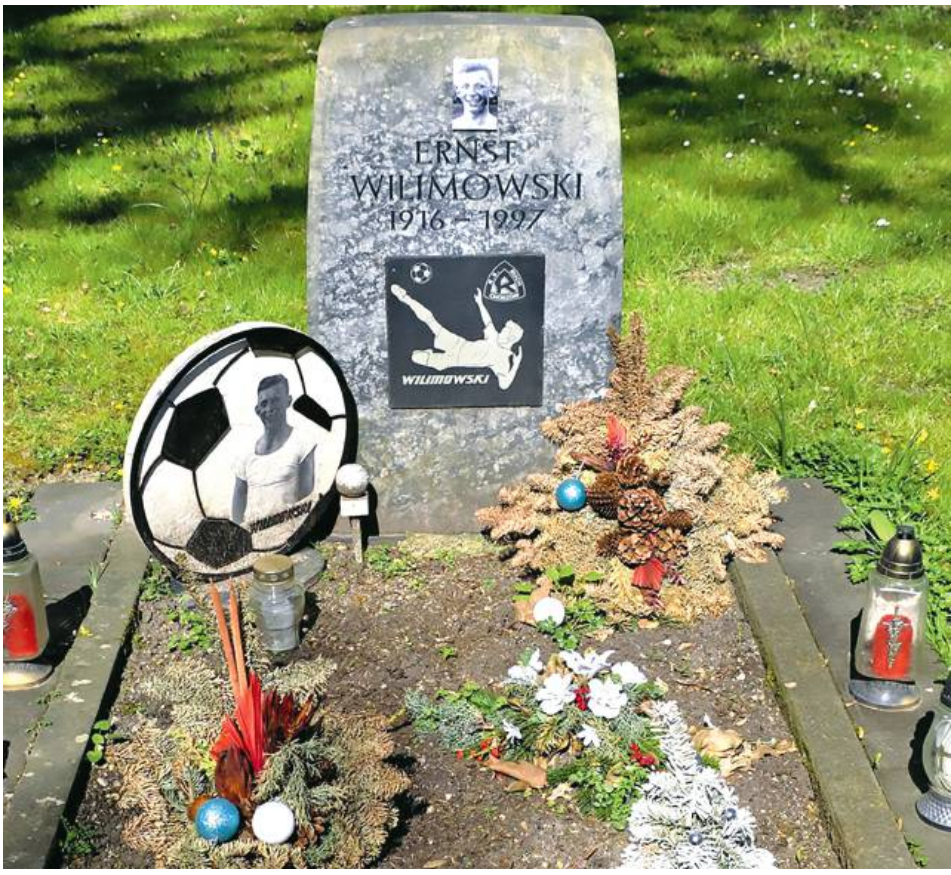

Ernst Wilimowski zmarł w 1997 r. Spoczywa na cmentarzu w Karlsruhe, ale jego grób może wkrótce przestać istnieć.

Ziemia niepojęta

Dla jednych to ani Polska, ani Niemcy. Dla drugich trochę Polska, trochę Niemcy i jeszcze Czechy. A dla większości Śląsk to po prostu Śląsk

Mateusz Cieślak

Grób Ernsta Wilimowskiego wkrótce może przestać istnieć. O tym, że miejsce pochówku bodaj najwybitniejszego piłkarza reprezentacji Polski jest zagrożone likwidacją, kibice Ruchu Chorzów dowiedzieli się niedawno. Zorganizowali zbiórkę, by sfinansować ekshumację. Wilimowski zmarł w 1997 r. Spoczywa na cmentarzu w Karlsruhe. Grób gwiazdy futbolu usiłuje ratować śląski europoseł Łukasz Kohut. Spotkał się z władzami Karlsruhe. Następnie wezwał do działania związki futbolowe – polski i niemiecki. Podkreślił, że Wilimowski to postać symboliczna nie tylko dla Śląska, ale też dla polskiej i europejskiej piłki nożnej.

Genialny piłkarz i folksdojcz

Ernst Wilimowski urodził się w Katowicach. Piłkarską karierę zaczynał w 1. FC Katowice, by następnie przenieść się do Ruchu Chorzów, który wtedy jeszcze nazywał się Ruch Wielkie Hajduki. Właśnie z tym klubem zdobywał tytuły mistrzowskie. W maju 1939 r., w spotkaniu Ruchu z Unionem-Touring Łódź, strzelił 10 goli.

Był gwiazdą reprezentacji Polski i geniuszem futbolu. Jako pierwszy w historii mistrzostw świata zdobył cztery bramki w jednym meczu. Stało się to podczas pamiętnego spotkania Polski z Brazylią w 1938 r. Po wybuchu II wojny światowej Wilimowski wpisał się na folkslistę. Następnie grał w reprezentacji Niemiec. Po wojnie raz była szansa, by odwiedził nasz kraj. W 1995 r. zaproszono go na 75-lecie Ruchu. Wtedy legendarny sprawozdawca sportowy Bohdan Tomaszewski nazwał Wilimowskiego zdrajcą. Piłkarz nie przyjechał.

Jego decyzja nie była na Śląsku niczym niezwykłym. Ludzie wpisywali się na folkslistę, by siebie i swoje rodziny chronić przed represjami. A czasem dlatego, że sami nie do końca wiedzieli, kim są. Na Górnym Śląsku nic w relacjach polsko-niemieckich nie było proste. Przykładem jest los Wilimowskiego i jego rzekoma zdrada – nie pierwsza tak naprawdę.

Klub 1. FC Katowice nazywał się wcześniej FC Kattowitz. Grali w nim ludzie czujący się Niemcami. Z kolei Ruch Wielkie Hajduki uchodził za „arcypolski". Gdy Wilimowski przeszedł do Ruchu, po raz pierwszy usłyszał, że jest zdrajcą. Powiedział to Georg Joschke, prezes FC Katowice (a od 1939 r. kreisleiter NSDAP w Katowicach). On właśnie wymógł na Wilimowskim wpisanie się na folkslistę.

Gdy rodziła się Polska samorządowa, na Śląsku Opolskim zaczęto budować pomniki ku czci żołnierzy w pikielhaubach i hełmach Wehrmachtu. Miejscowi upamiętniali w ten sposób tych, którzy walczyli dla Niemiec podczas obu wojen światowych. Pojawiły się oskarżenia o zdradę, mówiono o piątej kolumnie, która rzekomo chce oderwać Opolszczyznę od Polski.

Jako młody dziennikarz odwiedziłem wsie, gdzie postawiono pomniki niemieckich zoldatów. Usiłowałem zrozumieć, dlaczego tak się działo. Uderzyły mnie liczby poległych

eprasa.pl 4b4797edfc

wyryte na pomnikach. W Jemielnicy ponad 200 nazwisk. Nic dziwnego, że chciano ich jak najgodniej upamiętnić. Ale monumentalizm niektórych budowli mógł wyglądać jak próba gloryfikacji niemieckiego militaryzmu. Z rozmów z miejscowymi wynikało jednak, że intencje były inne, pomniki stawiano, by uczcić pamięć ojców, braci, przyjaciół. A ich monumentalizm? Cóż, taka tradycja. Kto był w Lipsku i widział Pomnik Bitwy Narodów, wie, o czym mówię.

Frauenfeld brzmi pięknie

Po dojściu Hitlera do władzy przeprowadzono na tych terenach reformę nazewnictwa. Chodziło o to, by słowiańsko brzmiące miejscowości przemianować na niemieckie. I tak Szczedrzyk, który był Sczedrzikiem, stał się Hitlersee. Każda nazwa przypominająca o słowiańskich korzeniach Śląska dla hitlerowców była nienawistna. A mieszkańcy tych wiosek – mówiący gwarą śląską – mieli się stać „stuprocentowymi Niemcami", czy tego chcieli, czy nie.

Zajrzałem wtedy do Dziewkowic. Ich sołtys Helmut Wiescholek stał się wówczas sławny. Jako pierwszy bowiem postawił na wjeździe do wsi dwujęzyczne tablice z jej nazwą, a w tamtym czasie nie było to legalne. Wybuchła awantura, tym gorętsza, że nazwa, która pojawiła się na tablicach, nie była tą historyczną. Jeszcze na początku lat 30. XX w. wieś nosiła niemiecką nazwę Dziewkowitz. Jednak po reformie przeprowadzonej przez hitlerowców zmieniono ją na Frauenfeld. I to Frauenfeld widniało na tablicach ustawionych przez sołtysa. Wiescholek bronił swojej decyzji. Uważał, że Frauenfeld to piękna niemiecka nazwa. Dziewkowitz po niemiecku nic nie znaczy, a Frauenfeld to „kobiece pole". Upierał się, że taka nazwa jest bardziej poetycka, elegancka. I nie rozumiał, dlaczego wzbudziła tyle emocji.

Wiescholek – w czasach PRL będący Wiesiołkiem – przyjął mnie w swoim gabinecie. Za plecami sołtysa wisiały dwie flagi: polska i… szwajcarska. Brakowało niemieckiej. Zapytałem o to. Wiescholek był wtedy bardzo rozżalony na Niemców z RFN. Dziennikarze z Bundesrepubliki zrobili reportaż o opolskich Niemcach. Wypowiedź lidera mniejszości zilustrowali fragmentem kroniki nakręconej we wrześniu 1939 r. I stukasami – niemieckimi bombowcami nurkującymi, zrzucającymi bomby na płonącą Warszawę. Dla Wiescholka to była obraza nie do wybaczenia. Skoro w RFN przedstawia się Niemców opolskich jako spadkobierców niemieckiego militaryzmu, a może nawet wielbicieli Hitlera, to on z tym RFN nie chce mieć nic wspólnego. I w geście protestu usunął flagę Niemiec.

Z drugiej strony opolscy Ślązacy niejednokrotnie powtarzali, że „za Hitlera było pięknie". Dla dziennikarzy z Zachodu, wychowanych w duchu demokratycznej, powojennej RFN, takie słowa musiały być wstrząsające. Tym bardziej że wypowiadane przez ludzi serdecznych, otwartych, życzliwych i uśmiechniętych. Sam doświadczyłem tego wiele razy. Pokazywano mi zdjęcia młodzieży w krótkich spodniach, z pochodniami w rękach, z roziskrzonymi oczami. Zwierzano się ze wspomnień i marzeń, by tamte czasy powróciły.

Z początku to wszystko wydawało mi się niepojęte. Dopiero po czasie zrozumiałem, że w tych wspomnieniach nie chodziło o ideologię. Dla Polaków czas hitlerowskiej okupacji to najmroczniejszy okres XX w. Dla ludzi urodzonych i wychowanych na przedwojennej Opolszczyźnie były to po prostu czasy ich dzieciństwa, beztroski i szczęścia. Do tej krainy ze wspomnień chcieli wracać. Nie do czasów nazizmu. Którego zresztą, będąc wtedy dziećmi, zapewne nie rozumieli.

Mniejszość podzielona

Trudno jednak się dziwić, że takie postawy, nawet jeśli wynikały głównie z sentymentu do lat dziecięcej beztroski, budziły w Polsce niepokój. Nie można też udawać, że wśród Ślązaków nie było tych, którzy autentycznie wielbili Hitlera, byli jego apologetami i wyznawcami ideologii nazistowskiej. Dowodem na to są chociażby wydarzenia całkiem niedawne. W 2018 r. w lesie pod Wodzisławiem Śląskim, nieopodal Rybnika, odbyły się uroczyste obchody urodzin Hitlera. Organizatorzy, ubrani w mundury SS i gestapo, z portretem Adolfa Hitlera ustawionym na ołtarzu, z dekoracjami w barwach III Rzeszy, wznosili ręce w charakterystycznym salucie. Ekstremalne postawy zatem wciąż istnieją, choć przecież są obecne nie tylko na Śląsku.

Gdyby nie obawa przed silną mniejszością niemiecką, obecny podział administracyjny Polski mógłby wyglądać inaczej. Likwidując 49 województw, zdecydowano się na podzielenie historycznego regionu. W efekcie powstało nie 15, ale 16 województw. Obszarowo obecne województwo śląskie jest jednym z mniejszych w kraju. Najmniejszym jest Opolszczyzna. Zarówno pod względem powierzchni, jak i liczby mieszkańców. Według danych z czerwca 2020 r. mieszkało tam nieco ponad 980 tys. osób. Dla porównania – Kraków to prawie 800 tys. mieszkańców, Trójmiasto zbliża się do 760 tys., a Warszawa to dziś niemal 1,8 mln ludzi.

W 2011 r. w swoim „Raporcie o stanie państwa" Jarosław Kaczyński określił Ślązaków mianem

Ernst Wilimowski był gwiazdą reprezentacji Polski i geniuszem futbolu. Jako pierwszy w historii mistrzostw świata zdobył cztery bramki w jednym meczu, z Brazylią w 1938 r.

Po wybuchu II wojny światowej Wilimowski wpisał się na folkslistę.

FOT. ŁUKASZ KOHUT/ FACEBOOK

eprasa.pl 4b4797edfc

„zakamuflowanej opcji niemieckiej". Przeprowadzony w tym samym roku Narodowy Spis Powszechny pokazał, jak jest naprawdę. Gdy Ślązacy wreszcie mieli okazję otwarcie określić swoją tożsamość, niemal 850 tys. osób – dokładnie 846,7 tys. – wskazało narodowość śląską. Co istotne, to nie była deklaracja niemiecka. Wręcz przeciwnie, narodowość niemiecką wpisało tylko 147,8 tys. mieszkańców regionu, w tym zaledwie 44,5 tys. zadeklarowało się wyłącznie jako Niemcy.

O tożsamości Ślązaków coś mówi jeszcze jedna liczba. Wśród deklarujących narodowość śląską prawie połowa, bo 415 tys., zadeklarowała jednocześnie narodowość polską. Mit „piątej kolumny" prysnął.

Równie ciekawy był ostatni spis powszechny, przeprowadzony w 2021 r. Jego wyniki ogłoszono dopiero w 2024 r., a na Śląsku powszechna jest opinia, że z ich podaniem do publicznej wiadomości zwlekano właśnie ze względu na liczbę osób deklarujących narodowość śląską, kwestionowaną przez polityków PiS. Tymczasem tę narodowość zadeklarowało ponad 596 tys. osób. Z tego ponad 385 tys. wpisało przynależność do dwóch narodowości – śląskiej oraz polskiej.

Narodowość śląską w spisie powszechnym zadeklarował także wybitny reżyser Kazimierz Kutz. Kiedy tylko padał temat Śląska, Kutz nie wahał się używać mocnych słów. Sam będąc Ślązakiem, niejednokrotnie powtarzał, że „Ślązacy są dupowaci", co oczywiście nie było wyrazem pogardy dla ludzi, raczej stanowiło gorzką diagnozę. „Jestem ze Śląska, czyli Znikąd. Bo kim są Ślązacy? Trochę mówią po polsku, trochę po niemiecku. Odporni na mity niepodległościowe. Naród niewolników, naród pracy", stwierdził Kutz.

Na pomniku w Jemielnicy wyryto ponad 200 nazwisk poległych niemieckich żołnierzy.

Katastrofa na życzenie

Skoro już wspominam o diagnozie postawionej przez Kutza, trudno tego nie odnieść do śląskich prób zaistnienia na scenie politycznej. Historia śląskich inicjatyw politycznych w III RP pełna jest wzlotów i upadków, podziałów i kłótni. A wszystko zakończone spektakularną katastrofą. Politycy śląscy sami się pogrążyli. Na początku lat 90. akuszerami śląskich inicjatyw politycznych byli duchowni katoliccy: arcybiskup katowicki Damian Zimoń oraz redaktor naczelny „Gościa Niedzielnego" ks. Stanisław Tkocz. Duchowni ci wspierali powstanie Związku Górnośląskiego, który w regionie był wtedy polityczną potęgą. Miał swojego wojewodę i swoich posłów.

Obok Związku Górnośląskiego działał Ruch Autonomii Śląska – organizacja o bardziej radykalnym wizerunku, co sugerowała już sama nazwa. Stojący na czele RAŚ Jerzy Gorzelik zasłynął zdaniem, które odbiło się głośnym echem w całej Polsce: „Małpa dostała zegarek i po latach okazało się, że go zepsuła". Chodziło mu o to, do czego doprowadzono śląski przemysł. Gdyby te słowa padły z ust polityka z Lublina czy z Krakowa, można by je potraktować jako ostrą krytykę. Ale że wypowiedział je śląski regionalista, zostały uznane za przejaw nastrojów antypolskich.

Dziś śląscy regionaliści w ogólnopolskiej polityce nie znaczą nic, a w regionalnej niewiele. Popełnili spektakularne seppuku. Krótko przed wyborami samorządowymi w 2018 r. większość śląskich organizacji zjednoczyła się pod wspólnym szyldem, którego nikt nie kojarzył. Wynik Śląskiej Partii Regionalnej okazał się kompromitacją: zaledwie 3,1% głosów w wyborach do sejmiku województwa śląskiego i ledwie 1,13% w województwie opolskim. Trudno więc nie przywołać gorzkiego określenia Kutza – „dupowatość", jak nazwał tę śląską cechę, dała o sobie znać po raz kolejny.

Nadzieje Ślązaków na uznanie ich narodowości i własnego języka od lat kończą się niepowodzeniem. Główną przyczyną jest konfrontacyjny wobec Polaków i Polski ton przyjmowany przez wielu lokalnych działaczy. Wspomniany Jerzy Gorzelik tak komentował decyzję o odmowie zarejestrowania Związku Ludności Narodowości Śląskiej: „Państwo, zwane Rzecząpospolitą Polską, którego jestem obywatelem, odmówiło mi i moim kolegom prawa do samookreślenia. I dlatego nie czuję się zobowiązany do lojalności wobec tego państwa".

Równie bezowocna była walka o uznanie śląskiej godki za język regionalny, choć kaszubski od dawna takim jest. Dopiero teraz pojawia się realna szansa, by śląski dialekt uzyskał ten status. Paradoksalnie to efekt nie tyle działań samych Ślązaków, ile decyzji politycznych podjętych w Warszawie (przegłosowaną przez Sejm ustawę zawetował Andrzej Duda). Warto tu wspomnieć, że obietnicę nadania śląskiej godce statusu odrębnego języka złożył Donald Tusk. Nieprzypadkowo – Tusk jako Kaszeba dobrze rozumie potrzeby takich grup etnicznych jak śląska. Dla niego to nie egzotyka, lecz naturalny element różnorodności Rzeczypospolitej, który zasługuje na szacunek i ochronę.

Mateusz Cieślak

eprasa.pl 4b4797edfc

Z Galicji

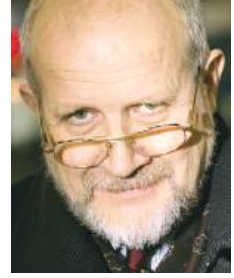

Jan Widacki

Polityka i śmigus-dyngus

Dzieje się. Zarówno w polityce globalnej, jak i krajowej. Szalony Trump i jego pomagier, zły geniusz Musk, przemeblowują świat. Zakończenie wojny w Ukrainie, do którego Trump obiecywał doprowadzić najpierw w ciągu doby, później w ciągu miesiąca, nie następuje, choć upłynęły już kolejne miesiące. Rozmowy amerykańsko-rosyjskie niby się toczą, jednak nie dość, że nie widać ich końca, to nawet nie wiadomo, czego naprawdę dotyczą. Można podejrzewać, że nie tylko tej wojny. Pokój w Ukrainie zapewne jest jednym z elementów całej układanki, którą obie strony próbują misternie ułożyć. Ameryka ma w nosie Europę, a już szczególnie jej środkową i wschodnią część. Dla niej ważniejsze są Azja i rejon Pacyfiku, Arktyka i jej nienaruszone jeszcze zasoby, a przeciwnikiem i głównym konkurentem nie jest Rosja z jej cherlawą gospodarką, mniejszą niż gospodarka wziętych z osobna Niemiec czy Francji, ale Chiny.

Przy takim postrzeganiu interesów Ameryki administracja Trumpa w rozmowach z Rosją problem wojny w Ukrainie traktuje jako fragment większego pakietu i gotowa jest na daleko idące ustępstwa, kosztem Ukrainy oczywiście, w zamian za coś, na czym jej naprawdę zależy. Może za wolną rękę w sprawie Grenlandii? Może za wsparcie w wojnie celnej z Chinami? Może za uspokojenie Kima? Może za coś jeszcze, a może za wszystko po trochu.

Nie wiemy. Tak czy inaczej, wojna w Ukrainie trwa, giną żołnierze i cywile, Trump mówi, że zwlekanie Putina nawet w sprawie 30-dniowego rozejmu już go niecierpliwi, a równocześnie stwierdza, że ufa Putinowi. Szczegółów na temat stanu rozmów amerykańsko-rosyjskich nie znamy, lecz jednego możemy być pewni. Bezwzględna, brutalna, ale doświadczona dyplomacja rosyjska ma przewagę nad zadufanymi w sobie amatorami, z których składa się dyplomacja amerykańska spod znaku Trumpa.

Trump jest nieprzewidywalny, ale ktokolwiek byłby prezydentem Stanów Zjednoczonych, prędzej czy później dążyłby do resetu stosunków z Rosją, bo tego wymaga oczywisty interes Ameryki. Ale tego nie chcieli brać pod uwagę nasi politycy, zwłaszcza po prawej stronie sceny politycznej. Wypierali tę oczywistą prawdę ze świadomości. Bezgranicznie ufając Ameryce, rozwalali od środka Unię Europejską, a w swojej antyrosyjskości wychodzili raz po raz przed europejski szereg. Przy nowej polityce Stanów Zjednoczonych Europa została sama i, jak się okazuje, bezbronna. Oczywiście Unia Europejska ma ogromny potencjał gospodarczy, jest w stanie stworzyć wspólną armię gwarantującą bezpieczeństwo wszystkich państw członkowskich. Ale to wymaga czasu, którego nie ma za wiele i, co więcej, zgodnej woli wszystkich członków Unii. A z tym może być jeszcze gorzej.

Tymczasem w kraju zbliżają się wybory prezydenckie. W sondażach prowadzi Rafał Trzaskowski, za nim o kilka punktów niżej Karol Nawrocki, za Nawrockim Sławomir Mentzen. Trójka lewicowych kandydatów, Biejat, Zandberg i Senyszyn, w sumie ma kilkuprocentowe poparcie. Szkoda. W debacie w Końskich Magdalena Biejat zaprezentowała się naprawdę bardzo dobrze. Kondycja lewicy w Polsce jest taka, jaka jest (a dlaczego – to temat na odrębną dyskusję), więc wsparcie kandydatów w kampanii jest proporcjonalne do jej kondycji. Radzę jednak nie zapominać o tym, że to głosy lewicowego elektoratu zadecydują o wynikach wyborów. Trzaskowski wygra zapewne pierwszą turę. W drugiej znajdzie się raczej razem z Nawrockim. Nawrockiemu przybędzie głosów części elektoratu Konfederacji i niestety chyba także PSL. Trzaskowskiemu – części elektoratu Hołowni (jak dużej?) i części elektoratu lewicy. Mam nadzieję, że elektorat lewicy pofatyguje się do wyborów i, wybierając między Trzaskowskim a tępawym, powtarzającym hurrapatriotyczne slogany Nawrockim, odda głos na tego pierwszego. Bez głosów elektoratu lewicy Trzaskowski przegra drugą turę!

Radzę nie zapominać o tym, że to głosy lewicowego elektoratu zadecydują o wynikach wyborów.

Gdyby zaś do drugiej tury obok Trzaskowskiego wszedł Mentzen, zebrałby też głosy elektoratu PiS, bo ten, postawiony przed wyborem: Trzaskowski lub ktokolwiek, bez wątpienia zagłosowałby na kogokolwiek. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Im więcej Mentzen gada (a na szczęście gada coraz więcej), tym więcej wypowiada głupot i słupki jego poparcia spadają.

Tymczasem minęły święta. W drugi dzień mieliśmy tradycyjny śmigus-dyngus i chyba dobrze zrobił strumień zimnej wody wylany na rozpalone przed wyborami polskie głowy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b4797edfc

Bank rolny potrzebny natychmiast

Na świecie spółdzielnie rolnicze i banki rolne gwarantują stabilność dochodów oraz pomyślny rozwój gospodarstw wiejskich. Ale nie nad Wisłą

Grzegorz Rudnik

Japoński Norinchukin Bank jest jednym z największych banków spółdzielczych na świecie. Dysponuje aktywami rzędu 642,4 mld dol. Głównym zadaniem japońskiego giganta jest obsługa tamtejszych rolników, rybaków oraz właścicieli obszarów leśnych.

Największym bankiem spółdzielczym świata jest grupa Crédit Agricole, której aktywa na koniec 2024 r. sięgnęły 2,37 bln euro. Ta francuska instytucja finansowa założona w 1894 r. wybiła się na obsłudze tamtejszych *agriculteurs* (rolników) oraz właścicieli ziemskich. Początkowo była zwykłą kasą spółdzielczą.

Dla porównania największy polski bank, PKO BP, posiada aktywa w wysokości ok. 140 mld dol. – przy Japończykach i Francuzach jest niczym kasa zapomogowo-pożyczkowa z Wygwizdowa.

Dania, której rolnictwo uchodzi nie tylko w Europie za wzorcowe, ma kilka banków specjalizujących się w obsłudze gospodarstw. Danske Bank, którego aktywa to dziś 518 mld dol., powstał w 1871 r. jako Den Danske Landmandsbank (Duński Bank Rolników). Dzisiaj jest uniwersalną instytucją finansową, lecz nadal współpracuje z duńskimi spółdzielniami rolniczymi, do których należą prawie wszyscy tamtejsi farmerzy.

W 1960 r. w Kopenhadze rozpoczął działalność DLR Kredit, bank, który do 1999 r. miał w Danii monopol na udzielanie kredytów hipotecznych na zakup nieruchomości mieszkaniowych oraz komercyjnych. Jego główną misją było i jest wspieranie duńskiego rolnictwa. Dzisiaj jego aktywa to 27,8 mld euro. W Danii działa też Vestjysk Bank, który udziela kredytów rolnikom.

Każdy kraj, którego rolnictwa nie zdominowały wielkie gospodarstwa należące do funduszy inwestycyjnych lub międzynarodowych koncernów, korzysta z modelu opartego na spółdzielniach rolniczych, bankach spółdzielczych i wyspecjalizowanych instytucjach finansowych, których głównym zadaniem jest wspieranie tego sektora gospodarki.

Każdy kraj, którego rolnictwa nie zdominowały wielkie gospodarstwa, korzysta z modelu opartego na spółdzielniach rolniczych, bankach spółdzielczych i wspierających je instytucjach finansowych.

Doświadczenie uczy, że tylko takie rozwiązanie sprawdza się w przypadku licznych małych i średnich gospodarstw, gwarantując przyzwoite, stabilne dochody farmerom. I, co najistotniejsze, systematyczny rozwój obszarów wiejskich, gdyż spółdzielnie rolnicze chętnie korzystają z nowinek technicznych, skutecznie obniżają koszty produkcji i dbają o swoich członków. A finansowaniem rolnictwa zajmują się banki rolne.

Ten model w Polsce nie istnieje. Spółdzielnie rolnicze, które w ostatnich dekadach odniosły sukces, to wyłącznie spółdzielnie mleczarskie, takie jak Mlekpol, Mlekovita czy okręgowe spółdzielnie mleczarskie w Łowiczu, Włoszczowie, Kole i Giżycku. Największym gospodarstwem rolnym w kraju, o powierzchni ponad 13 tys. ha, jest Spółdzielcza Agrofirma Witkowo, mająca siedzibę niedaleko Stargardu w województwie zachodniopomorskim. To jednak wyjątek, nie reguła.

Polskie rolnictwo pozostaje rozproszone, dominują w nim gospodarstwa o powierzchni do 8 ha, o słabej kondycji i raczej bez perspektyw. By uprawa ziemi się opłacała, gospodarstwo musi mieć ponad 50 ha i powinno zapewnić sobie stabilne, wieloletnie finansowanie. Na przykład dzięki bankowi rolnemu – gdyby taki nad Wisłą istniał.

Każdy sobie rzepkę skrobie

Na początku lat 90. XX w. polityków dawnej opozycji antykomunistycznej, którzy doszli do władzy w wyniku wygranych wyborów w czerwcu 1989 r., stan rolnictwa nie interesował. Nie było też dla niego miejsca w tzw. planie Balcerowicza. Przyjęto zasadę, że każdy musi radzić sobie sam.

Gigantyczny wzrost oprocentowania kredytów udzielanych rolnikom zepchnął setki tysięcy gospodarstw w biedę. Likwidacja państwowych

eprasa.pl 4b4797edfc

Oddział Banku Spółdzielczego we Wschowie, który w 2024 r. po raz czwarty zajął pierwszą lokatę w Ogólnopolskim Rankingu Najlepszych Banków Spółdzielczych.

gospodarstw rolnych i otwarcie rynku na towary importowane zdemolowały wieś na lata. Symbolem tamtych czasów stała się butelka taniego wina Arizona, którym raczyli się chłopi, chętnie opisywani w mediach jako degeneraci i nieudacznicy. Istniał jeszcze Bank Gospodarki Żywnościowej (BGŻ), działały banki spółdzielcze, lecz co można było zrobić?

W 1993 r. na fali niezadowolenia z rządów solidarnościowców władzę przejął Sojusz Lewicy Demokratycznej w koalicji z Polskim Stronnictwem Ludowym. Po organizowanych w latach 1990-1993 protestach rolniczych, których symbolem stała się zatknięta na kiju świńska głowa, liczono na zmiany. Te co prawda nadeszły, gospodarka ruszyła, lecz wieś poprawy nie odczuła.

W 1997 r. koalicja SLD-PSL przegrała wybory i do władzy doszła Akcja Wyborcza Solidarność wraz z Unią Wolności. W 2001 r. do Sejmu dostała się Samoobrona z Andrzejem Lepperem, która zdobyła ponad 10% głosów. Po raz kolejny zdecydowały głosy niezadowolonych rolników.

Zmiana na lepsze nastąpiła po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Pojawiły się dopłaty dla rolników, programy aktywizacji obszarów wiejskich, a co najważniejsze – otwarte zostały bogate rynki państw zachodnich. Ruszył eksport polskich produktów rolnych, co zapewniło opłacalność produkcji i względną stabilizację. Wieś zaczęła się modernizować, lecz model rolnictwa wiele się nie zmienił – nadal dominowały drobne gospodarstwa, którym coraz trudniej było się utrzymać.

W 2004 r. Rabobank, holenderski bank spółdzielczy specjalizujący się w finansowaniu rolnictwa, kupił 13,76% akcji Banku Gospodarki Żywnościowej, z czasem zwiększając swój udział do 92,26%. W 2014 r. Holendrzy sprzedali BGŻ Francuzom z BNP Paribas – i tak się skończyła jego historia.

Na wsi nadal obowiązuje zasada, że każdy sobie rzepkę skrobie. Banki, jeśli udzielają rolnikom kredytów preferencyjnych, to oczekują rekompensaty ze strony państwa. Obsługują też strumienie dotacji płynących z Unii Europejskiej do Polski, co przynosi im niemałe zyski.

Polityka państwa w odniesieniu do rolnictwa polega na gaszeniu pożarów. A to afrykański pomór świń, a to ptasia grypa, zalew taniego ukraińskiego zboża czy kolejne protesty niezadowolonych rolników, którzy domagają się interwencji, czyli dodatkowych pieniędzy. Od 1990 r. brakuje systemowego podejścia do tej gałęzi gospodarki, a przede wszystkim brakuje wyspecjalizowanej w obsłudze rolnictwa instytucji finansowej, czyli banku rolnego z prawdziwego zdarzenia.

Jak to się robi w innych krajach

Dania, Japonia i Korea Południowa to przykłady bogatych, rozwiniętych technologicznie państw, w których rolnictwo ma się dobrze. Fundamentem ich dobrobytu jest spółdzielczość. Ponad 90% gospodarstw rolnych w tych krajach jest zrzeszonych w spółdzielniach, w których obowiązuje zasada „jeden człowiek, jeden głos". Z inicjatywy rządów powołano tam banki rolne specjalizujące się w obsłudze gospodarstw. We Francji, Japonii i Korei Południowej są to banki spółdzielcze, których udziałowcami najczęściej są mniejsze spółdzielnie rolnicze. Na przykład japoński Norinchukin Bank, będący centralnym bankiem spółdzielczym dla sektora rolniczego, leśnictwa i rybołówstwa, ma ponad 3 tys. udziałowców, którymi są mniejsze organizacje spółdzielcze. Szczebel niżej są federacje spółdzielni rolniczych, takie jak ZEN-NOH (Krajowa Federacja Stowarzyszeń Spółdzielni Rolniczych) z 945 podmiotami członkowskimi. Zajmuje się produkcją i sprzedażą maszyn rolniczych, marketingiem i sprzedażą produktów rolnych, sprzedażą pasz dla zwierząt oraz dystrybucją nawozów sztucznych i środków ochrony roślin (kontroluje 70% japońskiego rynku). Działająca na wyspie Hokkaido Federacja Spółdzielni Rolniczych

W 2004 r. Rabobank kupił 13,76% akcji BGŻ, a z czasem zwiększył swój udział do 92,26%. W 2014 r. Holendrzy sprzedali BGŻ Francuzom z BNP Paribas – i tak skończyła się jego historia.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b4797edfc

Hokuren zajmuje się przetwórstwem i sprzedażą mleka i zboża. Ma własne centra przetwórcze i magazyny zbożowe.

ZEN-NOH oraz inne federacje skupiające japońskie spółdzielnie rolnicze są liderami w eksporcie tamtejszych produktów rolnych, takich jak ryż czy wołowina Wagyū. Od strony finansowej wsparcie zapewniają: Norinchukin Bank i JA Kyosai (Krajowa Federacja Ubezpieczeń Wzajemnych Spółdzielni Rolniczych). System ten stabilizuje japońskie rolnictwo, zapewniając farmerom przyzwoite dochody – nawet jeśli ceny produktów rolnych okresowo spadają, to jako spółdzielcy mają oni zapewniony udział w zyskach.

Taki sam model funkcjonuje w Korei Południowej, w której od 1961 r. działa Krajowa Federacja Spółdzielni Rolniczych NongHyup. To jedna z największych na świecie organizacji rolniczych, która zajmuje się wspieraniem rolników i rozwojem tej gałęzi gospodarki. Na pomysł powołania do życia NongHyup wpadł drugi prezydent Korei Południowej, absolwent Uniwersytetu Edynburskiego, Yun Bo-seon. Rozwiązanie to wzorował na doświadczeniach japońskich. Rok później w wyniku przewrotu wojskowego został obalony przez gen. Park Chung-hee. Ten z kolei zdecydował, że Krajowa Federacja Spółdzielni Rolniczych ma się zająć niemal wszystkim, co wiąże się z rolnictwem. Dziś oferuje ona koreańskim rolnikom szeroką gamę produktów bankowych i ubezpieczeniowych. Zajmuje się przetwórstwem produktów rolnych, ich promocją i eksportem, organizuje szkolenia dla rolników i dostarcza nowe rozwiązania technologiczne. NongHyup ma też sieć centrów dystrybucji oraz własnych sklepów spożywczych. W konsekwencji odgrywa kluczową rolę w gospodarce, wspierając zarówno małych producentów, jak i rozwój sektora rolnego.

Podobny model zbudowali Duńczycy. Spółdzielnia Arla Foods jest jednym z największych na świecie producentów mleka i przetworów mlecznych. Danish Crown to z kolei lider w przetwórstwie mięsa, szczególnie wieprzowiny. W Polsce jest właścicielem jednego z największych zakładów mięsnych w Europie Środkowo-Wschodniej – firmy Sokołów SA w Sokołowie Podlaskim. Spółdzielnia Danish Agro zajmuje się dystrybucją pasz, nasion, nawozów rolniczych oraz maszyn.

Dania, Japonia i Korea Południowa to przykłady rozwiniętych technologicznie państw, w których rolnictwo ma się dobrze. Fundamentem ich dobrobytu jest spółdzielczość.

Duńskie spółdzielnie rolnicze odpowiadają za 95% produkcji mleka, 90% produkcji mięsa i jaj – są kluczowym graczem w eksporcie produktów rolno-spożywczych z tego kraju.

Duński model spółdzielczy, który jest filarem przemysłu rolno-spożywczego, pozwala na redukcję kosztów produkcji oraz, dzięki wspólnemu marketingowi i inwestycjom, zwiększenie konkurencyjności na rynkach międzynarodowych. Tę działalność wspierają duńskie banki i instytucje finansowe. System działa sprawnie od dziesięcioleci, więc duński minister rolnictwa pracy ma niewiele.

Czy podobne rozwiązania można by przenieść na polski grunt?

Rolnik na zagrodzie równy wojewodzie?

Nie, nie da się tego zrobić. Przykład sukcesu spółdzielni mleczarskich nie zachęcił hodowców trzody chlewnej, właścicieli sadów ani producentów zbóż do organizowania się w takie same struktury. Powołanie banku rolnego, który zająłby się udzielaniem kredytów hipotecznych i zaoferowałby mieszkańcom wsi usługi finansowe, nie wchodzi w grę z przyczyn politycznych. Nawet Polskie Stronnictwo Ludowe nie jest tym zainteresowane, gdyż obawia się reakcji koalicjantów oraz Prawa i Sprawiedliwości. Jak powiedział mi anonimowo jeden z zasiadających w Sejmie ludowców, wśród polityków dominuje przekonanie, że ten, kto kontrolowałby bank rolny, zyskałby na wsi potężne wpływy polityczne. Wszak rządzący traktują spółki skarbu państwa jako łup. Jedni – jak PiS – robią to ostentacyjnie, z przytupem, a drudzy starają się zachować „umiar i pozory". Bank rolny, który obsługiwałby transfery środków z Brukseli, udzielał kredytów hipotecznych oraz innych, niżej oprocentowanych niż w bankach komercyjnych i na długie terminy, wywołałby wściekłość zarządów banków komercyjnych, które rozpętałyby kampanię pod hasłem „rząd wspiera nieuczciwą konkurencję za pieniądze podatników". „Zaprzyjaźnione" z sektorem bankowym media rozdmuchałyby temat, a gdy do władzy doszłaby nowa ekipa, zarzuciłaby „skompromitowany" pomysł i albo sprzedała taki bank, albo zlikwidowała.

Czasy idą niepewne. Za polską granicą toczy się wojna. Nie tak dawno wspominano o potrzebie zapewnienia krajowi „bezpieczeństwa żywnościowego". Faktem jest, że z roku na rok eksport polskiej żywności rośnie. Jesteśmy największym w Europie producentem mięsa drobiowego. Polskie spółdzielnie mleczarskie z powodzeniem konkurują z producentami zachodnimi. Nie brakuje głosów, że jest dobrze. Mało kto przejmuje się ostrzeżeniami, że gdy wojna się skończy i Ukraina zacznie rozbudowywać swój sektor rolniczy, przynajmniej część polskich producentów nie wytrzyma konkurencji i upadnie. Albo zostanie przejęta przez sąsiadów ze Lwowa. Sprawnie działający polski bank rolny mógłby sytuację poprawić.

Być może pojawiła się okazja. 9 kwietnia br. agencja Bloomberg podała, że hiszpańska Grupa Santander chce sprzedać swój Santander Bank Polska SA, trzeci co do wielkości bank w naszym kraju. W grę może wchodzić 7-8 mld dol.

Może dobrym pomysłem byłby zakup tego banku i skłonienie zarządu, aby na poważnie zajął się obsługą rolnictwa, oferując farmerom tanie kredyty i finansowanie inwestycji w przetwórstwo rolno-spożywcze? Bo bank rolny jest nam bardzo potrzebny.

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl 4b4797edfc

Adwokat od „trumien na kółkach” skazany

Ponad dwa lata trwał proces adwokata oskarżonego o spowodowanie wypadku, w którym zginęły dwie kobiety

Marek Książek

Gdyby łódzki adwokat nie wypowiedział w sieci słów o „trumnach na kółkach”, pewnie spowodowany przez niego wypadek uznano by za pospolity. Zginęły dwie osoby, sprawca stanął przed sądem i został skazany za naruszenie zasad Kodeksu drogowego – zdarzenie zwykłe, choć tragiczne, zwłaszcza dla rodzin ofiar. Dwie kobiety w wieku 53 i 67 lat jechały do wnuków wysłużonym audi z Jezioran do Barczewa, gdy z drugiej strony zajechał im drogę mercedes-benz. Przekroczył podwójną linię, doszło do zderzenia, w wyniku którego obie kobiety zginęły, a kierowca mercedesa oraz jego żona i kilkuletni synek nie odnieśli obrażeń. Sprawcą wypadku był 41-letni adwokat Paweł Kozanecki (zgodził się na podanie nazwiska), który w niedzielę 26 września 2021 r. wracał z wesela zaprzyjaźnionej influencerki.

I to ona zaczęła ten niesmaczny spektakl, gdy, dowiedziawszy się o wypadku, zamieściła na Instagramie ostrzegawczy wpis: „Nie mogę oddychać. Moi bliscy przeżyli tylko dlatego, że mieli 2-letnie auto wysokiej klasy z zaawansowanymi systemami bezpieczeństwa. Ofiary jechały dwudziestokilkuletnim autem bez poduszek. Uważajcie na siebie, zapinajcie pasy”. Oliwy do ognia dolał sam adwokat, wypuszczając w sieci filmik z taką wypowiedzią: „Wszyscy mówią o tym, że nadmierna prędkość, że brawura, że telefony komórkowe, że pijani kierowcy. Ale zapominamy o tym, moi drodzy, że po naszych drogach poruszają się trumny na kółkach. I m.in. dlatego te kobiety zginęły!”.

Tego już było za dużo; nie dość, że sprawca przekroczył podwójną linię ciągłą na drodze, to jeszcze przekroczył granicę arogancji – oceniła opinia publiczna i o wypadku zrobiło się głośno, a mec. Kozanecki miał kłopoty dyscyplinarne w Okręgowej Radzie Adwokackiej w Łodzi.

W artykule „Konfrontacja adwokata z »trumną na kółkach«” („Przegląd”, 6 marca 2023) opisaliśmy początek procesu, gdy w olsztyńskim sądzie pojawili się oskarżony, jego obrońca i rodzina poszkodowanych. Paweł Kozanecki nie przyznał się do winy. Spokojnie stwierdził, że jechał zgodnie z przepisami, a system kontroli trasy w jego aucie uniemożliwiał zjechanie na lewy pas, więc nie mógł przekroczyć podwójnej linii ciągłej. Podczas prowadzenia pojazdu, tuż przed wypadkiem, był opanowany, nic mu nie przeszkadzało i nie ma pojęcia, jak doszło do zderzenia.

Mec. Paweł Kozanecki na ławie oskarżonych.

Paweł Kozanecki stwierdził, że jechał zgodnie z przepisami, nie ma pojęcia, jak doszło do zderzenia.

Proces ciągnął się ponad dwa lata, obrona oskarżonego wnioskowała o dodatkowe ekspertyzy, a prowadząca od 2024 r. sprawę sędzia Anna Pałasz traktowała te wnioski przychylnie. Wreszcie sąd 11 kwietnia br. wydał wyrok: dwa lata bezwzględnego więzienia, chociaż zmodyfikował opis czynu przyjęty przez prokuratora. Nie uznał, że kierowca mercedesa umyślnie naruszył zasady bezpieczeństwa w ruchu lądowym, przekraczając podwójną linię, np. podczas wyprzedzania, lecz orzekł, że adwokat zjechał na lewy pas, bo nie kontrolował pojazdu. A powinien patrzeć przed siebie i obserwować, co się dzieje na drodze. Musi mieć otwarte oczy, nawet gdy nie jest to szosa ruchliwa. Czy na jego zachowanie miało wpływ zażycie śladowej ilości kokainy, nie udowodniono.

Oskarżonego nie było na ogłoszeniu wyroku, jednak sędzia podkreśliła, że choć jego słowa o „trumnach na kółkach” są naganne moralnie, nie mogą wpływać na wysokość wyroku. Sąd ocenia nie człowieka, lecz jego czyn. Wyrok jest nieprawomocny, a orzeczony został również zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat i konieczność zapłacenia nawiązki (od 5 tys. do 30 tys. zł) na rzecz członków rodziny ofiar. ■

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl 4b4797edfc

MAZURY PRZED SEZONEM

NA JEZIORACH JESZCZE NIKOGO NIE MA

Anna Wyrwik

– Zimy tu bywają piękne – mówi Bartek. – Choć ostatnio mniej śniegu jest i cieplej. Ale gdy tylko się da, robimy zimą różne dziwne rzeczy. Latamy na bojerach, jeździmy na łyżwach albo zakładamy narty biegowe.

– Poza sezonem na Mazurach jest cisza i zdecydowanie mniej ludzi – przyłącza się Dominik.

– Tak, cisza, pusto, mniejszy ruch na drogach, nie ma ludzi w sklepach, na jeziorach to już w ogóle nikogo nie ma. Jest spokój – dodaje drugi Bartek.

W marcowy deszczowy dzień w porcie Sztynort Bartek, Dominik i Bartek, instruktorzy w Szkole Żeglarstwa Gertis, przygotowują łódki do sezonu. Drobne remonty, uzupełnianie luk w kadłubach i pokładach, jeśli ktoś stuknął w zeszłym sezonie. Kalendarz coraz szybciej im się zapełnia. Mówią, że na oblegane terminy na przełomie lipca i sierpnia, kiedy jest najcieplej i woda nagrzana, już brakuje miejsc. Podobnie jak na kursy dla młodzieży.

Trzeba być bezwarunkowo zakochanym w Mazurach, by delektować się ich widokiem poza sezonem.

Pytam o jeziora.

– Z roku na rok jest coraz więcej motorowodniaków i motorówek – krzywi się Dominik.

– I coraz więcej dużych jachtów – Bartek też się krzywi. – Niemalże morskich.

– Gdy patrzymy na ludzi na jeziorach, widzimy, jak dużo jeszcze pracy przed nami, by ich wyszkolić – ocenia drugi Bartek.

I się śmieją. Ale nie o turystach miało być, tylko o Mazurach poza sezonem.

Bez jezior nie potrafię funkcjonować

Remonty, remonty, na całych Mazurach remonty, w restauracjach, pensjonatach, agroturystykach. W Giżycku remontują tory i taras restauracji, a piwny namiot w Ekomarinie stoi pusty i zamknięty. Miasto oczywiście funkcjonuje, bo ma 27 tys. ludzi, gdzie do niego Sztynortowi, osadzie z kilkudziesięcioma mieszkańcami, żyjącej z portu. Tak czy siak, w Ekomarinie spacerują dwie osoby, stoi kilka aut, a wiatr obija się o jachty zapakowane w worki.

– Jakie są Mazury poza sezonem? – powtarza moje pytanie dr Robert Kempa, dyrektor Centrum Promocji i Informacji Turystycznej w Giżycku. – To normalne Mazury pozbawione sezonu, czyli pogody, która eksponuje ich podstawowe walory, bo dla ludzi Mazury to kraina z błękitem jezior, zielonymi lasami, coś w rodzaju cudu natury. Poza sezonem te walory zanikają. Jeżeli do tego nie ma białej zimy, a ostatnio z powodu zmian klimatu nie ma, trzeba być bezwarunkowo zakochanym w Mazurach, by delektować się ich widokiem poza sezonem. Są takie osoby, zwłaszcza miejscowi. Dla mnie na Mazurach pora roku nie ma znaczenia.

Robert Kempa jest związany z Mazurami od zawsze. Mówi, że czuje się tu świetnie ze względu na przestrzeń, czyli lasy, łąki, pola i przede wszystkim wodę.

– Bez widoku jezior i możliwości korzystania z nich nie potrafię funkcjonować.

Wspomina też o spokoju, którego na Mazurach szuka wielu turystów. Jak informowała pod koniec 2024 r. „Gazeta Olsztyńska" na podstawie danych Orange Polska SA przedstawionych na Forum Turystyki, w okresie od maja do września zeszłego

eprasa.pl 4b4797edfc

Jeśli ktoś ma przesyt i chce odpocząć, Mazury poza sezonem są super.

W porcie Sztynort Bartek, Dominik i Bartek, instruktorzy w Szkole Żeglarstwa Gertis, przygotowują łódki do sezonu.

Krzysztof Wittbrodt, dyrektor Mazurskiego Parku Krajobrazowego: – Mazury z terenu rolniczego przekształciły się w region nastawiony na turystykę.

roku województwo warmińsko-mazurskie odwiedziło 7,34 mln osób. To o 5,8% więcej niż w 2023 r. Z tej liczby 62% to turyści, a wśród nich ponad 93% stanowią turyści krajowi.

Robert Kempa potwierdza, że w sezonie są tłumy, ale pociesza, że nie w każdym miejscu, bo i na przełomie lipca i sierpnia można się delektować Mazurami w samotności. Oczywiście jednak Sztynort, Giżycko, Mikołajki itd. od maja do września, a nawet do października, wręcz buchają sezonem. I pewnie ten trend będzie się nasilał.

– Zmiany klimatyczne sprawiły, że tradycyjny urlop letni w Hiszpanii, we Włoszech czy w Grecji dla wielu osób jest już niemożliwy – tłumaczy Robert Kempa. – Branża to rozumie i dostrzega, że warto zainwestować w regiony, które latem oferują inne opcje. A ludzie coraz częściej szukają wypoczynku na północy Polski. Tu otwiera się dla nas furtka.

Nowi kolonizatorzy

– Jeśli idzie o rynek pracy, Mazury są polskim trzecim światem – mówi Robert Kempa. – Mało komu przychodzi tu do głowy, by zaproponować ludziom więcej niż minimalną krajową. Ceny są takie same jak w innych rejonach Polski, a zarobki mniejsze.

Zerknijmy do statystyk. Portal Wynagrodzenia.pl podaje na podstawie danych GUS, że w styczniu 2025 r. przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto wyniosło w województwie warmińsko-mazurskim 7295 zł. To w Polsce trzeci wynik od końca, a na końcu są województwa świętokrzyskie (7231) i podlaskie (7277). Najlepsze zarobki są w województwie mazowieckim (9740). Wynik w skali kraju to 8482 zł.

Statystyki statystykami, ale czasem lepiej wsiąść w samochód, ruszyć w drogę i popatrzeć przez okno. W kolejnych mazurskich gminach i wsiach trafimy na nieremontowane od lat mieszkania w starych, poniemieckich domach. Ściany pękają, a na podwórkach rdzewieją stare sprzęty. Na dziurawych drogach królują zdezelowane audi i volkswageny.

– To już nie są czasy, że się żyje z tego, co się zarobi w sezonie – wzdycha Robert Kempa. – Zarabiają ci, którzy już coś mają, restaurację, drugie mieszkanie, pensjonat. Czasy, kiedy pani wynajmowała pokój u siebie, bo stoi pusty, minęły.

To wszystko, a do tego jeszcze fakt, że wszędzie daleko: do kultury wysokiej, do sklepów z dobrymi ubraniami, do dobrze płatnej pracy, sprawia, że – jak mówi Robert Kempa – robi się smutno i człowieka nachodzą myśli: co ja tu jeszcze robię?

Dlatego wielu młodych wyjeżdża. Z badań Urzędu Statystycznego w Olsztynie wynika, że w latach 2020-2023 liczba ludności zmniejszyła się w 95 ze 116 gmin województwa warmińsko-mazurskiego. Zwiększył się zaś współczynnik obciążenia demograficznego, czyli liczba osób w wieku poprodukcyjnym przypadających na osoby w wieku produkcyjnym. Autorzy raportu piszą o województwie: „Jest czwartym pod względem powierzchni i 12. pod względem liczby ludności województwem w kraju. W 2023 r. jego obszar

eprasa.pl 4b4797edfc

zamieszkiwało 1357,9 tys. osób, które stanowiły 3,6% populacji Polski. (…) Należało do najmniej zaludnionych województw w kraju – gęstość zaludnienia była ponaddwukrotnie niższa niż w Polsce".

Ci, którzy na Mazury przybywają, to (oprócz turystów) nowi kolonizatorzy. Tak ich zwie Robert Kempa. W kolejnych mazurskich gminach i wsiach widać za oknem, między poniemieckimi domami i chatami z zabłoconymi podwórkami, nowe domy z katalogów, w stylu szkieletowym, modułowym, zwał, jak zwał, warszawskim, wielkomiejskim, klasowym. A pasują tu jak łyżwy do żagla. Mija się wille, szklane bliźniaki albo sześcioraczki, mija się apartamentowce rosnące nad brzegami jezior. Na dziurawych drogach mija się SUV-y na blachach często na literę W. Budowy, budowy, na całych Mazurach budowy, dźwięki betoniarek, młotów, wycinarek.

Wszędzie „na sprzedaż" i „na sprzedaż". Za oknem widać Rydzewo, gdzie mieszkanie ok. 30 m kw. z własnym miejscem w porcie można kupić za 600 tys. zł, a 50 m kw. z własną mariną za ponad milion. Widać Stare Sady, w których rządzi wielki *lake resort*, a domy 160 m kw. kosztują półtora miliona. Widać Ogonki, gdzie budowlańcy pędzą z robotą, by przed sezonem oddać do użytku wielkie, ciemne apartamentowce nad brzegiem jeziora, reklamujące się hasłem „Najbezpieczniejsza przystań dla twojego kapitału". Widać Węgorzewo, gdzie powstaje Blue&Green Masurian Hotel, bo przecież „kraina z błękitem jezior, zielonymi lasami". Hotel jeszcze nie jest skończony, ale na Bookingu już prezentuje walory: centrum wellness, spa, zabiegi, fitness, basen, saunę, leżaki i plażę.

– Kolonizują Mazury, tak jak się kolonizowało różne zakątki świata w ciągu dziejów, czyli po to, by na tym zarobić – Robert Kempa nie kryje goryczy. – Wykupują Mazury i je zabudowują.

Coraz trudniej znaleźć miejsce nad brzegiem jeziora, które nie byłoby odgrodzone lub obwarowane tabliczkami „teren prywatny" czy „wstęp wzbroniony".

Mieszkańcy Mazur narzekają, że zaraz nie będzie ich stać, by na tych Mazurach mieszkać. A na pewno w co atrakcyjniejszych okolicach. Narzekają również na ograniczenie dostępu do jezior. Nie tylko oni, bo narzekają także turyści. Coraz trudniej znaleźć miejsce nad brzegiem jeziora, które nie byłoby odgrodzone lub obwarowane tabliczkami „teren prywatny" czy „wstęp wzbroniony".

Mieszkańcy narzekają, że ich nie stać, by na Mazurach mieszkać. A na pewno w co atrakcyjniejszych okolicach. Narzekają też na ograniczenie dostępu do jezior.

– Kiedyś było inaczej – opowiada Robert Kempa. – Wciąż potrafię sobie znaleźć miejsce nad jeziorem, bo pochodzę stąd, ale w ostatnich latach z wielu moich miejsc jestem przepędzany. Pojawia się ktoś i mówi, że to własność prywatna i dobrze by było, abym zniknął.

Co do nowych kolonizatorów, wielu z nich liczy na szybki zarobek, bo skoro jest dużo chętnych, to i ceny działek idą w górę.

Są też oczywiście ci, którzy na Mazurach szukają ciszy, spokoju, przyrody, miejsca, gdzie po pracy można przejść w inny tryb. Ważne, by nie była to dla nich jedynie odskocznia od codziennej aktywności życiowej, lepiej, aby mieli tu miejsce tej aktywności, czytaj: miejsce, w którym będą również płacić podatki.

– Nie odnosimy korzyści z tego, że ci ludzie tu są – kończy Robert Kempa. – Moim zdaniem rozwiązaniem jest połączenie pracy zdalnej z inwestowaniem w regionie. Niech tu mieszkają, płacą podatki i pracują zdalnie. Jest super, bo kończysz pracę i jesteś na urlopie, w miejscu, o którym inni przez cały rok marzą.

Wielki wpływ na przyrodę

– Mazury się zmieniają. Z terenu rolniczego przekształciły się w region nastawiony na turystykę – mówi Krzysztof Wittbrodt, dyrektor Mazurskiego Parku Krajobrazowego, mającego siedzibę w Krutyni, w sercu Puszczy Piskiej.

Co do mieszkańców, Krzysztof Wittbrodt stwierdza, że żyją w swoich miejscowościach i na nich się skupiają, nie zwracając większej uwagi na to, co się dzieje w skali całego województwa. Tym bardziej martwią się przyjezdni, szczególnie związani z ochroną przyrody. I do tematu przyrody przechodzimy.

eprasa.pl 4b4797edfc

Robert Kempa, dyrektor Centrum Promocji i Informacji Turystycznej w Giżycku, jest związany z Mazurami od zawsze.

– Zmiany zachodzące na Mazurach mają wielki wpływ na przyrodę. Często zastanawiamy się, gdzie się podziały niektóre gatunki albo czemu innych jest więcej. Są to następstwa zmiany sposobu użytkowania gruntów. Mamy coraz mniej pól uprawnych, coraz więcej łąk i, o zgrozo, coraz więcej terenów przeznaczonych pod zabudowę rekreacyjną i mieszkalną. Jest na to duża presja, zwłaszcza na obszarach cennych przyrodniczo, ponieważ są to jednocześnie tereny cenne dla inwestorów. Każdy chce mieć przecież działkę i domek nad jeziorem, na pięknym wzgórzu. Mało kto pomyśli o tym, że może się tam znajdować żerowisko kani czy bielika, a kolejny pomost na jeziorze może spłoszyć rybołowa.

Jeśli chodzi o przyrodę, jest o co walczyć, bo to ona przecież stanowi o pięknie Mazur. Wystarczy spojrzeć przez okno samochodu.

– O mazurskiej przyrodzie mógłbym opowiadać godzinami – podkreśla Krzysztof Wittbrodt. – Mamy rosnącą populację bielika. Odbudowuje się populacja rybołowa, co jest fenomenem. Rośnie populacja orlika krzykliwego. Przybywa wilków i rysi. Jeśli chodzi o rośliny, mamy choćby groszek różnolistny, który do niedawna był w Polsce uważany za wymarły. Są też liczne porosty, co świadczy o bardzo dobrej jakości powietrza na Mazurach.

Jeśli idzie o czas poza sezonem, czyli od listopada do kwietnia, w Mazurskim Parku Krajobrazowym jest co robić. Jesienią przyroda przygotowuje się do zimowego letargu, a przyrodnicy rozpoczynają inwentaryzację, czyszczą skrzynki lęgowe, sprawdzają gniazda ptaków drapieżnych. Wiosną przyroda na nowo rozkwita.

– Wiąże się to niestety z początkiem sezonu turystycznego – dodaje dyrektor Wittbrodt. – Całe szczęście, że jego szczyt zaczyna się pod koniec czerwca, a okres lęgowy ptaków wcześniej. Wiosną nie ma jeszcze tak wielkiego zamieszania, hałasu i niepotrzebnego niepokojenia zwierząt. Dzięki temu rodzice mają możliwość wyprowadzenia młodych z lęgu.

Skoro o niepokojeniu mowa, pytam dyrektora Mazurskiego Parku Krajobrazowego o turystów i ich maniery. Pociesza, że coraz więcej jest turystów świadomych.

– Przyjeżdżają na Mazury, by cieszyć się tym miejscem, i to nie w egoistycznym znaczeniu tego słowa, czyli: ja, mój głośnik bluetooth i muzyka dookoła. Cieszą się przyrodą, kulturą i zwiedzają z głową.

Do zwiedzania z głową Krzysztof Wittbrodt poleca aplikację MPK oraz daje kilka rad: by nie zakłócać pobytu innych, cieszyć się przyrodą i dać się nią cieszyć pozostałym. A przy okazji mieć w plecaku telefon, apteczkę, kurtkę przeciwdeszczową i chodzić po szlakach, a nie obok, bo szlaki są zaprojektowane tak, by były atrakcyjne, ale jednocześnie odciążały miejsca cenne przyrodniczo.

Jednak nie o turystach miało być, tylko o Mazurach poza sezonem.

– Są piękne, jak i w sezonie. Tyle że każdy z nas inaczej to piękno odbiera. Turyści oczekują pełni słońca, niebieskiego nieba, ciepłej wody. Dla nas, przyrodników, na Mazurach cały czas dzieje się coś ciekawego i cały czas są one piękne. Poza sezonem nie ma tylu ludzi, jest oddech, trochę spokoju i można swobodnie popracować.

To już nie są czasy, że się żyje z tego, co się zarobi w sezonie. Zarabiają ci, którzy już coś mają: restaurację, drugie mieszkanie, pensjonat.

Fajnie tu teraz być

Wróćmy do Sztynortu. Szary port, szara woda, szary krajobraz, ale zaraz wybuchnie kolor zielony, niebieski, żółty, a potem feeria kolorów strojów sportowych, napojów, potraw, dmuchańców i innych karuzeli na całych Mazurach; festiwali, szant i samochodów na blachach z całej Polski.

Tymczasem Dominik i dwóch Bartków przygotowują łódki do sezonu. Trzeba je porządnie umyć, póki są na lądzie. To ostatni moment, kiedy można to zrobić, bo jutro chłopaki będą je wodować, a w wodzie nie można używać detergentów.

Oni już pracują, ale w Sztynorcie na razie jest pusto i cicho. Mazury są jeszcze poza sezonem.

– Fajnie tu teraz być – mówi Bartek. – Jeśli ktoś lubi hałas i dużo ludzi wokół siebie, to poza sezonem powinien stąd wyjechać. Ale jeśli ma przesyt i chce odpocząć, Mazury poza sezonem są super. Proszę napisać, że teraz jest najlepszy moment, by przyjechać na Mazury!

Anna Wyrwik

FOT. ANNA WYRWIK (4), ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4b4797edfc

Czerwoni Khmerzy i maraton eksterminacji

Sprawcy ludobójstwa w Kambodży zostali ukształtowani przez stalinizm i maoizm

Bohdan Piętka

Po pięciu latach kambodżańskiej wojny domowej, 17 kwietnia 1975 r., do Phnom Penh wkroczyli ni to żołnierze, ni to partyzanci płci obojga. Ubrani w czarne, zgrzebne stroje, z kaszkietami na głowach i kraciastymi chustami zawiązanymi na szyi, co zdradzało przybyszów z głębokiej i biednej prowincji. Przeważnie mieli po 15-17 lat i byli dobrze uzbrojeni. Dominowała broń chińska, ale nie brakowało też radzieckiej (AK-47) i amerykańskiej. Twarze tych młodych ludzi nie zdradzały emocji, mimo że wielu po raz pierwszy znalazło się w dużym mieście i pierwszy raz zobaczyło zachodnie samochody, motocykle, jak również takie przejawy nieznanego im luksusu jak muszle klozetowe, wanny, lustra i łóżka. Samochody i motocykle natychmiast rekwirowali ich właścicielom, a pierwsza jazda w życiu niejednokrotnie kończyła się kraksą. Była to Rewolucyjna Armia Kampuczy – zbrojne ramię maoistowskiego i nacjonalistycznego ruchu stworzonego przez Pol Pota. W skrócie określani jako Czerwoni Khmerzy.

Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że wkrótce ludność stolicy oraz innych miast Kambodży zostanie wypędzona na prowincję i rozpocznie się jedno z najokrutniejszych ludobójstw XX w. Nagle zakończył się rok 1975. Przybysze ogłosili, że rozpoczął się Rok Zerowy. Wszystko, co było dotąd, jest nieważne i zostanie unicestwione, aby miejsce „feudalnej, kolonialnej i kapitalistycznej" przeszłości zajął „czysty socjalizm" (w odróżnieniu od „nieczystego", który zdaniem Pol Pota i jego najbliższych współpracowników panował w ZSRR i krajach demokracji ludowej).

Nazwę kraju zmieniono na Demokratyczna Kampucza, a władzę przejęła tajemnicza Organizacja (w języku khmerskim Angkar). Dopiero we wrześniu 1977 r. ujawniono, że Angkar to Komunistyczna Partia Kambodży (Kampuczy), a Pol Pot jest jej sekretarzem generalnym i premierem rządu. W ciągu 44 miesięcy rewolucji Czerwonych Khmerów zginęło od 1,2 do 1,7 mln spośród 7,3 mln mieszkańców Kambodży. Do tego jednak należy dodać 600 tys. ofiar bombardowań amerykańskich z lat 1969-1973 i 300 tys. ofiar wojny domowej z lat 1970-1975 (w tym 240 tys. zabitych już wtedy przez Czerwonych Khmerów).

17 kwietnia 1975 r. do Phnom Penh wkroczyli ni to żołnierze, ni to partyzanci. Była to Rewolucyjna Armia Kampuczy – zbrojne ramię ruchu stworzonego przez Pol Pota.

Trzy czynniki

Do dzisiaj trwa spór o to, co się stało w Kambodży w latach 1975-1979. W ZSRR i bloku wschodnim uznano, że „agrarny pseudosocjalizm" Pol Pota nie miał nic wspólnego z jakąkolwiek ideą socjalistyczną i komunistyczną. Taką ocenę przyjęła też duża część zachodniej lewicy. Odmienne stanowisko zajęli prawicowi antykomuniści. Ich zdaniem Pol Pot pokazał, jak w rzeczywistości wygląda komunizm, a jego reżim jest dowodem kompromitacji ultralewicowych dążeń do stworzenia idealnego świata. W tym sporze często umyka kluczowy fakt. Dojście do władzy Czerwonych Khmerów było rezultatem zupełnej destrukcji, której mechanizm został uruchomiony przez Stany Zjednoczone.

Sprawcy ludobójstwa w Kambodży zostali ukształtowani przez stalinizm i maoizm. Pol Pot (właśc. Saloth Sar), Khieu Samphan, Ieng Sary, Son Sen, Hu Nim i Ieng Thirith podczas studiów w Paryżu na początku lat 50. XX w. znaleźli się pod politycznym i ideologicznym wpływem stalinistów z Francuskiej Partii Komunistycznej. Poza „grupą paryską" znajdowali się m.in. Nuon Chea (Brat Numer Dwa) i Ta Mok (Brat Numer Pięć), których od razu ukształtował maoizm i khmerski nacjonalizm. Ideami Mao Zedonga zafascynowała się również „grupa paryska" po powrocie do Kambodży.

Determinujący wpływ na polityczno-ideowy kształt przyszłej rewolucji Czerwonych Khmerów wywarły trzy czynniki. Bazą społeczną dla ich walki partyzanckiej nie była klasa robotnicza, oparli się na najbiedniejszych warstwach chłopskich kambodżańskiej prowincji. Ta „leśna rewolucja" zrodziła ideologię antymiejską, antyzachodnią i antyintelektualną. Ruch Czerwonych Khmerów był też

eprasa.pl 4b4797edfc

Młodzi partyzanci Czerwonych Khmerów. Phnom Penh, 17 kwietnia 1975 r.

wolny od bezpośrednich wpływów obcych, pozostając na marginesie zainteresowań ZSRR i Chin, których uwagę absorbował wtedy konflikt w Wietnamie. Właśnie to wyizolowanie komunizmu kambodżańskiego podsycało fanatyzm grupy Pol Pota. Trzecim czynnikiem był zaś kadrowy charakter organizacji kambodżańskich komunistów. Komunistyczna Partia Kambodży liczyła w 1970 r. 3 tys. członków, a w 1975 ok. 14 tys. Była to partia-sekta, kierowana przez 200 „starszych braci", skazana na nieustanną ucieczkę do przodu.

Tragedia Kambodży miała bezpośredni związek z drugą wojną indochińską (1957-1975). Pod koniec lat 60. komuniści wietnamscy poprowadzili przez pograniczne tereny Kambodży jedną z odnóg tzw. szlaku Ho Chi Minha, którym transportowali zaopatrzenie wojskowe z Wietnamu Północnego do Południowego. W odpowiedzi USA rozpoczęły niszczycielskie naloty na Kambodżę. Amerykańskie lotnictwo zrzuciło na ten kraj 2 756 941 bomb, czyli półtora raza więcej niż alianci podczas II wojny światowej. Ponadto CIA zainstalowała w Phnom Penh reżim gen. Lon Nola, który odsunął od władzy księcia Norodoma Sihanouka i 18 marca 1970 r. proklamował Republikę Khmerów. Brutalność marionetkowego reżimu Lon Nola oraz bombardowania amerykańskie doprowadziły do wybuchu powstania ludowego, którego kierownictwo przechwycili zadomowieni od lat na kambodżańskiej prowincji ludzie Pol Pota. Dowodzona przez nich armia partyzancka osiągnęła w 1975 r. liczebność 60 tys. ludzi. Politycznie i materialnie wspierały ją Chiny, a do 1973 r. także Wietnam Północny. Po zawarciu 27 stycznia 1973 r. porozumień paryskich, kończących drugą wojnę indochińską, Waszyngton porzucił gen. Lon Nola i zrujnowaną wojną Kambodżę.

Wkrótce ludność stolicy oraz innych miast Kambodży zostanie wypędzona na prowincję i rozpocznie się jedno z najokrutniejszych ludobójstw XX w.

Deportacje i masakry

W powstałą próżnię polityczną natychmiast weszli Czerwoni Khmerzy, by zrealizować swoją utopię absolutnie egalitarnego, samowystarczalnego i izolowanego od świata społeczeństwa. Wyniszczona wojną ludność Kambodży natychmiast dostała od nich obezwładniający cios, na który nie była przygotowana. Tym ciosem była deportacja mieszkańców miast na prowincję – do zorganizowanych tam wielkich komun ludowych. Fundamentami eksperymentu kambodżańskiego stały się przymusowa i wyniszczająca praca w komunach ludowych, dyskurs mesjanistyczny, powszechna kontrola wraz z towarzyszącą jej nieustanną samokrytyką oraz całkowita mobilizacja.

Zniesiono własność prywatną i instytucję rodziny, zdelegalizowano religię, zlikwidowano pieniądz i wymianę towarową, dla kobiet i mężczyzn wprowadzono jednolity czarny strój z kraciastą chustą, zamknięto szkoły i większość szpitali. Chorych jako „symulantów" nie leczono. Pierwszymi ofiarami ludobójstwa stały się warstwy społeczne, które Czerwoni Khmerzy uznali za niezdolne do

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4b4797edfc

reedukacji, czyli elity intelektualne i administracyjne, kadra oficerska, duchowieństwo buddyjskie, ludzie wolnych zawodów, przedsiębiorcy i właściciele ziemscy. Pozostałą część ludności podzielono na dwie kategorie – „nowy lud" i „stary lud". „Nowy lud" miał przechodzić reedukację w komunach ludowych pod kierunkiem „starego ludu", czyli najbardziej upośledzonych społecznie warstw wiejskich. Faktycznie zaś poddawany był stopniowej eksterminacji. Członków „nowego ludu", którzy przyznali się do „reakcyjnej" przeszłości, zostali zdemaskowani jako „zdrajcy" lub nie potrafili sprostać narzuconym normom pracy, zabijano nocami na obrzeżach komun ludowych poprzez uduszenie plastikowym workiem zakładanym na głowę. Dziesiątkowały ich też choroby, niewolnicza praca i głód.

Ale nawet „stary lud" nie uniknął częściowej eksterminacji. Zadziałał tu mechanizm „wielkiej czystki", znany wcześniej z doświadczeń stalinowskich i maoistowskich. W 1976 r. kierownictwo Angkaru ogłosiło budowę „czystego socjalizmu" i rozpoczęto likwidowanie wszystkich podejrzanych o „wrogą" działalność lub „złe" pochodzenie społeczne w „starym ludzie", partii i wojsku. Zamordowano wtedy większość tych, którzy przyłączyli się do ruchu po 1970 r., a w latach 1977-1978 również wielu ludzi wraz z rodzinami z pierwszego pokolenia kambodżańskich komunistów. Miejscem ich kaźni stało się m.in. więzienie Tuol Sleng (S-21) w Phnom Penh. Spośród 17-20 tys. więźniów Tuol Sleng przeżyło 12.

Równanie w dół

Skrajny egalitaryzm Czerwonych Khmerów wymagał „równania w dół" do poziomu niepiśmiennej wiejskiej biedoty. Dlatego zniszczono wszystko, co było niedostępne dla ogółu, w tym naukę, kulturę i zabytki historii. Cechą ideologii Czerwonych Khmerów – odróżniającą ich od innych ruchów komunistycznych, także w tzw. Trzecim Świecie – był skrajny nacjonalizm. Wszystkie mniejszości narodowe poddano eksterminacji. Nie tylko mniejszość wietnamską, ale też chińską, i to mimo uznawania ChRL za państwo sojusznicze. Za wrogów stawianych na jednej płaszczyźnie reżim Pol Pota uważał USA i świat kapitalistyczny oraz ZSRR i większość państw socjalistycznych z Wietnamem włącznie. Wyjątek stanowiły Albania, Rumunia i początkowo Jugosławia.

Obłędny maraton eksterminacji, rozpad gospodarki i klęska głodu doprowadziły w kwietniu 1978 r. do buntu części średnich i niższych kadr Czerwonych Khmerów. Na czele powstania stanęli Heng Samrin i Hun Sen (w latach 1985-2023 premier Kambodży). W grudniu 1978 r. armia wietnamska wkroczyła do Kambodży i 7 stycznia 1979 r. zajęła bez walki Phnom Penh. Zainstalowany przy wsparciu wietnamskim rząd przyjął orientację promoskiewską. Pol Pot i jego zwolennicy uciekli do prowincji Pailin na pograniczu z Tajlandią.

W ciągu 44 miesięcy rewolucji Czerwonych Khmerów zginęło od 1,2 do 1,7 mln spośród 7,3 mln mieszkańców Kambodży.

Z pomocą przyszły im Chiny, które w lutym 1979 r. zaatakowały Wietnam (była to tzw. trzecia wojna indochińska). Na pomoc Czerwonym Khmerom pośpieszyły także Stany Zjednoczone i Europa Zachodnia, a więc najwięksi ówcześni przeciwnicy komunizmu, jednakże tylko tego w wydaniu moskiewskim. Zadziałała tu stara zasada amerykańskiej polityki sformułowana przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta, który w 1939 r. stwierdził, że dyktator Nikaragui Anastasio Somoza „może jest sukinsynem, ale to nasz sukinsyn". Pol Pot stał się dla Białego Domu „naszym sukinsynem" dzięki temu, że obalił go sprzymierzony z Moskwą Wietnam.

Zbigniew Brzeziński – w 1979 r. doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego i gorący zwolennik antyradzieckiego przymierza USA z Chinami – wyznał po latach, że zachęcił ChRL i Tajlandię do wsparcia Pol Pota. „Nie mogliśmy go popierać [otwarcie – uzup. BP], ale mogły to uczynić Chiny", powiedział Brzeziński. W 1980 r. USA przeznaczyły potajemnie 55 mln dol. na pomoc dla Czerwonych Khmerów i wymogły na ONZ, by zaopatrywała ich w żywność w ramach pomocy humanitarnej. Dzięki temu Pol Pot mógł przez kilkanaście lat toczyć wojnę partyzancką z promoskiewską Kambodżą. W listopadzie 1980 r. bazy Czerwonych Khmerów w Pailin wizytował wicedyrektor CIA ds. wywiadu Ray Cline. Intensyfikacja tej pomocy nastąpiła za prezydentury Ronalda Reagana (przyjaciela Solidarności) i George'a Busha seniora. Do Pol Pota płynęły z USA broń i pieniądze, a w drugą stronę diamenty z prowincji Pailin, wydobywane przez niewolniczą siłę roboczą.

Amerykański sojusznik

Oczywiście jako niejawny sojusznik USA Pol Pot nie mógł być dalej komunistycznym ekstremistą, więc stał się demokratą. W grudniu 1981 r. ogłosił rozwiązanie Komunistycznej Partii Kampuczy i w jej miejsce powołał Partię Demokratycznej Kampuczy, która stanęła na gruncie – a jakże – demokracji parlamentarnej i liberalizmu gospodarczego. Ta farsa umożliwiła Stanom Zjednoczonym uznanie Czerwonych Khmerów za prawowitych przedstawicieli Kambodży w ONZ. W połowie 1982 r. Waszyngton i Pekin zmontowały też tzw. Koalicyjny Rząd Demokratycznej Kampuczy z udziałem Czerwonych Khmerów, monarchistów księcia Sihanouka i prawicowych republikanów. W tej nowej sytuacji dawni „wielcy bracia" przekształcili się też z radykalnych wrogów własności prywatnej w biznesmenów handlujących diamentami.

O swojej dawnej ideologii sprzed dekomunizacji ruchu Czerwoni Khmerzy jednak do końca nie zapomnieli. Śladem po niej pozostała działająca w wielu krajach Grupa Studiów nad Teorią Pol Pota. Także stosunki społeczne narzucone ludności cywilnej w bazach partyzanckich

eprasa.pl 4b4797edfc

Czerwonych Khmerów nosiły wyraźne piętno tych z lat 1975-1979. Nadal opierały się na całkowitej izolacji i kontroli, terrorze i krwawych czystkach.

Wyparcie przez wojska wietnamskie w 1985 r. Czerwonych Khmerów z Kambodży do Tajlandii nie położyło kresu tej tragifarsie. USA wymusiły ich obecność przy negocjowaniu w 1991 r. układu w sprawie rozbrojenia stron konfliktu i wolnych wyborów w Kambodży. Wyborów z 1992 r. Czerwoni Khmerzy nie uznali i do swojej klęski w latach 1998-1999 prowadzili wojnę z rządem Kambodży. Po 2009 r. zostali skazani za popełnione zbrodnie tylko nieliczni, sędziwi już liderzy ruchu, w tym Nuon Chea, Khieu Samphan i Ieng Sary.

W tej historii nic nie trzyma się stereotypów. Skrajnie komunistyczny reżim Czerwonych Khmerów został obalony przez sprzymierzony ze Związkiem Radzieckim komunistyczny Wietnam, USA zaś stały się na długie lata protektorem szajki Pol Pota. Szajki, która najpewniej nigdy nie doszłaby do władzy, gdyby Stany Zjednoczone w latach 1969-1973 nie zdestabilizowały Kambodży politycznie i militarnie. Polityka amerykańska w dużej mierze przyczyniła się też do tego, że większość winnych kambodżańskiego ludobójstwa nigdy nie została osądzona. Bez uświadomienia sobie tych faktów obraz tego, co się stało w Kambodży w latach 1975-1979, jest niepełny.

Dojście do władzy Czerwonych Khmerów było rezultatem destrukcji, której mechanizm został uruchomiony przez Stany Zjednoczone.

W PRL nie ukrywano przed opinią publiczną tego, co się stało w Demokratycznej Kampuczy. To nie sławny włoski reporter Tiziano Terzani wjechał wtedy pierwszy do umęczonego kraju. Pierwszym zagranicznym dziennikarzem, który dotarł do Kambodży miesiąc po wyzwoleniu jej przez wojska wietnamskie, był wybitny reportażysta peerelowskiej telewizji Zbigniew Domarańczyk (1933-2013). Nowe władze wydały mu wizę wjazdową nr 1. Operator kamery oraz dźwiękowiec TVP dostali wizy nr 2 i 3. Reporterska książka Domarańczyka „Kampucza, godzina zero" została wydana w Polce w 1981 r. Był to unikatowy dokument o ludobójstwie w Kambodży, który powstał na podstawie rozmów z wziętymi do niewoli żołnierzami Czerwonych Khmerów, przedstawicielami nowych władz kambodżańskich i ocalonymi ofiarami, w tym Wietnamczykami zamieszkującymi pogranicze wietnamsko-kambodżańskie, którzy zostali dotknięci represjami reżimu Pol Pota.

Jednak pierwszą książką wydaną w PRL o reżimie Czerwonych Khmerów była „Bambusowa klepsydra" Wiesława Górnickiego (1931-1996), wówczas pracownika centrali PAP. Ukazała się rok wcześniej niż książka Domarańczyka i stanowiła relację z podróży, którą Górnicki odbył do Kambodży po upadku reżimu Pol Pota w gronie dziennikarzy z bloku wschodniego. Autor sugestywnie opisał opustoszałe miasta i oddał głos ludziom, którzy przeżyli okrutne masakry, śmierć bliskich i sąsiadów.

Bohdan Piętka

KSIĄŻKI

Andrzej Kurz, Jacek Purchla

Kurz – galopem przez Kraków i z powrotem

Wydawnictwo Fundacji Gospodarki i Administracji Publicznej, Kraków 2024

Bohaterem książki jest Andrzej Kurz, choć nie jest to ani autobiografia, ani biografia. Jej pierwsza część składa się z rozmów, które prof. Jacek Purchla, historyk i autor wielu publikacji o Krakowie przeprowadził z Andrzejem Kurzem o nim samym, o Krakowie – jego naturalnym środowisku, o polityce, działalności społecznej i wydawaniu książek. Rozmówca prof. Purchli pełnił wiele funkcji w organizacjach politycznych, instytucjach państwowych i samorządowych, w nauce i kulturze – zarówno w ukochanym Krakowie, jak i w Warszawie. Szczególne miejsce w życiorysie Andrzeja Kurza zajmuje Wydawnictwo Literackie, którym kierował w latach 1971-1981 i 1983-1990. Za jego dyrektorowania krakowska oficyna przekształciła się w jedno z najważniejszych wydawnictw w Polsce, mając niezaprzeczalny wpływ na kulturę narodową. Do rąk czytelników trafiły wówczas dzieła Witolda Gombrowicza, Antoniego Kępińskiego i wiele książek z zakresu psychologii humanistycznej, będących wtedy nowością na rynku wydawniczym, wiersze Miłosza i innych zakazanych poetów, cała twórczość Lema, a bogata literatura iberoamerykańska stała się hitem rynku czytelniczego.

W opowieści Andrzeja Kurza z jednej strony, otrzymujemy historię o inteligenckim Krakowie lat 60. i 70. XX w., mieście inspirujących artystycznych napięć i twórczych inicjatyw, z drugiej – poznajemy też ciemną stronę politycznej historii PRL, związaną z partyjnymi rozgrywkami i bezpieką w tle.

Jako że polityka i kultura są dwiema domenami aktywności bohatera książki, o nich na przemian się wypowiada. Przywołuje postaci, z którymi się spotkał i współdziałał, takie jak: Adam Schaff, Zygmunt Bauman, Lucjan Motyka, Kazimierz Barcikowski, Józef Klasa, Mieczysław Rakowski, Sławomir Mrożek, Leszek Herdegen, Aleksander Kwaśniewski. Mówi o nich interesująco i ciepło.

Część druga książki to autorski wybór tekstów publicystycznych Andrzeja Kurza, które pozwalają jeszcze lepiej zrozumieć jego poglądy na kwestie miejskie, historyczne i polityczne. Są wśród nich także artykuły zamieszczane w „Przeglądzie". *(es)*

eprasa.pl 4b4797edfc

Włosi nie chcą „turystyki kanapkowej”

Cel jest jasny: promować świadome podróżowanie

Od tego roku, aby wrzucić monetę i zrobić sobie zdjęcie przy fontannie di Trevi w Rzymie, należy ustawić się w kolejce, a czekać można nawet 30 minut.

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Wenecja wprowadza „bilet wstępu”. Od 18 kwietnia do 27 lipca br. w większość dni obowiązywać będzie opłata 5 euro za wstęp do turystycznej części miasta, pobierana w godz. 8.30-16.00. Dotyczy ona osób odwiedzających Wenecję jednodniowo. Aby skorzystać z niższej stawki, należy zarejestrować się online i zapłacić najpóźniej cztery dni przed planowaną wizytą. Jeżeli zrobi się to trzy dni wcześniej, opłata wzrasta do 10 euro. Rejestracji i zakupu „biletu wstępu” można dokonać na stronie cda.ve.it.

„Opłata za wstęp na teren Starego Miasta to innowacyjne narzędzie wpisujące się w szerszą strategię mającą na celu ochronę Wenecji oraz poprawę jakości życia mieszkańców i pracowników – informuje radny Simone Venturini. – Poprzez ten eksperyment dążymy do znalezienia równowagi między prawami mieszkańców a potrzebami odwiedzających”.

Podobne rozwiązanie Wenecja testowała już w ubiegłym roku, ograniczając dostęp turystów przez miesiąc. I chociaż ci krytykowali, miasto oceniło eksperyment pozytywnie. W 2024 r. Wenecja pobiła swój historyczny rekord turystyczny – 13,3 mln odwiedzających.

„Oczywiście nie mamy czarodziejskiej różdżki – dodaje Venturini. – To model eksperymentalny, który będziemy dostosowywać, opierając się na wynikach i analizie danych. Cel jest jednak jasny: zniechęcić do jednodniowej turystyki typu przyjedź-zobacz-wyjedź i promować turystykę świadomą – taką, która wybiera poznawanie Wenecji z szacunkiem i uwagą”.

Z opłaty zwolnieni są ci, którzy nocują na terenie miasta i płacą tzw. podatek klimatyczny. Problemem może być rejestracja grup zorganizowanych – każdy uczestnik musi zostać zgłoszony indywidualnie, a płatność trzeba uiścić kartą kredytową. Bilet za 10 euro będzie można też kupić w kioskach typu Tabacchi, przy wejściu do Starego Miasta – także za gotówkę.

Jedynym pocieszeniem dla turystów jednodniowych może być to, że również Włosi udający się np. na pogrzeb do tej części miasta będą musieli uiścić opłatę za wstęp.

Nie tylko Wenecja

W Civita di Bagnoregio, malowniczym miasteczku w prowincji Viterbo, bilet wstępu w wysokości 5 euro obowiązuje już od dawna. Kupić go

eprasa.pl 4b4797edfc

można online lub na miejscu. Do zbudowanej na skale i otoczonej głębokim wąwozem miejscowości prowadzi jedynie most dla pieszych. Obecnie mieszka tam tylko siedem osób. Stare domy opuszczone przez rdzennych mieszkańców wykupili jednak artyści i cudzoziemcy i tchnęli w to miejsce nowe życie. Jego popularność eksplodowała w mediach społecznościowych – w samą zeszłoroczną majówkę przybyło ponad 3 tys. jednodniowych turystów. Miasteczko nie radzi sobie z takim napływem przybyszów i lokalne władze rozważają wprowadzenie limitów odwiedzin.

Ograniczenia obowiązują także na coraz większej liczbie plaż. Neapol wprowadził dzienny limit wejść na plaże Donn'Anna (50 osób) i delle Monache (450 osób). Na wyspach Zatoki Neapolitańskiej – Ischii, Capri, Procidzie – zmniejszono ruch pojazdów, a wiele plaż jest dostępnych jedynie po wcześniejszej rezerwacji i wniesieniu opłaty.

W Ligurii na trasie Via dell'Amore w Cinque Terre limit wynosi 100 osób co 15 minut, natomiast do zatoki Baia del Silenzio w Sestri Levante wpuszczane są maksymalnie 452 osoby dziennie. Od przyszłego roku planowany jest również bilet wstępu dla nierezydentów – za 5 euro.

W obliczu rosnącej liczby turystów i problemów wynikających z turystyki jednodniowej coraz więcej włoskich regionów, by chronić środowisko i lokalne społeczności oraz „strefy kontrolowanego dostępu", wprowadza limity odwiedzających.

W Dolomitach dojazd samochodem do okolic jeziora Braies i Tre Cime di Lavaredo możliwy jest tylko po rezerwacji i uiszczeniu wysokich opłat (40 euro bilet łączony na przejazd przez park Fanes-Sennes-Braies, do 800 pojazdów dziennie, i 30 euro wjazd do Tre Cime, do zapełnienia parkingu). Ewentualnie można tam dotrzeć pieszo, rowerem lub skorzystać z publicznych shuttle busów (oferujących transport wahadłowy – przyp. red.). Od tego roku podobne zasady obowiązują przy jeziorze Molveno – parking po wcześniejszej rezerwacji i do wyczerpania miejsc. Inne jeziora w Trydencie również planują wdrożyć takie rozwiązania.

Wiele plaż na Sardynii, w tym La Pelosa, Cala Coticcio czy Punta Molentis, wprowadziło dzienne limity osób i obowiązkowe rezerwacje online oraz opłaty. Riviera del Conero w regionie Marche testuje system „stref kontrolowanego dostępu" z ograniczeniami liczby odwiedzających, autokarów i miejsc parkingowych. Trend ten pokazuje wyraźnie, że włoskie regiony zaczynają stawiać jakość ponad ilość.

Jeszcze niedawno miasta chętnie promowały się przy pomocy influencerów. Dzięki mediom społecznościowym wiele miejsc stało się „instagramowymi ikonami". Należą do nich Lizbona, Wybrzeże Amalfi, Riomaggiore (Cinque Terre), Tokio, Machu Picchu, Oia (Santorini), Paryż, Barcelona i oczywiście Rzym.

W styczniu br. neapolitańska influencerka, była żona członka kamorry, Rita De Crescenzo, zaprosiła do Roccaraso w Abruzji swoich fanów, których na TikToku ma ponad milion. Na jej apel odpowiedziało 20 tys. osób, które przyjechały ponad 200 autokarami. Miejscowość została sparaliżowana – zabrakło miejsc parkingowych, zablokowane zostały drogi. Niektórzy grillowali na śniegu, inni jedli w lokalach. Zamiast zjeżdżać na nartach, korzystali z foliowych toreb jako sanek. Pozostały po tym najeździe śmieci i żółte plamy na śniegu – brakowało toalet dla tylu ludzi. Choć jednego dnia wygenerowali obroty w wysokości 170 tys. euro, policję zaniepokoiły płatności niemal wyłącznie banknotami 20-eurowymi – wszczęto śledztwo w sprawie prania pieniędzy.

De Crescenzo zapowiedziała kolejne „dzikie niedziele" w innych włoskich miejscowościach, budząc panikę władz lokalnych. Choć nie udało się powtórzyć „performance'u", przypadek Roccaraso skłonił Włochów do refleksji nad wpływem mediów społecznościowych na turystykę masową.

Rzym – dużo pielgrzymów, mało turystów

Według danych z grudnia ub.r. Rzym odwiedziło w 2024 r. 22,2 mln osób. To historyczny rekord. W styczniu br. burmistrz Roberto Gualtieri zapowiedział, że napływ pielgrzymów zapewni w Roku Jubileuszowym ciągłość trendu wzrostowego, który utrzyma się również w 2026 r. Zgodnie z prognozami liczba odwiedzających Wieczne Miasto w 2025 r. ma osiągnąć nawet 35 mln.

„Rzym staje się coraz bardziej stolicą turystyki. Ten nowy rekord napełnia nas dumą i potwierdza, że zmierzamy we właściwym kierunku. Dzięki ważnym wydarzeniom, zarówno kulturalnym, jak i sportowym, daliśmy turystom w różnym wieku nowe powody, by odwiedzić Rzym lub do niego wrócić. Będziemy kontynuować tę drogę, poprawiając jakość oferty turystycznej i wzbogacając miasto, czyniąc je coraz bardziej atrakcyjnym i gościnnym", zapewnił Gualtieri.

„Gdzie ci turyści?", pytają zaś rzymscy taksówkarze i hotelarze, którzy stanowią swego rodzaju barometr turystyki w mieście. W pierwszych miesiącach 2025 r. było tu zaskakująco pusto. Potwierdził to oficjalnie Giuseppe Roscioli, prezes stowarzyszenia Federalberghi Roma. Frekwencja w hotelach od początku roku była zbliżona do tej z 2024 r., a zimą – w grudniu, styczniu i lutym – nawet o 4% niższa w obiektach cztero- i pięciogwiazdkowych.

W lokalach oferowanych na platformach wynajmu krótkoterminowego

W ostatnich latach wiele europejskich miast zmaga się z rosnącym problemem turystyki jednodniowej. Szczególnie uciążliwym zjawiskiem stała się tzw. turystyka kanapkowa. To specyficzny model podróżowania, który polega na szybkim, powierzchownym zwiedzaniu bez noclegu, przy minimalnych wydatkach i maksymalnym obciążeniu infrastruktury publicznej. Turyści przybywający w dużych, zorganizowanych grupach – najczęściej autokarami – przechodzą przez miasta niczym karawany, zużywając miejskie zasoby, takie jak toalety czy transport, i zostawiając po sobie śmieci.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b4797edfc

wskaźnik obłożenia spadł z 78% do 70%, co zwiększyło konkurencję między właścicielami i pogłębiło kryzys mieszkaniowy w Rzymie. Wielu zamożnych turystów, którzy regularnie odwiedzali miasto, odwołało tegoroczne rezerwacje w obawie przed tłumami związanymi z Rokiem Jubileuszowym. W efekcie doszło do spadku tradycyjnej turystyki na rzecz pielgrzymek. A pielgrzymi to często tzw. turyści kanapkowi – przyjeżdżają na kilka godzin, z własnym prowiantem, nie korzystając z miejskiej infrastruktury hotelowej czy gastronomicznej.

Dzięki obowiązkowej rejestracji grup pielgrzymkowych przekraczających Drzwi Święte w bazylice św. Piotra po raz pierwszy będzie możliwe dokładne policzenie odwiedzających i porównanie z ogólnymi danymi turystycznymi.

Wprawdzie większość prac remontowych zakończono na czas, ale trudno powiedzieć, by Rzym był w pełni przygotowany na przyjęcie tak wielkiej liczby ludzi. Remonty publicznych toalet przy placu św. Piotra, placu Hiszpańskim i w innych punktach zarządzanych przez miasto rozpoczęły się dopiero niedawno. Na tyłach Koloseum znajduje się jedna toaleta publiczna, z której można skorzystać po uiszczeniu kartą kredytową opłaty w wysokości 1,50 euro.

Miasto bez ławek

W Rzymie także widać coraz silniejszą tendencję do zniechęcania turystów jednodniowych. Miasto staje się przestrzenią bez ławek i bez toalet. Praktycznie nie ma gdzie usiąść, by choć na chwilę odpocząć. To sposób na zmuszenie turystów do wstępowania do barów i restauracji, gdzie trzeba coś zamówić i zapłacić, aby skorzystać ze stolika i toalety. Turyści indywidualni jeszcze potrafią sobie z tym radzić, dla grup zorganizowanych stanowi to coraz większe wyzwanie.

Problemem staje się również zakup biletów komunikacji miejskiej. Coraz trudniej dostać je w kioskach, a większe liczby są dostępne jedynie w kasach na kilku głównych stacjach metra. Burmistrz Gualtieri zrezygnował w tym roku z planowanej podwyżki z 1,50 do 2 euro, lecz turyści kupujący bilety w automatach na stacjach już teraz płacą 2 euro za tzw. bilet wielorazowy, który można doładowywać. Na szczęście w autobusach można zapłacić kartą – a kontrole są coraz częstsze.

Już i w Rzymie pojawiają się „strefy kontrolowanego dostępu". Pierwszą jest oczywiście fontanna di Trevi. Od tego roku, aby wrzucić do niej monetę i zrobić sobie zdjęcie, należy się ustawić w kolejce, a czas oczekiwania może wynosić nawet 30 minut. Usprawniło to jednak działania służb porządkowych, poprawiło ochronę zabytku i zmniejszyło liczbę kradzieży kieszonkowych. Ale nie wszyscy turyści, zwłaszcza jednodniowi, mogą sobie pozwolić na tak długie czekanie.

Od przyszłego roku planowane jest wprowadzenie „biletu wstępu" za 2 euro, płatnego kartą kredytową. Niektórzy komentują, że będzie to symboliczny koniec Rzymu, jaki znaliśmy ze „Słodkiego życia" Felliniego.

Agnieszka Zakrzewicz

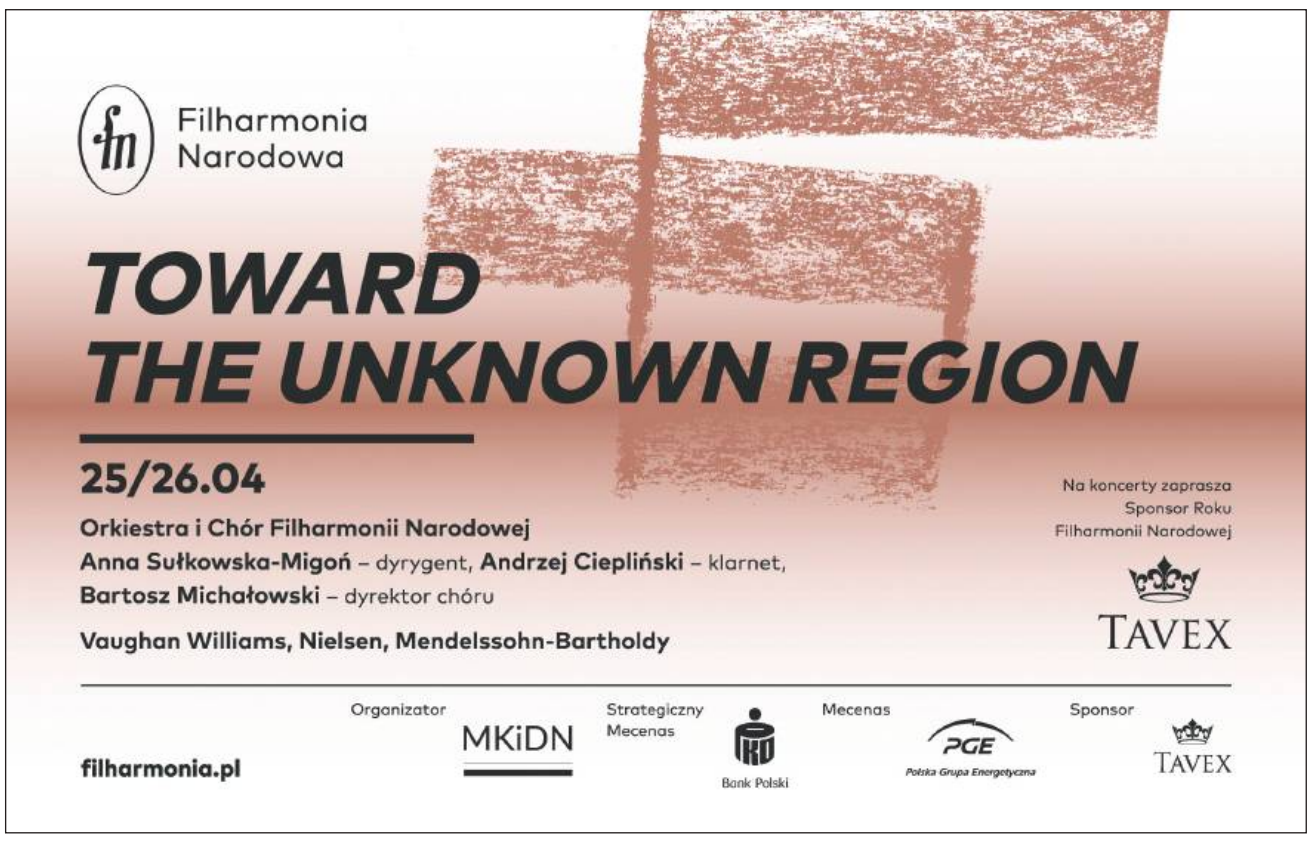

eprasa.pl 4b4797edfc

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

My, dinozaury gutenbergowskie

Nie ulega wątpliwości, że tym, czym kiedyś, mniej więcej 66 mln lat temu, było dla Ziemi uderzenie nieznanej planetoidy czy komety, dla pisma, czytania było powstanie kilka dekad temu internetu. A w konsekwencji portali społecznościowych, od archaicznego Facebooka, poprzez rozpolitykowany Twitter (dzisiaj X), na obrazkowym TikToku i Instagramie kończąc. Nadszedł schyłek epoki Gutenberga.

Pamiętając zawsze o tym, jak fragmentaryczna jest wiedza o świecie płynąca z osobistego doświadczenia, starałem się nie ekstrapolować własnych doświadczeń z zamierającą przygodą czytania i pisania, którą od dwóch dekad obserwuję jako wykładowca dziennikarstwa. Jednak regres jest tak przemożnie odczuwalny, że nie sposób go nie zauważyć. „Pamiętam jeszcze", jak studenci rwali się do lektur, które im podsyłałem. I ten moment, kiedy prezentacji wybranych książek zaczęło towarzyszyć buszowanie w sieci, żeby… nie, nie, nie sprawdzić, czy to, co o nich mówię, ma jakiś związek z treścią – kluczowa już wtedy stała się liczba stron. Te od 400 w górę nie miały żadnych szans. A potem przyszło wygłoszone z dumą: „Te 100 stron to mój życiowy rekord czytania!". Później było tylko gorzej: dla większości źródłem wiedzy o świecie stały się niemal wyłącznie „filmiki", kanały, yotuberstwo. Książki z ich pejzażu wyparowały, chyba że zmuszałem. Trudno się oprzeć w takim czasie odwiecznemu biadoleniu na „współczesną młodzież" – praktykowaniu tzw. boomerstwa, czyli zrzędzeniu starego dziada. Znając takie labiedzenia z wielu tekstów kultury, od starożytnych Greków i Rzymian poczynając, miałem przeczucie, że to nie jest klasyczna „wojna pokoleń". Że ten podział idzie niepowstrzymanie głębiej, fundamentalnie i nie wiem, czy odwracalnie. I choć wciąż podejmowałem w głowie próby niegeneralizowania – nadal były jednostki, które przeczyły trendowi i uzusowi – przepaść tylko rosła i potężniała.

Dziennik „Rzeczpospolita" opublikował niedawno tekst przedstawiający badania dr hab. Anny Dąbrowskiej z Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego, która przeanalizowała język egzaminów z lat 2002-2021. Jej wnioski zatrważająco potwierdzają moje ułomne i fragmentaryczne obserwacje. Nowa rzeczywistość wygląda tak (co wykazuje najnowszy raport Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej – Państwowego Instytutu Badawczego): dzieci i młodzież spędzają w internecie w dni powszednie ponad pięć i pół godziny, a w dni wolne ponad sześć. Średni dzienny czas korzystania z mediów społecznościowych przez nastolatków przekroczył cztery godziny.

Jakie są tego konsekwencje wynikające z analizy egzaminów? „Zanurzenie w dynamicznej komunikacji mediów społecznościowych oraz presja »nauki pod test« kształtują sposób pisania współczesnej młodzieży". Powstaje nowa „oralność": „Młodzież, korzystając z platform, takich jak TikTok czy Instagram, coraz rzadziej tworzy teksty spełniające kryteria spójności i logicznej struktury. Coraz częściej uwidaczniają się jej problemy z samodzielnym formułowaniem myśli i redagowaniem tekstu w zgodzie z instrukcją, a nawet z zasadami gramatyki i ortografii. W efekcie tradycyjny tekst pisany zastępowany jest przez mowę zapisaną, którą młodzi posługują się na co dzień". Dr Dąbrowska zauważa: „Pismo doskonali logikę myślenia, niezbędną do budowania wypowiedzi według pewnej struktury i porządku. Zupełnie inaczej wygląda tekst, nawet mówiony, który był wcześniej przygotowany na piśmie (charakteryzuje się on określoną strukturą i porządkiem), niż ten wygłaszany spontanicznie (często dygresyjny, chaotyczny)".

Dyskusja na temat tego, czy nowe narzędzie jest odpowiednie do przekazywania myśli, kodów kultury, dzieł dawnych i współczesnych, odbyła się w czasach Gutenberga, kiedy w dużej mierze panowało lekceważące przekonanie, że „potęgi, które kształtują ludzki byt, można opisać w książkach i w druku, ale samo w sobie i samo przez się drukarstwo (...) jest tylko narzędziem, instrumentem, a pomnażanie narzędzi i instrumentów nie wpływa samo z siebie na życie intelektualne i duchowe".

Ale z perspektywy XX w. wygląda to już odmiennie, o czym pisała autorka „Rewolucji Gutenberga" Elizabeth Eisenstein: „Otóż życie intelektualne i duchowe nie tylko nie pozostało nietknięte, ale zostało głęboko przekształcone przez pomnożenie nowych narzędzi do powielania książek w XV-wiecznej Europie. Przemiana w zakresie obiegu informacji wytworzyła nowy sposób postrzegania świętej księgi i świata natury przez zachodnich Europejczyków. Spowodowała, że słowa Boga zdawały się bardziej wielokształtne, a Jego dzieło bardziej jednolite. Prasa drukarska stworzyła podwaliny zarówno dla fundamentalizmu opartego na dosłownej interpretacji tekstu biblijnego, jak i dla nowożytnej nauki. Pozostaje niezbędna dla humanistyki. I wciąż zawiaduje naszym muzeum bez ścian". Gutenberg? A kto to? Huma… co???

A zmarły właśnie peruwiański noblista Mario Varga Llosa myślał tak: „Warto jest żyć, choćby dlatego, że gdybyśmy nie żyli, nie bylibyśmy w stanie czytać ani roić opowieści". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b4797edfc

Wyboista droga Leo Beenhakkera

Wojciech Kuczok

Za jego sprawą przeżywaliśmy kibicowskie spazmy rozkoszy, jakich nie dał nam w XXI w. nikt inny, bo to pod wodzą Leo Beenhakkera reprezentacja zagrała swoje dwa najlepsze mecze w tym stuleciu. Ale też nigdy nie grała gorzej niż pod jego pieczą, gdy chemia między drużyną a coachem wygasła. Przebył w Polsce drogę od zera do bohatera i z powrotem, brał rozwód z naszą piłką w atmosferze karczemnej, ale po latach zostały sentyment i szacunek: jego śmierć uczczono na boiskach Ekstraklasy minutą ciszy.

9 czerwca 2006 r. na stadionie w Gelsenkirchen reprezentacja Polski katastrofalnie zaczęła mundial. Ciśnienie było olbrzymie, w kraju nikt nie miał wątpliwości, że tym razem z grupy wyjdziemy, kilkadziesiąt tysięcy rodaków, którym szczęśliwie udało się wylosować bilety, oczekiwało łatwego zwycięstwa na inaugurację. Graliśmy z Ekwadorem, który pół roku wcześniej przetestowaliśmy towarzysko na łatwe 3:0. Być może to uśpiło zawodników, bo od pierwszego gwizdka ekipa Pawła Janasa ogarnięta tajemniczym paraliżem pozwalała przeciętnym Latynosom strzelać gole i kontrolować grę. Niespodziewana porażka wywołała potężne rozczarowanie, tymczasem dosłownie nazajutrz, na wielkim narodowym kacu, kibice zobaczyli gigantyczną mundialową sensację. Kadra Trynidadu i Tobago, kraiku o 40-krotnie mniejszej populacji od Polski, absolutny debiutant, urwała dwa punkty Szwedom z Ljungbergiem, Larssonem i Ibrahimoviciem w składzie, mimo że przez pół meczu grała w dziesiątkę.

Selekcjonerem karaibskich wyspiarzy był Leo Beenhakker. Trener z potężnymi sukcesami klubowymi w życiorysie, każdy kibic kojarzył go choćby z trzykrotnego mistrzostwa Realu Madryt, w którym prowadził takie gwiazdy jak Hugo Sánchez czy Emilio Butragueño, miał też w biogramie dwa mistrzostwa z Ajaxem… Prawdziwe sukcesy zdobywał w klubach, bo w roli coacha Holandii dał się zapamiętać jako wielki pechowiec. Przed barażami o awans do mundialu w Meksyku w 1986 r. rozchorował się Rinus Michels i to Beenhakker w jego zastępstwie poprowadził najlepsze pokolenie holenderskiej piłki – ekipę, która, oparta na trójce Rijkaard-Gullit-van Basten, już za dwa lata miała wygrać mistrzostwa Europy. W rewanżowym meczu na stadionie jego ukochanego Feyenoordu Holendrzy dali sobie wydrzeć awans, tracąc gola w ostatnich minutach. Po tym meczu powstało ikoniczne zdjęcie samotnego Leo schodzącego tunelem do szatni – uosobienia klęski i smutku.

Beenhakker dostał jeszcze raz szansę z reprezentacją Oranje: na mundialu w 1990 r. we Włoszech mistrzowie Europy wyszli z grupy po trzech remisach i za sprawą identycznego bilansu z Irlandią padli ofiarą losowania. Zostali sklasyfikowani na trzecim miejscu i trafili w kolejnej rundzie na RFN, przyszłych mistrzów świata, którym nie dali rady.

Ale to wszystko wydarzyło się w latach 80., od tamtej pory minęły niemal dwie dekady, podczas których Leo sięgał po coraz bardziej egzotyczne propozycje w Meksyku, Arabii Saudyjskiej, wreszcie na Karaibach i zdawało się, że rozmienia swoją sławę na drobne. Meczem Trynidadu ze Szwecją przypomniał o swoim istnieniu akurat w momencie wielkiej futbolowej depresji Polaków – to wtedy musiał się zrodzić impuls, aby wreszcie sięgnąć po selekcjonera z zagranicy, no bo skoro „z takim Tobago" mu się udało, to może i na naszej piłkarskiej pustyni zasieje coś więcej niż wiatr.

Polska myśl szkoleniowa okazała się tyleż nieodgadniona, co nieskuteczna, jej ociężałość odzwierciedlały ostatnie mecze kadry Janasa – tylko w meczu o honor udało nam się zdobyć punkty dzięki golom rezerwowego obrońcy. Nasza piłka gniła i kojarzyła się wszystkim z niedawną aferą „Fryzjera", która ujawniła niebywałą skalę korupcji w polskich ligach. Prezes Listkiewicz czuł, że sytuacja dojrzała, by sięgnąć po kogoś ze świata, spoza układów i polskiego bagienka, kogoś utytułowanego, a nie utytłanego. Związkowy beton był przeciwny, ale w końcu się ugiął z nadzieją, że obcokrajowiec się wyłoży na szkoleniu naszych łamag, co dowiedzie, że nawet magik z importu nie wyczaruje w kraju piłkarsko przeklętym żadnych sukcesów (to się sprawdziło co do joty dopiero po kilkunastu latach za sprawą Portugalczyków Sousy i Santosa). Mniejszość miała nadzieję, że za sprawą trenerskiego sznytu Beenhakkera z prowincji wejdziemy

Wzięliśmy trenera z lat 80. i on nam wyczarował przeszłość – historyczny awans na Euro zdobyliśmy kosztem Belgów na Stadionie Śląskim, a gole strzelał jak najęty Smolarek Euzebiusz.

To Leo Beenhakker wprowadził do reprezentacji Roberta Lewandowskiego, to u jego boku zbierał doświadczenie trenerskie Adam Nawałka.

eprasa.pl 4b4797edfc

na salony, tym bardziej że ostatecznie kadra Trynidadu i Tobago wypadła w Niemczech jeszcze gorzej od nas, nie zdobyła już ani gola, ani punktu.

W 2006 r. polscy kibice nie widzieli przed kadrą przyszłości, więc egzorcyzmowali przeszłość – marzyło nam się, żeby cofnąć się o dwadzieścia parę lat, do czasów, w których eliminowaliśmy Belgów na mundialu w Hiszpanii i w grze o kolejny mundial w Chorzowie, a z przodu szalał i strzelał Smolarek. Wzięliśmy zatem trenera z lat 80. i on nam tę przeszłość wyczarował – historyczny awans na mistrzostwa Europy zdobyliśmy kosztem Belgów na Stadionie Śląskim, a gole strzelał jak najęty Smolarek Euzebiusz, syn Włodzimierza.

Zanim jednak doszło do tej cudownej retrospekcji, Beenhakker zaliczył koszmarny start – towarzysko z Danią, a potem o punkty z Finlandią przegraliśmy bezdyskusyjnie, w haniebnym stylu, selekcjoner nie zdołał tchnąć ducha w rozmemłanych kopaczy, za to od razu popadł w konflikt z dziennikarzami. Potem wymęczony remis z Serbią i wygrana z Kazachstanem sprawiły, że miałem serdecznie dość naszej kadry wraz z jej nieudacznym zbawicielem – tak dość, że chociaż miałem na Stadion Śląski kwadrans piechotą z domu i akredytację na mecz z Portugalią, wolałem pojechać w Tatry, niż oglądać naszych patałachów skazywanych na pożarcie przez Cristiana Ronalda i spółkę.

Tymczasem właśnie w Chorzowie dokonała się niebywała wolta tej drużyny – nasi zagrali najlepszy jak dotąd mecz w tym tysiącleciu. Zwycięstwo nad Portugalią stało się mitem założycielskim nowoczesnej reprezentacji, która odtąd miała grać pozbawiona kompleksów wobec rywali. Bohaterami, oprócz czołowego snajpera Smolarka, byli gracze z drugiego rzędu, chłopcy z Ekstraklasy: Grzegorz Bronowicki i Paweł Golański, których coach zmotywował po mistrzowsku i natchnął wiarą w to, że przy takim trenerze każdy Pipsztycki może zostać gwiazdą. Odtąd witany na polskich stadionach chóralnym „Le-o, Le-o" powiódł kadrę do awansu na mistrzostwa Europy, dokonał zatem sztuki, która nie udała się jego największym poprzednikom z Kazimierzem Górskim i Antonim Piechniczkiem na czele.

Trener Leo Beenhakker podczas zremisowanego 1:1 meczu Polska-Irlandia Północna w eliminacjach do mundialu 2010. Chorzów, 9 września 2009 r.

Skoro już awans skonsumowaliśmy jako historyczny sukces, na samym turnieju przepadliśmy z kretesem, zdobywając tylko jeden punkt dzięki heroicznej postawie bramkarza Boruca i golowi strzelonemu ze spalonego przez naturalizowanego Brazylijczyka. Powtórzył się zatem numer z Tobago, tyle że Beenhakker pozostał na stanowisku po przegranych mistrzostwach. Pod rosnącym ostrzałem krytycznych mediów, pod okiem nieżyczliwego środowiska, niemogącego się doczekać, aż mu się noga powinie, zdołał jeszcze raz poprowadzić kadrę na chorzowskim gigancie do spełnienia marzeń.

W listopadzie 2008 r. ograliśmy faworyzowanych Czechów, a kombinacyjne akcje, a także gole Pawła Brożka i Kuby Błaszczykowskiego odbudowały wiarę, że potrafimy grać najpiękniej na świecie i wygrać z każdym. Cóż z tego, skoro kilka dni później w ciągu minuty przegraliśmy wygrany mecz ze Słowacją, dając sobie strzelić dwa gole.

Od tej chwili wszystko zaczęło się sypać. Wiosnę zaczęliśmy od porażki w Belfaście (słynny samobój duetu Boruc-Żewłakow). Już wtedy chciano Leo odesłać do wszystkich diabłów, ale na prima aprilis w 2009 r. sprawił wszystkim wrogom psikusa i poprowadził nas do najwyższego w historii zwycięstwa: wygraliśmy 10:0 z San Marino w Kielcach. Dotrwał jeszcze na stanowisku do jesieni, zwolniony dopiero po klęsce 0:3 ze Słowenią, przegrane eliminacje dograł za niego Stefan Majewski.

Miał już 67 lat, wrócił do Feyenoordu, ale władze klubu uznały, że jest za stary na trenera, otrzymał na pocieszenie posadę dyrektora technicznego. Potem jeszcze pełnił tu i ówdzie funkcje doradcze, ale do zawodu nie wrócił, na co skarżył się do końca swoich dni – brakowało mu trenowania, bez futbolu czuł się osamotniony, piłka była jego największą namiętnością. To Leo Beenhakker wprowadził do reprezentacji 20-letniego Roberta Lewandowskiego, to u jego boku zbierał doświadczenie trenerskie Adam Nawałka, ostatni, któremu coś się udało z kadrą ugrać.

Jak dotąd Holender pozostaje jedynym szkoleniowcem spoza Polski, któremu nasza reprezentacja ma co zawdzięczać. ■

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 4b4797edfc

Antykolonialna rewolucja

We wrześniu 1802 r. do Haiti przybyła jednostka ok. 2,5 tys. polskich żołnierzy. Po dwóch miesiącach zostały z niej niedobitki

Rozmawia Mateusz Demski

Po co właściwie wracać do wydarzeń rewolucji haitańskiej z przełomu XVIII i XIX w.?

– Bo literatura historyczna do nich wraca. Zainteresowanie na świecie istnieje; publikacje na ten temat są rozległe. Natomiast koniec badań w Polsce nastąpił w latach 70. i 80. Jan Pachoński pisał o wyprawie polskich legionistów do Haiti. Tadeusz Łepkowski tuż przed śmiercią wywiązał się ze swojego zobowiązania, które złożył w 1965 r., że całą sprawę polską w tej rewolucji postara się wyjaśnić. Moim zdaniem nie do końca mu się to udało. Postanowiłem zaproponować swoje rozstrzygnięcie starych zagadek historycznych.

Czy w ciągu lat wypłynęły jakieś nowe fakty na ten temat?

– Jedną ze stosunkowo niedawnych fal uruchomiła Susan Buck-Morss książką o Heglu i Haiti. 30 lat temu pojawiło się fantastyczne odkrycie, mianowicie ktoś wreszcie wpadł na pomysł, by ustalić, skąd przed wybuchem rewolucji wziął się tak duży napływ niewolników z Afryki. Nikt nigdy nie dociekał, kim byli ci ludzie. A jest to jeden z kluczy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego była to jedyna podjęta przez niewolników rewolucja w dziejach ludzkości, która odniosła sukces.

Czy podobne zrywy miały miejsce także w innych koloniach?

– Pojawiały się rozmaite ruchy powstańcze na obszarach, gdzie istniało niewolnictwo – poczynając od Ameryki Północnej, przez kolonie na Morzu Karaibskim, aż po Brazylię. Nie wspominając o wystąpieniach niewolników w starożytności. Były one jednak bez porównania bardziej ograniczone i ponosiły porażki. Początek powstania w Haiti to był huragan. Od razu zaczęły się walki na ogromną, zdumiewającą skalę. Po dwóch miesiącach, według ocen historyków, na północy kraju, gdzie wybuchło powstanie, większość niewolników uczestniczyła w rewolucji. Bez różnicy wieku i płci.

Jak ważnym miejscem z punktu widzenia kolonii wyspiarskich było Haiti?

– Wśród historyków są spory na ten temat. Jedni zastanawiają się, czy była to najcenniejsza kolonia francuska. Drudzy, czy była to najcenniejsza kolonia w ogóle. Haiti nabrało wagi jako teren plantacji trzciny cukrowej, która w tamtym czasie miała ogromne znaczenie, a następnie jako ważny punkt eksportu kawy. Przy czym była to kolonia o szczególnym

ZBIGNIEW MARCIN KOWALEWSKI

– badacz ruchów społecznych, autor prac o ruchach i teoriach rewolucyjnych. Publikował w Wenezueli, Francji, Stanach Zjednoczonych, Ukrainie. Tłumacz z hiszpańskiego, francuskiego i portugalskiego. Jego ostatnie książki to „Rap. Między Malcolmem X a subkulturą gangową. Naród Islamu w czarnej Ameryce" (2020), „Ukraińskie rewolucje" (2023) oraz „To nie jest kraj dla wolnych ludzi. Sprawa polska w rewolucji haitańskiej" (2025).

eprasa.pl 4b4797edfc

stopniu wyzysku, niezwykle zabójcza. Niewolnicy masowo umierali z wycieńczenia. Taniej było kupić niewolnika z Afryki, niż zapewnić mu ludzkie warunki przetrwania.

Co było iskrą do wzniecenia rewolucji?

– Powstanie w Haiti wybucha dwa lata po rewolucji francuskiej. Łączy się z tym, co dzieje się we Francji, a więc ze zmianą ustroju, a to obejmuje również sprawę przyznania praw obywatelskich tym, którzy są wyzwoleńcami. Te echa mają oddźwięk na terenie kolonii; stwarza się pewna sprzyjająca atmosfera. Ale punktem wyjścia jest spisek – nie bardzo wiadomo, przez kogo zainicjowany. Zaczyna się od spotkania 200 przedstawicieli setki plantacji. Są to niewolnicy, ale ci uprzywilejowani, którzy są majstrami, mistrzami, kierownikami robót.

Haiti nabrało wagi jako teren plantacji trzciny cukrowej, a następnie jako ważny punkt eksportu kawy.

Z początku ich postulaty są ograniczone. Nie chodzi o zniesienie niewolnictwa, raczej o to, jak długo ma trwać tydzień roboczy, a więc o kwestie mające polepszyć sytuację niewolników. Spiski wśród niewolników zdarzały się w różnych momentach historii, w różnych miejscach, ale tu od początku przybiera to ogromny rozmach. Bardzo szybko celem stało się zniszczenie systemu plantacyjnego, podstaw gospodarki niewolniczej. W ciągu kilku tygodni w promieniu 80 km od stolicy kolonii wszystkie plantacje zostały zniszczone przez powstańców.

Jaka jest reakcja francuskich kolonizatorów?

– Powstaje konflikt między władzą rewolucyjną we Francji a kolonistami w Haiti, którzy nie chcą dopuścić do równouprawnienia czarnych i mulackich wyzwoleńców. Ludziom wolnym przysługują prawa obywatelskie, które zaprowadziła rewolucja francuska. Przy tej proporcji ludności – wyzwoleńców jest mniej więcej tyle samo, co kolonistów – pojawia się konieczność podzielenia się władzą i obalenia systemu białej supremacji rasowej. Zagrożeni w swoim dotychczasowym statusie koloniści nie tylko nie chcą do tego dopuścić, ale nawet są gotowi stać się kolonią brytyjską i przejść pod rządy Brytyjczyków, skłonnych zagwarantować im na wyspie dalsze pełne panowanie.

Natomiast wysłany przez władze francuskie komisarz, gdy oddziały francuskie, z którymi przybył do Haiti, ponoszą klęskę, desperacko usiłuje ratować sytuację i na własną rękę ogłasza zniesienie niewolnictwa. Bez wiedzy władz francuskich. To wszystko odbywa się z niesamowitą dynamiką. Dekret staje się rzeczą nieodwracalną. Przywrócenie niewolnictwa w tym momencie robi się nieprawdopodobne, choć potem dojdzie do takiej próby za rządów Napoleona.

Interesuje pana przede wszystkim fakt, że Napoleon wysłał polskich legionistów na drugą półkulę, by tłumili rewolucję wszczętą przez niewolników.

– Legiony, które powstały pod parasolem Republiki Francuskiej, zostają wysłane do Haiti w ramach wsparcia dla wojskowego korpusu ekspedycyjnego, który miał opanować sytuację na miejscu, jednak po ośmiu miesiącach nagle wybucha kolejne powstanie. Dla armii francuskiej zaczyna się dramat, bo początek powstania zbiega się z epidemią żółtej febry, która dziesiątkuje wojska. We wrześniu 1802 r. przybywa na odsiecz jednostka licząca ok. 2,5 tys. polskich żołnierzy. Po dwóch miesiącach zostaną z niej niedobitki. W następnym roku, w marcu, do Haiti przybędzie kolejna podobna półbrygada.

Jak traktowani są Polacy w Haiti?

– Powstańców straszono Polakami. Mówiło się, że jest to bojowa i groźna jednostka, która rozprawi się z powstaniem. Francuzi szerzyli pogłoski, że Polacy są ludożercami. Szybko się okazało, że polscy żołnierze niezbyt chętnie i niezbyt sprawnie walczą; nie dają sobie rady. Po stronie francuskiej pojawiły się skargi na ich bierność na polu walki.

A jaki stosunek mają Polacy do samego powstania, do postawy niewolników?

– Są to ludzie, którzy mocno trzymają się swojej przysięgi wojskowej, ale widzą, że to nie ich wojna. Powstańcy w oczach polskich żołnierzy są ludźmi, którzy zrzucili z siebie niewolnictwo i dążą do wolności. Istniało więc pewne zrozumienie dla samego powstania. Jest to jednak dalekie od wizji przechodzenia na stronę zupełnie obcych, ujrzanych po raz pierwszy ludzi – tak odległych rasowo i kulturowo.

Zagadkową sprawą jest opisywany przez pana korpus specjalny czarnych Polaków.

– Po stronie powstańców zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Gen. Dessalines, jako najwyższy rangą wojskowy w armii haitańskiej i człowiek o silnych ambicjach dowódczych, zaczyna wykazywać coś, co nazwałbym fiksacją na punkcie polskich żołnierzy walczących po stronie francuskiej. Najpierw, formując nowe oddziały z perspektywą objęcia dowództwa powstania i doprowadzenia go do zwycięstwa, Dessalines tworzy dziwną jednostkę wojskową, którą – w miarę możliwości – stara się ubierać w polskie mundury. Nazywa ją, jak pan wspomniał, korpusem specjalnym czarnych Polaków. Składa się on z osób, które nie urodziły się w Haiti, lecz w Afryce. Kiedy Dessalines staje się już powszechnie uznanym dowódcą powstania, tworzy swoją gwardię honorową, w której jest 30 polskich żołnierzy.

Niewolnicy umierali z wycieńczenia. Taniej było kupić niewolnika z Afryki, niż zapewnić mu ludzkie warunki przetrwania.

Skąd obecność Polaków po przeciwnej stronie?

– Nie ma pewności, skąd oni pochodzą. Zaistniało kilka wersji: albo

eprasa.pl 4b4797edfc

January Suchodolski, „Bitwa na Santo Domingo", 1845 r.

byli to żołnierze, którzy przeszli na stronę powstania, choć takie przypadki nie są udokumentowane, albo byli jeńcami. Inna sprawa, że Dessalines rozkazuje szczególnie traktować Polaków na polu walki, a nawet ich oszczędzać i brać do niewoli. Jest to wojna, w której żadna ze stron nie bierze jeńców – są mordowani zarówno przez powstańców, jak i Francuzów. Postawa Dessalinesa wobec Polaków była zagadkowa, ale w polskiej historiografii nie traktowano jej nigdy w kategoriach zagadki, tylko banalnie ją wyjaśniano. Pytanie jednak, dlaczego on to robi. Czemu miałby nabrać sympatii do Polaków walczących po drugiej stronie?

Polacy zostają uznani wręcz za członków tworzącego się „czarnego narodu".

– Dalszy ciąg tej sprawy nastąpi po rozbiciu francuskiego korpusu ekspedycyjnego i ogłoszeniu niepodległości przez generalicję stojącą na czele powstania. Polakom, którzy pozostali w Haiti, natychmiast przyznano obywatelstwo. Kiedy Dessalines koronował się na cesarza, kazał zatwierdzić to konstytucyjnie. W książce wyjaśniam, skąd u niego ta fiksacja na punkcie Polaków, jaką rolę tak bardzo szczególny stosunek do nich odgrywał w jego strategii politycznej. To miało późniejsze skutki, a mianowicie przyjazny stosunek państwa haitańskiego do Polaków, który utrzymywał się również w XX w. Kiedy w Haiti panowała ostra dyktatura o charakterze antykomunistycznym, dla obywateli z Polski Ludowej wstęp był otwarty. Byli tam szczególnie traktowani.

Inna sprawa to polski spór o zachowanie legionistów w Haiti.

– Od XIX w. mamy dwie wersje na temat tego, czy żołnierze polscy uczestniczyli w masakrze 400, a według innych danych 700 czarnych żołnierzy podczas rewolucji, czy też nie. Oddźwięk tego pojawił się w literaturze i sztuce polskiej – począwszy od „Tułaczy" Kraszewskiego, przez „Popioły" Żeromskiego, aż po „Popioły" Wajdy. Przy okazji premiery filmu znów doszło do dyskusji na ten temat na łamach „Polityki". Co jest rzeczą ciekawą, pierwsi trzej historycy rewolucji haitańskiej pisali o masakrze, ale nie potwierdzali, a nawet nie wspominali o udziale Polaków. U jednego z nich pojawiło się natomiast znamienne stwierdzenie, że „podczas tego mordu Polacy okazali chlubną odrazę do wykonania barbarzyńskiego rozkazu" francuskiego generała. W książce przytaczam je po raz pierwszy po polsku. Pozostało ono w haitańskiej opinii publicznej na zawsze.

Zastanawia mnie, czy rewolucję haitańską możemy potraktować dziś jako preludium do powstania ruchów na rzecz praw obywatelskich i zniesienia segregacji rasowej. Kilka dekad później wybucha wojna secesyjna, której jednym z postulatów jest poczynienie kroków ku zniesieniu niewolnictwa.

– Istnieje pojęcie „rewolucyjnego Atlantyku", czyli zjawisk rewolucyjnych po obu stronach oceanu. Jest oczywiście rewolucja amerykańska, czyli wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych, a po drugiej stronie rewolucja francuska. Poza tym mamy ogromne indiańskie powstania antykolonialne w głębi kontynentu, na terenach dzisiejszego Peru i Boliwii, a następnie, już po Haiti, wojnę o niepodległość w koloniach hiszpańskich.

Jest to zjawisko ogromnie ważne ze względu na to, że rewolucja haitańska poszła dużo dalej w swoim emancypacyjnym charakterze niż np. rewolucja północnoamerykańska. Pamiętajmy, że ta druga nie zniosła niewolnictwa. Jego obalenie następuje w Stanach Zjednoczonych znacznie później. Dopiero w latach 60. XIX w. Sprawa Haiti była pierwszą zwycięską rewolucją antykolonialną na obszarze, który nazywano później, już w XX w., Trzecim Światem. Jak się okazuje, jej echa dotarły do inteligencji niemieckiej i, co więcej, była ona dość istotnym odniesieniem dla inicjatorów ruchu na rzecz niepodległości i zjednoczenia Włoch. Haiti zatem było zjawiskiem państwotwórczym, ważnym dla późniejszych pokoleń.

Mateusz Demski

Sprawa Haiti była pierwszą zwycięską rewolucją antykolonialną na obszarze, który nazywano później Trzecim Światem.

FOT. PAWEŁ PIEKARSKI, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 4b4797edfc

Oko w oko

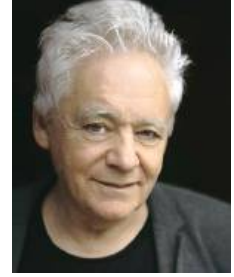

Tomasz Jastrun

Starość i młodość

Nadal czytam cztery tomy „Notesów" Andrzeja Wajdy, to lektura na wiele tygodni. Ciekawie rysuje się portret żony reżysera, Krystyny Zachwatowicz. Od lat nie miałem z nią kontaktu, pomyślałem, że powinienem jej posłać wybór wierszy. Wspierała Wajdę z wielkim zrozumieniem, niezwykle intensywnie, wytrwale i pracowicie uczestniczyła w jego życiu. Była prawdziwą partnerką, niektórzy uważali, że częściowo go programuje i pilnuje, ale z „Notesów" to nie wynika.

Wajda pisze: „Wieczorem w operze »Wesele Figara«. Nie mogę z Krysią chodzić do teatru, a zwłaszcza na opery, bo cały czas mnie szczypie, że źle. Tłumaczę: Ależ, Krysiu, to przecież nie ja wyreżyserowałem – nic nie pomaga, za chwilę znowu zaczyna…". Świetnie pamiętam to jej szczypanie, raz go doświadczyłem.

Krysia ma teraz 95 lat. Byłem z nią bliżej niż z Andrzejem. Od bardzo dawna do niej nie dzwoniłem, nie odzywałem się, jakbym nie śmiał, jakbym nie chciał przeszkadzać jej w starości. Jakby poważny wiek był niezwykle pracowitym i czasochłonnym zajęciem. Ale takie milczenie to przecież grzebanie kogoś w ciszy. W serdecznym więc odruchu dzwonię – odbiera, głos trochę zmieniony, cieszy się, mówi, by ją odwiedzić w Krakowie.

Wracając do „Notesów" Wajdy – czemu nie nazwać ich dziennikami? Trochę szkoda, że nie ma w nich więcej sfery, powiedzmy, domowej. Ale to i tak niezwykle bogaty zapis. Wajda wszędzie chodził z notesem. Nie tylko w nim notował, też malował, wycinał z gazet i wklejał – powstał wielowymiarowy obraz jego pracy i życia.

Artystycznym dramatem reżysera był brak w Polsce dobrych scenariuszy lub prozy, która daje się na potrzeby filmu zaadaptować. Polskie kino chyba nadal jest „chore" na scenariusz – na jego brak lub słabość. Stąd takie gorączkowe poszukiwania pomysłów do filmu, w co reżyser angażował dziesiątki osób. Dwa razy zwracał się w tej sprawie do mnie. Scenariusze, w różnych fazach ich powstawania, pokazywał, konsultował, wahał się, czasami to była dla niego męka i rozpacz. Pamiętam, jak pokazał mi wstępny projekt „Pana Tadeusza". Byłem zdania, że nie powinno się mówić w tym filmie wierszem. Nie wiem, czy miałem rację.

Bardzo podoba mi się oddanie Wajdy sprawom społecznym. Kochał Polskę, jej kulturę i historię, nie znosił, podobnie jak Miłosz, Polski prawicowej i endeckiej. I ta Polska odpłacała mu nienawiścią. Międzywojnie uważał, tak jak Miłosz, za czas straszny – te straszności przedwojenne zainfekowały naszą wolność. Zanotował: „Takiej pogardy, jaką ma wobec nas Kaczyński, nie miała komuna". To prawda. Nie ma nawet co porównywać.

Częsty w „Notesach" jest temat Katynia. Wajda stracił tam przecież ojca. W końcu powstał film z wybitną sceną egzekucji. W „Notesach" reżyser zapisał: „Pisowską zbrodnię katyńską trzeba przezwać Zbrodnią Kaczyńską i to będzie prawda, gdyż od czasu kłamstwa katyńskiego, że to Niemcy wymordowali polskich oficerów (…), następnym kłamstwem jest katastrofa smoleńska". Właśnie znowu mieliśmy rocznicę, już 15., i makabryczny kabaret pod pomnikiem. I obiecanki, że zamach zostanie udowodniony. Prezes najpierw cyniczny, w zamach już zaczął wierzyć gorącą wiarą psychopaty.

Wajda kochał Polskę, jej kulturę i historię, nie znosił, podobnie jak Miłosz, Polski prawicowej i endeckiej. I ta Polska odpłacała mu nienawiścią.

•

W Czytelniku spotkanie wokół mojego wyboru wierszy „Oddani istnieniu". Sporo ludzi, niektórzy znajomi pochyleni i pobladli. Nie ma młodych, ale tak teraz jest zawsze na spotkaniach literackich. Wiersze zabrzmiały mocno – dobrze czytałem – czasami mi się to zdarza. Ktoś z sali mówi, że mając 40 lat, już byłem starym poetą – ja na to szczerze, że teraz za to jestem poetą młodym.

•

Telefony i listy od bardzo starych ludzi, zawsze pisane ręcznie, rozchwianym pismem, zwykle długie, podobnie długie mówienie przez telefon, przywiązywanie nadmiernej, upartej wagi do jakichś głupstw. Starzy słabo słyszą, chcą więc tylko mówić, a nie słuchać. Mówię „starzy", a sam jestem niemal stary – właśnie w tym problem, że czuję się „niemal", a od tego „niemal" do „stary" zdaje mi się, że jest daleko.

Prosty rachunek wskazuje jednak, że to nieprawda – starość jest blisko. Wspominając, co było 10 lat temu, czuję, że zdarzyło się to niemal wczoraj – czyli do jutra ucieknie 10 lat i będę miał, jeśli dożyję, 85. Jezus Maria! To proste rachunki, ale się w nich gubię, nie mam jednak złudzeń, w którą stronę to zmierza, i ta strona bardzo mi się nie podoba. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b4797edfc

Wojciech Łaski na wernisażu wystawy. Konstancin-Jeziorna, 12 kwietnia 2025 r.

WOJCIECH ŁASKI
FOTOGRAFIA REPORTERSKA. RETROSPEKTYWA

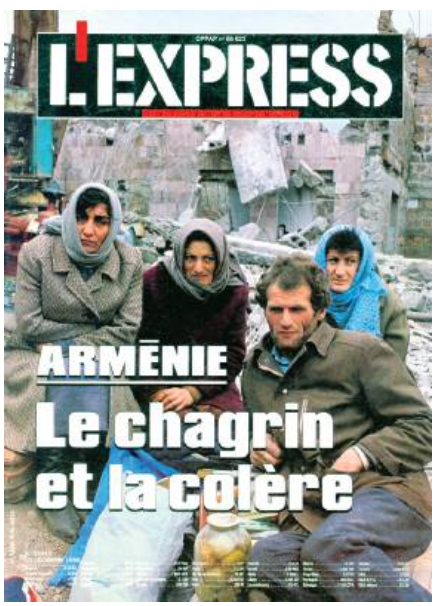

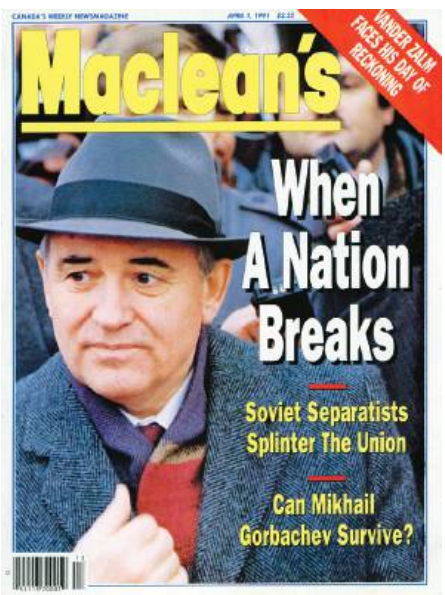

eprasa.pl 4b4797edfc

Wisława Szymborska dzień po otrzymaniu wiadomości o przyznaniu jej Literackiej Nagrody Nobla. Zakopane, listopad 1996 r.

Salvador Dalí w hotelu Moris. Paryż, 1972 r.

Polsko-francuski fotograf, reporter prasowy, współpracownik znakomitych światowych agencji, takich jak Sipa Press, Gamma Press, Keystone i Black Star, autor zdjęć prezentowanych w magazynach „Time", „Newsweek", „Paris Match", „Stern", „Le Figaro", „Der Spiegel" i „Le Point" zagościł w przestrzeni wystawienniczej Konstancińskiego Domu Kultury w willi Hugonówka. Zdjęcia Wojciecha Łaskiego w latach 80. oglądano z wielkim zainteresowaniem na całym świecie i właśnie fotograficzne dokumenty z lat 80. z prywatnego życia Lecha Wałęsy i rodziny, relacje z Watykanu z czasu pontyfikatu Jana Pawła II czy wydarzenia polityczne i społeczne w Europie Wschodniej, historię wciąż żywą, można oglądać na wystawie. To wielka retrospektywa, pierwsza tak duża wystawa fotografii Wojtka Łaskiego, nigdy wcześniej nieprezentowana w Polsce.

Konstanciński Dom Kultury Hugonówka
Konstancin-Jeziorna, ul. Mostowa 15
do 31 maja
Wstęp wolny

Roman Polański w studiu montażowym. Paryż, 1980 r.

Spotkanie Michaiła Gorbaczowa z papieżem Janem Pawłem II. Watykan, 1 grudnia 1989 r.

eprasa.pl 4b4797edfc

Anioły w Warszawie przeciw obojętności

Teatr trudnych tematów

Tomasz Miłkowski

Monumentalne obroty metalowej konstrukcji na scenie Teatru Dramatycznego kojarzą się z młynami historii. Nawet towarzyszący temu monotonny, przytłumiony zgrzyt uwydatnia obojętność czasu, który toczy się swoim rytmem. Konstrukcja przypomina bryłę Dworca Centralnego, co dodatkowo potwierdzają odgłosy pociągów, komunikatów i gwar pasażerów.

W ten sposób Julia Holewińska (autorka) i Wojciech Faruga (reżyser) spektaklem „Anioły w Warszawie" cofają nas o 40 lat, przenosząc do centrum gejowskiej stolicy lat 80. Podzielony na fragmenty komentarz chóru świadków wprowadza niczym prolog w antycznej tragedii w opowieść o epidemii AIDS, groźnej i nieznanej choroby, która przyprawiła o trwogę cały świat.

Tak dalece, że usiłowano jej zaprzeczyć. Koronnym tego dowodem stały się „Anioły w Ameryce" Tony'ego Kushnera (prapremiera w 1991 r.), uznane za obraz nowej Apokalipsy, nazywane najwybitniejszym dramatem anglosaskim ostatniej dekady XX w. Właśnie w tej sztuce jeden z bohaterów, demoniczny adwokat Roy, mentor republikanów, zarażony wirusem HIV rozgłasza, że cierpi na raka. Podobnie zachowuje się reżyser Michał, ikona opozycji demokratycznej w „Aniołach w Warszawie". Jego losy to niejedyne podobieństwa wiążące spektakl w Dramatycznym ze sztuką Kushnera, a szczególnie z inscenizacją Krzysztofa Warlikowskiego w TR Warszawa (2007). Twórcy przedstawienia w Dramatycznym tego nie kryją, przeciwnie, świadomie nawiązują do tego przełomowego spektaklu.

Sensacja Warlikowskiego

„Anioły" Warlikowskiego to opowieść o ludzkich zmaganiach z własną tożsamością, o odrzucaniu każdego, kto myśli i czuje inaczej, o szansie wybaczania i pojednania, o potrzebie miłości i otwartości wobec świata. Warlikowskiemu udało się związać realizm z metaforą, sceny fantastyczne i wizyjne z reporterskimi zapisami. Unikając naturalistycznej dosłowności, znalazł sugestywny sposób odsłonięcia ludzkich dusz. Podobną drogą idą Holewińska i Faruga, tworząc opowieść lokalną i uniwersalną zarazem, zakotwiczoną w konkretnym miejscu, pełną odniesień do odwiecznej tęsknoty za miłością i odrzuceniem przemocy.

Kto będzie dociekliwy i poruszony premierą w Dramatycznym, może te spektakle porównać, bo „Anioły w Ameryce", dzisiaj odsyłane przez niektórych recenzentów na emeryturę, nadal są grane w Nowym Teatrze. Co więcej, dramat Kushnera nie zniknął z obiegu teatralnego w Polsce i na świecie. Niemałe wrażenie zrobiło ośmiogodzinne przedstawienie reżyserowane przez Marianne Elliott w londyńskim National Theatre (2017), dobre recenzje zebrał spektakl Małgorzaty Bogajewskiej w Teatrze Ludowym w Krakowie (2021). „Anioły" zapukały też do drzwi uczelni aktorskich: łódzkiej Filmówki (2019) i krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych (2023).

Warto przypomnieć, że kiedy dramat Kushnera pojawił się na scenie w Warszawie (a poprzedziły go premiery w Gdańsku i Toruniu), przyjmowany był rozmaicie. Prawicowi recenzenci odżegnywali się od gejowskich brewerii. Jedna z rozeźlonych krytyczek grzmiała: „Co mnie, widza, mogą obchodzić jakieś dewiacyjne romanse i zdrady homoseksualistów w środowisku żydowskim z udziałem małżeńskiej pary mormońskiej w Nowym Jorku". Ale i wśród zdecydowanie aprobujących spektakl widać było wielkie zróżnicowanie opinii. Część recenzentów uważała samą sztukę Kushnera za utwór co najmniej nierówny, a nawet kiczowaty, w każdym razie daleki od Szekspira. Część z kolei przyjęła go jako objawienie, proroctwo, zarzucając jednak Warlikowskiemu, że zamazał jego ostrą wymowę polityczną.

> To prawda, wiele się zmieniło, ale uprzedzenia, nieufność, a nawet wrogość nie zniknęły.

Dzisiaj spektakl Warlikowskiego potwierdza jego niezwykłe wyczulenie na moment dziejowy. Ukazał bowiem, wprawdzie odnosząc się do rzeczywistości amerykańskiej, stan lękowy społeczeństwa w konfrontacji z groźną zarazą, postawy ludzi niegotowych na przyjęcie do wiadomości niebezpieczeństwa i mierzenie się z nieznanym, co wprost przekładało się na sytuację w Polsce. Dlatego czytano te „Anioły" jako rzecz o ówczesnej Warszawie.

„Anioły w Ameryce" Warlikowskiego nie były jednak pierwszym spektaklem o AIDS w Polsce. Pierwszeństwo

eprasa.pl 4b4797edfc

Anioły w Warszawie

należy się Grzegorzowi Mrówczyńskiemu, który na deskach Teatru Polskiego w Poznaniu w 1987 r. wystawił „Normalne serce" Larry'ego Kramera w przekładzie Małgorzaty Semil, pierwszy ważny tekst amerykański o epidemii AIDS. Tę mocną premierę powtórzył dwa lata później w Teatrze Telewizji. Nie był to może dramat literacko nadzwyczajny, ale wtedy właściwie jedyny, w dodatku przetransferowany na polską scenę już dwa lata po nowojorskiej premierze (1985). Dramat szybko zyskał za oceanem zwolenników, autor zaś stał się ulubieńcem krytyki. W miesięczniku „Dialog" polski przekład ukazał się już w październiku 1986 r. Zważmy, że były to czasy PRL, wprawdzie schyłkowego, ale tuż po niesławnej akcji „Hiacynt", esbeckim polowaniu na homoseksualistów, o czym bez ogródek opowiada spektakl Holewińskiej i Farugi. Oficjalnie wtedy o AIDS w Polsce milczano (ale w USA też), choć od roku 1985 notowano w Polsce pierwsze zakażenia. W ówczesnych okolicznościach trzeba było mieć nie byle jakie wyczucie zagrożeń i odwagę, żeby z tym tematem się zmierzyć i odnieść sukces.

Co po Mrówczyńskim

Aktorzy do tej sztuki szczególnie się nie garnęli. Być może aby dodać im odwagi, dyrektor Mrówczyński wystąpił jako jeden z wykonawców, w roli (wprawdzie heteroseksualnego) Bena. Aktorzy wstydzili się grać zakochanych w sobie mężczyzn, w połowie lat 80. niechętnie mówiło się o gejach. Jacek Sieradzki pisał po premierze w „Polityce": „W Poznaniu powstał spektakl imponujący taktem, dyskrecją i rzetelnością (co podkreślam tym chętniej, że w tym właśnie teatrze z taktem, dyskrecją i rzetelnością bywało rozmaicie). (…) Powstało przedstawienie bardzo pięknie uczące tolerancji wobec innych, nietypowych, odmieńców".

Bohaterowie tej historii mieli zostać zapomniani, teatr jednak przywraca ich do istnienia.

Po Mrówczyńskim nikt już z „Normalnym sercem" w polskim teatrze się nie konfrontował. Na niemal dekadę zamieciony pod dywan temat AIDS zniknął ze sceny. Milczało też kino, które w upychane w kącie niewygodne tematy pobudzone wirusem HIV weszło z impetem w 1993 r. brawurowym filmem społecznym i romantycznym jednocześnie, „Filadelfią" Jonathana Demme'a z Tomem Hanksem i Denzelem Washingtonem. Polskie kino zaskoczyło widzów rok później obrazem „Pora na czarownice" Piotra Łazarkiewicza o narkomance i „dworcowym geju", zakażonych wirusem HIV.

Musiał się zmienić ustrój, żeby AIDS powoli przestało być tematem tabu. Nie do końca jednak. Bo kiedy w warszawskim klubie Le Madame wystawiono „Miss HIV" Macieja Kowalewskiego, bodaj jedyną komedię osnutą wokół losów zakażonych, klub rozpędzono na cztery wiatry, a spektakl przygarnął Teatr Polonia Krystyny Jandy.

„Miss HIV" to jeden z dramatów nadesłanych na konkurs rozpisany przez Krajowe Centrum ds. AIDS (2004) z intencją propagowania wiedzy o zapobieganiu zakażeniom.

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, STEFAN OKOŁOWICZ

eprasa.pl 4b4797edfc

Anioły w Warszawie

Utwór Kowalewskiego mijał się z założeniami organizatorów i nie wszedł nawet do finału konkursu, który wygrała Marta Grzechowiak „Psychotestem, czyli lovematopeą", wystawioną potem w Starej ProchOFFni w reżyserii Włodzimierza Kaczkowskiego (2005). Za to „Mis HIV" sprawdziła się w teatrze. Opowieść o dziewczynach rywalizujących o tytuł Miss HIV nawiązywała do konkursu zorganizowanego w Botswanie z myślą o edukacji społeczeństwa.

Przywróceni

Jak widać, niewiele było tych prób opowiadania o społecznym odbiorze „naznaczonych" wirusem. „Anioły w Warszawie" tak naprawdę po raz pierwszy, i to z epickim rozmachem, podejmują tę problematykę, odsłaniając jej głębokie źródła i społeczne następstwa. Rzecz idzie tutaj o akceptację odmienności, o zaniechanie wykluczania innych, stygmatyzowania z siłą porównywalną do piętnowania czarownic. Ale też o ukazanie społecznych mechanizmów nietolerancji i zaprzeczenia. Wreszcie o wydobycie z archiwów świadectw haniebnych praktyk SB, wykorzystującej preferencje seksualne do społecznej manipulacji. Idzie o ułożenie żywych, ludzkich relacji w rodzinie, wśród przyjaciół, w większej i mniejszej społeczności. O prawo do miłości. Ta opowieść jest właśnie o tym wszystkim.

Dlatego obcujemy ze wspomnianym już dramatem reżysera (w tej roli nadzwyczaj przekonujący Marcin Bosak), który zaprzecza swoim związkom z mężczyznami, ukrywa je ze względów politycznych, bo czuje się aniołem opozycji. Nie chce podjąć leczenia i staje się ofiarą epidemii. Towarzyszy mu bezradna matka, wybitna aktorka Danuta (przejmująca Małgorzata Niemirska). W ostatnich chwilach jest obok niego rozczarowany młody kochanek, student szkoły teatralnej Jacek. Debiutujący tą rolą w Teatrze Dramatycznym Jan Sałasiński, jeszcze student Akademii Teatralnej w Warszawie, maluje portret pełnego siły witalnej chłopaka szukającego partnerów i szczęścia. To on pada ofiarą akcji „Hiacynt". Nigdy nie umiał powiedzieć matce, że jest gejem, ale teraz ona jakby zerwała się z łańcucha stereotypów i rusza niczym lwica do walki o syna. Agnieszka Wosińska stworzyła w tej roli wzniosłą figurę Matki Walczącej. Pracuje jako sekretarka oficera SB, tym silniejsze wrażenie wywołuje jej przebudzenie z letargu. Wielka rola.

Jacek przyjaźni się z Syreną (Helena Urbańska). Ta pół kobieta, pół ryba to szczególny znak: figura kobiecości i niezależności, a teatralnie symbol oderwania od płaskiego realizmu. Opowieść w Dramatycznym, tak jak „Anioły w Ameryce", jest także „fantazją gejowską na tematy narodowe", jak nazwał w podtytule swoją sztukę Kushner. Również o początkach epidemii w połowie lat 80. Bohaterowie tej historii mieli zostać zapomniani, ale teatr przywraca ich do istnienia.

Śledzimy więc losy pary bokserów, żonatego Waldka (Damian Kwiatkowski) i jego partnera Fabiana (Konrad Szymański), których miłość nie bez przeszkód dochodzi do głosu. Rafał, oficer SB mocno namalowany przez Piotra Siwkiewicza, to typ odrażający, seksualny drapieżca. Jego łupem pada poniewierana prostytutka Anna (Anna Gajewska), która zaraża się wirusem. Dawno nie widzieliśmy Siwkiewicza w tak wyrazistej roli.

A gdzie tu anioły?

Jest i Anioł prawdziwy, lekarka z wolskiego szpitala, Katarzyna Herman – bezradna wobec narastającej epidemii, pozostaje wierna przysiędze Hipokratesa. Kiedy sama potrzebuje pomocy, zachowuje godność, jednak to nie pomnik, ale żywa istota, reagująca na ludzkie nieszczęścia. Stąd jej sympatia do Sebastiana (Paweł Tomaszewski), pacjenta z hemofilią, z jej winy zarażonego wirusem podczas transfuzji. Sebastian to poeta pogodzony ze swoim losem. Postać jak z bajki. Też Anioł.

Dzięki autentyzmowi losów ludzkich splecionych w tej opowieści, a przy tym aktorskiej sile postaci, spektakl płynie niemal wartko przez cztery godziny. Zadziwiać może jego pełen optymizmu finał. Twórcy najwyraźniej chcą przezwyciężyć rzeczywistość, która nie tak często okazuje się przyjazna dla nieheteronormatywnych bohaterów. To prawda, że wiele się zmieniło, ale uprzedzenia, nieufność, a nawet wrogość nie zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ten finał, pełen wiary w świat, traktuję nie tyle jako diagnozę rzeczywistości, ile jako wymarzoną prognozę. Pewnie, świat byłby o wiele lepszy, gdyby władała nim miłość, jak niemal skandują aktorzy schodzący ze sceny. Takie anioły w Warszawie potrzebne są od zaraz. Taka to fantazja.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 4b4797edfc

NA EKRANACH

Śnieżka,

reż. Marc Webb, prod. USA/Niemcy, już w kinach

Bajka o Królewnie Śnieżce powróciła w nowych szatach. Na wersję aktorską czekaliśmy od paru lat, a doczekaliśmy się kontrowersji. Na przykład fenomenalna Rachel Zegler w tytułowej roli krytykowała starą wersję filmu, zarzucając jej przestarzałe wartości, co nie spodobało się części fanów. Do tego Zegler w swoich wpisach na X popiera Palestynę, a Gal Gadot, Zła Królowa – Izrael. Widzowie piszą, że mamy walkę dobra ze złem nie tylko w samej bajce, ale i w prawdziwym życiu. Jaki zatem jest końcowy produkt? To zwyczajny musical dla najmłodszych, którego wykonanie pozostawia wiele do życzenia, ale „Śnieżka" wciąż broni się chwytliwą muzyką i śpiewem oraz charyzmą Zegler. Dorośli narzekają – a bo inny kolor skóry bohaterki, a bo pozmieniana fabuła, a bo sztuczne efekty specjalne. Ale dzieciaki bawią się świetnie. I o to w tym wszystkim chodzi.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Szpila bez Strzępki

Spektakl „Heksy" miał być wystawiony w warszawskim Teatrze Dramatycznym za dyrekcji Moniki Strzępki, ale powędrował do Wrocławia, a stamtąd na Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych do Łodzi. Oparty na powieści Agnieszki Szpili jest dosyć brutalnym manifestem feministycznym. Niestety, nie prezentuje jednak spójnego programu, nie wytycza celu walki o kobiecą podmiotowość, tylko daje bulwersującą, wulgarną papkę, syci się drastycznym językiem i świętokradczą prowokacją. Jest to więc w pełnym tego słowa znaczeniu sztuka nieprzyjemna.

Bronisław Tumiłowicz

Agnieszka Szpila, „Heksy", reżyseria Monika Pęcikiewicz, Teatr Polski w Podziemiu Wrocław, premiera 22 marca 2025 w Centrum Sztuk Performatywnych Instytutu Grotowskiego we Wrocławiu

MIĘDZY OKŁADKAMI

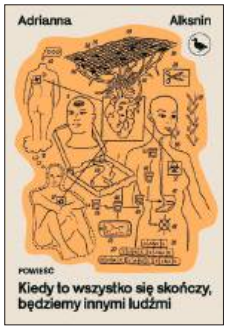

Adrianna Alksnin

Kiedy to wszystko się skończy, będziemy innymi ludźmi

Cyranka, Warszawa 2025

Pamiętacie jeszcze pandemię? Gdy historia przyśpieszyła, za rogiem wojna i rewolucja sztucznej inteligencji, czas lockdownu i maseczek wydaje się niezwykle odległy. Adrianna Alksnin wraca do roku 2021, środka koronawirusowego szaleństwa. Dwie pary przyjaciół po trzydziestce – Julia i Szymon oraz Karol i Zuza – próbują się odnaleźć w nowej rzeczywistości po długim okresie pandemicznej izolacji. Gdy świat wokół zaczyna się budzić z letargu, bohaterowie konfrontują się z własnymi długo tłumionymi pragnieniami. Proza Alksnin dotyka fundamentalnej ludzkiej potrzeby zmiany, ale nie ma tutaj mentorskiego tonu czy taniej czułostkowości. W opowieści pisarki może się przejrzeć każdy, kto jeszcze chce czegoś od życia i nie godzi się na utknięcie w koleinach losu.

Rafał Pikuła

NA POWAŻNIE

Ząb czasu triumfuje

Atrakcyjna modelka w studiu fotograficznym otwiera spektakl z muzyką barokową. Autorem libretta, przypowieści o niszczącym działaniu czasu, jest XVIII-wieczny włoski kardynał, ale my oglądamy rzecz oczami współczesnymi i traktujemy serio ten śpiewany test prawdy. Jedynie postać nazwana Przyjemnością swoją tuszą przeczy obrazkom znanym z setek reklam. Każda uroda doznaje kiedyś uszczerbku.

Bronisław Tumiłowicz

Georg Friedrich Haendel, „Il trionfo del Tempo e del Disinganno", reżyseria Waldemar Raźniak, dyrygent Krzysztof Garstka, Polska Opera Królewska, premiera 4 kwietnia 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KINGA KARPATI & DANIEL ZAREWICZ, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 4b4797edfc

Robert Peckham

SIŁA STRACHU

Po zamachach 11 września 2001 r., kryzysie z 2008 r. i pandemii COVID-19 jesteśmy bardziej lękliwi niż kiedykolwiek wcześniej

Mieszkańcy Marshall Heights, dzielnicy położonej w południowo-wschodniej części Waszyngtonu, żyją ze świadomością wszechobecnej groźby przemocy z użyciem broni. Jak oznajmiono w dotyczącym tej dzielnicy reportażu, który ukazał się w gazecie „The Washington Post" w 2021 r., „Strach jest częścią życia".

W Hongkongu w czerwcu 2020 r. przyjęto ustawę o bezpieczeństwie narodowym w celu stłumienia antyrządowych protestów. Wymijająco zdefiniowane czynności, od „sabotażu" aż po „zmowę z zagranicznymi siłami", sklasyfikowane są jako przestępstwa, za które można spędzić w więzieniu całe życie. „Zdolność wywołania u kogoś strachu to najtańszy i najefektywniejszy sposób, aby go kontrolować", powiedział BBC Jimmy Lai, wydawca prasowy i prodemokratyczny aktywista, zanim wtrącono go do więzienia, a Ai Weiwei, chiński artysta i aktywista żyjący obecnie jako dobrowolny emigrant w Portugalii, stwierdził: „Życie w strachu jest gorsze niż utrata wolności".

W tym czasie rosyjskie czołgi T-64 i myśliwce SU-27 wkraczały na terytorium Ukrainy. „Jestem w Kijowie i sytuacja jest przerażająca", przekazała światu ukraińska dziennikarka po tym, jak obudziła się przy hałasie bomb i syren. Napisała również: „Czuję, jak strach wkrada się w moje trzewia, tak jakby może sam pan Putin złapał moje serce i je ścisnął". „Nie boimy się niczego i nikogo", oznajmił ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski podczas konferencji prasowej nadawanej z jego bunkra w obleganej stolicy, podczas gdy w Ukrainie zaczynała się wojna.

Natomiast od marca 2020 r. kiedy Światowa Organizacja Zdrowia oświadczyła, że gwałtownie rozprzestrzeniający się koronawirus wywołał pandemię, ogromna część świata została ogarnięta koronafobią, czyli „nowo powstałą fobią charakterystyczną dla wirusa COVID-19".

Strach wywołują jednak nie tylko przestępstwa z bronią w ręku, autokratyczne rządy i choroby wirusowe, ale również terroryzm, cyberataki, rządowe spiski, imigranci, bankructwo, zmiany klimatu i wiele innych. Przeprowadzony w 2022 r. w Stanach Zjednoczonych sondaż wykazał, że wśród dziesięciu rzeczy, które w Amerykanach wzbudzają największy lęk, znajdują się: korupcja polityków, śmierć lub choroba bliskich osób, nuklearny atak ze strony Rosji, udział USA w wojnie światowej, finansowy i ekonomiczny krach, zanieczyszczenia i wojna biologiczna.

Jak napisał filozof Brian Massumi, „znaturalizowany strach, wszechogarniający strach czy nieodłączna klimatyczna trwoga" stały się powszechnym, „konsternująco emotywnym muzakiem", który być może zostanie zapamiętany jako „znak rozpoznawczy" naszych czasów. Uważa się, że nowoczesne technologie, a przede wszystkim rozwój internetu wraz z wiadomościami nadawanymi 24 godziny na dobę, umożliwiły odległym zagrożeniom przekraczać granice z niespotykaną wcześniej prędkością. Po zamachach 11 września 2001 r., finansowym kryzysie z 2008 r. i pandemii COVID-19 jesteśmy bardziej lękliwi niż kiedykolwiek wcześniej.

Być może powinniśmy przypisać część tych obaw „ignorowaniu prawdopodobieństwa" zachodzącemu wtedy, gdy potencjalne ryzyko wywołuje w nas tak intensywną reakcję emocjonalną, że ignorujemy prawdopodobieństwo wystąpienia danych zdarzeń. Zgodnie z hipotezą „niechęci do straty", opracowaną w ekonomii behawioralnej w celu wyjaśnienia procesu podejmowania decyzji oraz ryzyka, przejawiamy większą tendencję do zamartwiania się o uniknięcie

eprasa.pl 4b4797edfc

strat niż o osiąganie zysków i nasze obawy o to, że coś potoczy się źle, są większe niż nasze nadzieje, że sprawy mogą się poukładać.

Niektóre lęki wynikają, co prawda, z realnych zagrożeń, lecz inne wydają się wyolbrzymione, a nawet wyimaginowane. Można by zatem zaobserwować dysonans między mnożącymi się obawami a dowodami, że początek XXI w. jest prawdopodobnie najbezpieczniejszym okresem w historii, biorąc pod uwagę średnią długość życia i znaczące ograniczenie skrajnego ubóstwa oraz wojen, nawet jeżeli w wielu miejscach na świecie nadal istnieją rażące nierówności i szerzy się przemoc. Jednak w 2022 r. Bank Światowy oświadczył, że globalny proces zwalczania ubóstwa zatrzymał się, a w skrajnej biedzie żyje ponad 700 mln ludzi – większość z nich w Afryce Subsaharyjskiej. (...)

Strach jest środkiem pozyskiwania władzy i jest on wzbudzany przez ludzi, którzy na nim korzystają – niezależnie od tego, czy są to politycy, ruchy religijne, organizacje medialne, firmy technologiczne, instytucje farmaceutyczne czy finansowe. Ponadto potępianie strachu przynoszącego korzyści również jest strategią polityczną, tak jak wówczas, gdy osoby walczące w 2016 r. o brexit, czyli wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, oskarżyły swoich przeciwników o inicjowanie „Projektu Strachu" (ang. Project Fear). Jednocześnie analiza długiej historii strachu skłania do postawienia ważnego pobocznego pytania: jak możemy przerwać ten cykl wyzysku? A jeżeli już by nam się udało, to co stałoby się ze wszystkimi społecznymi interwencjami, które polegają na strategicznym wykorzystaniu strachu w celu zmiany naszego zachowania? Czy nie potrzebujemy lęku, aby traktować nasze problemy poważnie?

Choć strach może służyć jako środek utrzymywania kontroli, to jego zmienne własności sprawiają, że niełatwo nim zarządzać. (…) Ale przede wszystkim: czym jest ten strach, o którym mówimy? To słowo obejmuje przecież zaskakująco szerokie spektrum doświadczeń: opisuje emocjonalny stan i wykorzystywane jest jako odniesienie do skomplikowanych procesów psychologicznych i fizjologicznych. To tak głębokie pojęcie, że można tam zmieścić i wydarzenia masowe, i indywidualne przeżycia. Nasz leksykon strachu zawiera taką różnorodność bliższych i dalszych ekwiwalentów, że łatwo się pogubić w ich definicjach: niepokój, obawa, groza, lęk, przerażenie, panika, histeria itd.

„Lęk to antycypacja bólu", napisał psycholog Granville Stanley Hall pod koniec XIX w., przywołując słowa Arystotelesa, który twierdził: „Lęk jest to przykrość i niepokój wywołane wyobrażeniem o grożącym nieszczęściu, które niesie zgubę lub cierpienie". Hall, pierwszy prezes Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, postanowił sklasyfikować różne rodzaje strachu na podstawie odpowiedzi w kwestionariuszu, który rozesłał do 748 osób, co stanowiło pierwszy publiczny sondaż dotyczący tego tematu; liczba fobii, które wówczas odkrył, wprawiła Halla w konsternację: były tam lęki przed wiatrem, grzmotami, meteorami, ciemnością, ogniem, wodą, samotnością, pistoletami, brudem, pojazdami mechanicznymi, psami, kotami, wężami, pająkami, pluskwami i chrząszczami, widokiem krwi, obcymi, chorobami, śmiercią, duchami, czarownicami czy grzechem – a to tylko niektóre z nich. Celem Halla nie było pozbycie się strachu, który uważał za niezbędny dla ludzkiego rozwoju; jak napisał, „lęki są podstawą wielu z najsilniejszych intelektualnych zainteresowań". Chciał natomiast zrozumieć, skąd lęki pochodzą i jakie pełnią funkcje. Był tylko jeden problem: skoro istnieje tyle rodzajów strachu, to od czego zacząć?

Jeżeli chcielibyśmy ekspresowo zdefiniować strach, moglibyśmy powiedzieć, że to neurobiologiczne procesy, które mają na celu utrzymanie nas przy życiu. Wydaje się, że język, którego używamy, również wskazuje na instynkt samozachowawczy. W języku angielskim rzeczownik terror dzieli swoje dawne korzenie ze słowem *tremble* (pol. drżeć), natomiast horror i *anxiety* (ang. niepokój) wywodzą się z łacińskich czasowników oznaczających „jeżyć się" oraz „napinać" lub „dusić", co sugeruje fizjologiczne reakcje na zaobserwowane zagrożenie. Pomimo naszej nabytej wiedzy podpowiadającej nam, że powinniśmy przezwyciężyć, opanować lub odeprzeć strach, tak naprawdę jest to mechanizm przetrwania, który chroni nas przed niebezpieczeństwem. Natura tego mechanizmu jest jednak sporna.

Charles Darwin spopularyzował ideę, zgodnie z którą emocje są wrodzonymi stanami psychicznymi wyrażanymi za pośrednictwem różnorodnych wyrazów twarzy i zachowań; niektóre z nich są instynktowne, a inne nabyte. Współcześni neurobadacze zwykle zgadzają się z tą teorią i wskazują na wiązki komórek w dwóch obszarach mózgu nazywanych ciałem migdałowatym (i mających kształt migdała), które służą jako system wykrywania zagrożeń. Znajdujący się tam kłębek neuronów odbiera zewnętrzne bodźce, które wskazują na zagrożenia, i wywołuje fizjologiczne reakcje – pot, wzmożone tętno czy płytki oddech – oraz zachowania odruchowe, włącznie z reakcjami w postaci walki lub ucieczki.

W ostatnich latach wyjaśnienie to zostało jednak zakwestionowane i niektórzy naukowcy uważają, że strach nie może zostać w ten sposób zlokalizowany. To, co nazywamy „strachem", może tak naprawdę nie być częścią konkretnego neurologicznego obwodu, lecz prawdopodobnie rozmieszczone jest po różnych funkcjach mózgu; wydaje się, że ciało migdałowate odgrywa, co prawda, ważną rolę w przypadku wspomnień związanych z niebezpieczeństwem, ale dowody wskazują, że można doświadczać strachu nawet wówczas, gdy jest ono uszkodzone. (…)

Joseph LeDoux, neurobadacz z Instytutu Emocjonalnego Mózgu

Strach jest środkiem pozyskiwania władzy i jest wzbudzany przez ludzi, którzy na nim korzystają.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b4797edfc

(ang. Emotional Brain Institute) na New York University, zgadza się, że reakcje ciała nie są kluczowym elementem strachu. Według naukowca powinniśmy postrzegać lęk jako coś odmiennego od reakcji obronnych wywołanych zewnętrznymi bodźcami – często zachodzą one jednocześnie, gdyż sprowokowane są tymi samymi bodźcami, lecz powodują inne rezultaty w mózgu. Jak pisze LeDoux: „Uważam, że strach, niepokój i inne emocje są dokładnie tym, za co ludzie od zawsze je uważali – świadomymi odczuciami". Innymi słowy, strach należy do naszej „świadomości emocjonalnej" i podobnie jak wszystkie nasze emocje jest to konstrukcja kognitywna, psychiczny model sytuacji, który nie tylko decyduje o tym, co czujemy, lecz także umożliwia zarówno nowe, świadome podjęcie decyzji, jak i podjęcie procesu kontroli zachowania.

W wielu aspektach współczesny świat jest zbudowany na strachu.

Jak jednak powinniśmy rozróżniać strach od innych terminów, z którymi częściowo się on pokrywa? Mimo że „strach" i „niepokój" są zrozumiałe wyłącznie wspólnie, to na podstawie swoich badań LeDoux twierdzi, że „angażowane są odmienne mechanizmy mózgowe w zależności od tego, czy dany stan wywołany jest obiektywnym i teraźniejszym zagrożeniem, czy niepewnym wydarzeniem, które być może wydarzy się w przyszłości". (…)

Łatwo się skupić wyłącznie na terminologii, i to aż do tego stopnia, że śledzenie historii strachu może się przekształcić w zaawansowane ćwiczenie z semantyki. Być może zatem w tym właśnie momencie powinniśmy przywołać sformułowaną przez Ludwiga Wittgensteina, urodzonego w Austrii filozofa, koncepcję semantycznych „rodzinnych podobieństw". Jak zasugerował Wittgenstein, słowa nie oddają istoty danego zewnętrznego obiektu lub konceptu, lecz istnieją w odniesieniu do sieci innych słów o podobnym znaczeniu. Z tego punktu widzenia strach jest częścią rodziny składającej się z wielu słów o silnych podobieństwach – są to, na przykład: „niepokój", „groza", „przerażenie", „panika", „histeria", „paranoja" itd. Być może siła strachu leży właśnie w jego nieprzejrzystości, niejednoznaczności i trwałości jako uczucia, zachowania, idei i narzędzia. (…)

Strach kształtowany jest przez wydarzenia z przeszłości – przez nasze pochodzenie, wychowanie i przynależność do danej społeczności jesteśmy przygotowani do doświadczania go w konkretny sposób.Jeśli tylko zgadzamy się, że strach ma ten nabyty wymiar społeczny i kulturowy, uznajemy możliwość, że da się go oduczyć i że nasze reakcje mogą być regulowane. „Lęki są wyuczane i jeśli chcemy, mogą być także oduczane", napisał w 1927 r. amerykański psychiatra Karl Menninger. Strach rozumiany w taki sposób ma charakter osobisty, plemienny i adaptacyjny, a w przeciwieństwie do podstawowej biologicznej funkcji wykrywania zagrożeń i reakcji na nie jest on również uwarunkowany ani nabyty. Ponadto odgrywa kluczową rolę w organizacji i regulacji społeczeństw i manifestowany jest na określone sposoby w różnych momentach i kulturach. Dlatego właśnie jeśli chcemy pojąć naturę strachu, musimy zrozumieć jego historię i lokalne środowiska, w których powstaje. (…)

Strach nie musi jednak zawsze być odgórnym zjawiskiem napędzanym przez elitę polityczną – może również kierować się ku górze z dołu, z populistycznych ruchów zarządzanych przez charyzmatycznych, niemal autokratycznych „antyestablishmentowych" liderów i ich ugrupowania. Obecnie polityczne niepokoje pochodzą z dwóch stron: od osób obawiających się o konsekwencje rewolucyjnego populizmu oraz od ruchów populistycznych nieufnych wobec mediów i instytucji państwowych; za przykład mogą służyć republikańska kampania Donalda Trumpa pod hasłem „Make America Great Again" (pol. „Uczyńmy Amerykę znów wielką") lub partia Fidesz – Magyar Polgári Szövetség (pol. Fidesz – Węgierski Związek Obywatelski) Viktora Orbána na Węgrzech. Jak przyznał Steve Bannon, były strateg Trumpa: „To złość i strach prowadzą ludzi na wybory".

Strach również niekoniecznie musi być despotyczny lub autokratyczny: może być korzystny dzięki spajaniu społeczności lub kontrolowaniu rządzących. Może być także kluczowy dla istnienia wolności. W swojej książce „Pojęcie lęku" opublikowanej w 1844 r. Søren Kierkegaard, duński filozof i teolog, przekonuje, że zdolność człowieka do podejmowania decyzji może wywoływać paraliżujący lęk, a nawet przerażenie. Zaprasza nas również do wyobrażenia sobie, że znajdujemy się na szczycie klifu i spoglądamy w dół; co prawda wzdrygamy się na myśl o tym, że możemy spaść w tę „ziejącą otchłań", lecz jednocześnie odczuwamy niepokojącą chęć skoku w przepaść tylko dlatego, że możemy to zrobić. Nasza wolność wyboru, jak sugeruje Kierkegaard, kreuje zatrważające możliwości prowadzące do miażdżącego zawrotu głowy.

Jednocześnie polityczne, religijne i społeczne systemy, w których żyjemy – o charakterze demokratycznym czy totalitarnym, świeckim czy teokratycznym, liberalnym czy nieliberalnym – są wynikiem walk o okiełznanie, uprzedmiotowienie i zneutralizowanie strachu. Brytyjscy abolicjoniści pod koniec XVIII w. udramatyzowali terror niewolnictwa, próbując je tym samym zakończyć, a demokratyczne państwa wykorzystywały lęk, aby zachęcić do wspólnego działania. Zarówno średniowieczny Kościół, monarchie absolutne czy państwa kolonialne, jak i liberalne demokracje rozumiały siłę strachu i opracowały strategie włączenia go do swojej agendy. W wielu aspektach współczesny świat jest zatem zbudowany na strachu.

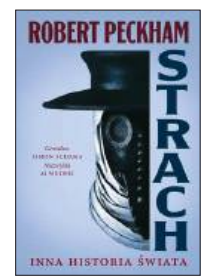

Fragmenty książki Roberta Peckhama *Strach. Inna historia świata*, przeł. Aleksandra Ożarowska, Znak Horyzont, Kraków 2024

eprasa.pl 4b4797edfc

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Przeminęło z wiadrem

Ilekroć mi się przydarzy w niejakiej gościnie zastać włączony telewizor, najczęściej leci jakiś kanał informacyjny, co w czasie kampanijnym oznacza, że jeśli nie trafię akurat na blok reklamowy, będzie dyskusja o polityce albo dyskusja polityków. Natychmiast mi się wtedy w głowie odtwarza genialna przeróbka „Bésame mucho" autorstwa Tomasza Radziszewskiego z płyty Świetlików „Las putas melancólicas y exclusivas". „Znowu się, znowu się kłócą. Mówią do siebie słowami ordynarnymi…". Działa mi to na nerwy szczególnie, bo pochodzę z domu złego, starzy codziennie darli na siebie mordy, nie zważając na pozostałych domowników; odtąd tak już mam, że kiedy się kto z kim kłóci, to mnie parzy w serce.

Ostatnio przyjaciel kupił sobie do vana telewizor samochodowy made in China; zachwalał: mecze oglądał, wracając z nart. Postanowił we wspólnej ze mną podróży do jednego z niewesołych miasteczek oglądać debatę prezydencką, ale obraz się zawiesił akurat na etapie transmitowania „przygotowań do debaty", czyli wypełniania czasu ględźbą dziennikarską i pocztówkami z miasta Końskie. Tuż po tym, jak pokazano prawdopodobnie zabytkową studnię, kadr nam zastygł na niezabytkowym wiadrze i już nic nie dało się z tym zrobić, mogliśmy tylko słuchać.

W tym wiadrze nie pomieściłyby się pomyje wylewane na głowy sztabowców Trzaskowskiego za w dwójnasób chybiony pomysł debatowania z pisowskim zakapiorem: zamieszany nadawca publiczny wypierał się, jakoby finansował lub współfinansował to wydarzenie, ale smród pozostał, w powszechnej opinii TVP w kaczystowskim stylu wzięła udział w kampanii wyborczej kandydata obozu rządzącego.

Szymon Hołownia postanowił „rozbić tę ustawkę", co zachęciło także lwią część pozostałych kandydatów do szarży na Końskie, w końcu doszło do debaty ośmiorga kandydatów, a raczej publicznego grillowania Trzaskowskiego przez wrogich mu rywali politycznych lub obrażonych koalicjantów. W efekcie tak zmasowanej kanonady lider sondaży w głębokiej defensywie próbował się wybronić, choć, zażywany z mańki symbolicznej (sztafeta tęczowej chorągiewki) i retorycznej (Hołownia jako stary telewizyjny wyjadacz zawsze w debacie wypadnie najlepiej), nie uniknął kiksów. Po debacie spadło mu 5%, Nawrockiemu tyleż wzrosło, sztabowcy prezydenta stolicy już zbierają zasłużone recenzje, że ani do wiadra, ani do polityki się nie nadają, bo krowy doić też trza umieć, a z takimi kompetencjami to tylko, jak mawiał dziadek Ziuk, „kury szczać prowadzać".

Jedyna pociecha w tym, że Mentzen się nie ogarnął, więc jemu spadło najwięcej, nieobecni nie mają racji, lubo w tym przypadku obecność niczego nie zmienia, temu gagatkowi to racje żywnościowe co najwyżej można przyznać, na wypadek gdyby żona się zbuntowała i przestała go karmić (jak facet się przyznaje, że w domu umie co najwyżej zrobić herbatę, bo do innych spraw kuchennych ma dwie lewe ręce, to ja bym mu jednak kraju nie powierzał, zaprawdę już lepiej zawierzyć Polskę Maryi albo Latającemu Potworowi Spaghetti).

Mimo wszystko o wybory prezydenckie martwię się mniej – jeśli pisowcy nie trzymają w ukryciu na finisz jakiejś bomby, wedle moich przeczuć przewaga Rafała nie stopnieje poniżej niebezpiecznego progu i w drugiej turze zwycięży z dużą przewagą – niż o losy koalicji rządzącej.

Mimo wszystko o wybory prezydenckie martwię się mniej niż o losy koalicji rządzącej.

Ta rywalizacja nie wygląda na przyjacielską przebieżkę, tu już się używa tnącego ostrza złośliwości i ciacha po ścięgnach, zwłaszcza ambicje marszałka przyprawiają mnie o konfuzję, kiedy np. wyszydza wybór między „bokserem a bonżurem" lub gorączkuje się w mediach społecznościowych, że demokracja może „przerwać różowy sen Rafała o zwycięstwie". Trudno mi uwierzyć, by przy takim poziomie złych emocji nie nastąpiła powtórka sprzed pięciu lat, gdy przed drugą turą Hołownia nie zadeklarował poparcia dla Trzaskowskiego. Rafał i tak pewnie wygra, ale co z tego, skoro po takich kuksańcach rząd koalicyjny upadnie, bo już okiem gołym widać, jak się tam śrubki luzują i cała ta konstrukcja liberalno-konserwatywno-ludowa, dzięki której władzę straciła w Polsce populistyczna prawica, niebawem runie z łoskotem. Trudno mi sobie wyobrazić skutki takiej katastrofy.

Przez półtora roku nie pisałem felietonów o krajowej polityce, bo przy wszystkich swoich sejmowych narowach zdawała mi się zdrowa i szczęśliwie nudna – dopóki kryptofaszyści i katotaliban tkwią w opozycji, nie ma na co się zżymać. No ale znowu się, znowu się kłócą po naszej stronie. Jakby nie wiedzieli, że bramki są tylko dwie, wolą kopać bez sensu po autach. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b4797edfc

Schody niezgody

Mieszkańcy Barcelony są przeciw budowie schodów do bazyliki Sagrada Família. Trzeba by wysiedlić tysiące rodzin i firm, wyburzyć domy

Tomasz Skowronek

Nad Sagrada Família wciąż górują potężne dźwigi. Wewnątrz słychać stuk młotów, odgłosy ciętego i szlifowanego kamienia, ale koniec 143-letnich prac budowlanych jest bliski. Esteve Camps, prezes organizacji odpowiedzialnej za realizację pierwotnego planu Antoniego Gaudíego, powiedział, że jeśli budowa pójdzie zgodnie z planem, do 2026 r. uda się skończyć wysoką na 172,5 m centralną wieżę poświęconą Jezusowi Chrystusowi. Dzięki temu Sagrada Família stanie się najwyższym budynkiem w Barcelonie. Miałoby to upamiętnić 100. rocznicę przedwczesnej śmierci Gaudíego w 1926 r. Jednak prace nad innymi rzeźbami i dekoracjami, a także nad kontrowersyjnymi schodami prowadzącymi do miejsca, które miałoby być wejściem głównym, potrwają do 2034 r. Camps potwierdza, że bazylika może zostać ukończona w ciągu niecałej dekady, ale tylko gdy rada miasta udzieli pozwolenia na budowę jej najbardziej spornej części.

Cud architektury czy zarzewie konfliktu?

Plany zbudowania schodów wywołały sprzeciw mieszkańców, bo jeśli zostaną wprowadzone w życie, będzie to się wiązało z wyburzeniem budynków mieszkalnych i biurowych w sąsiedztwie bazyliki oraz eksmisją tysięcy rodzin i znajdujących się na tym terenie firm. „Czekamy na decyzję rady, czy będziemy kontynuować realizację tego projektu. Bez niej nie możemy nic zrobić”, powiedział Camps w Euronews Culture. Przyznał jednak, że plany mogą zostać zmienione. „Jeśli schody będą szersze, będzie to miało wpływ na jeszcze większą liczbę mieszkańców. To kwestia do negocjacji. Wymiary można zmniejszyć. Rada zna nasze potrzeby i czekamy na jej decyzję”, dodał.

Temple Expiatori de la Sagrada Família (Świątynia Pokutna Świętej Rodziny) to jedna z najambitniejszych autorskich realizacji architektonicznych wszech czasów. Jest znakiem rozpoznawczym Barcelony.

Nad świątynią Sagrada Família wciąż górują potężne dźwigi, ale koniec 143-letnich prac budowlanych jest bliski.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b4797edfc

Jej budowę rozpoczęto w 1882 r. To dzieło Gaudíego, który, podobnie jak wielu architektów i projektantów katedr, zmarł, nie doczekawszy ukończenia swojego dzieła. Ale zamysłem tego głęboko wierzącego artysty i architekta rewolucjonisty było stworzenie najbardziej niezwykłej budowli sakralnej na ziemi, w stylu, jakiego jeszcze nie było. „Katedry dla ludu", jak ją nazywał.

Od początku prac budowniczym stawały na przeszkodzie wojna, zaniedbania i brak finansów. Pozostawiony samemu sobie przez władze świeckie i kościelne Gaudí wydał na bazylikę cały swój majątek. W ostatnich latach życia chodził od drzwi do drzwi, żebrząc, i wciąż jakoś udawało mu się budować ją dalej. Aż do śmierci.

W 1936 r., na początku wojny domowej, anarchiści podpalili kryptę i zniszczyli warsztat Gaudíego oraz gipsowe modele, które wykonał jako wskazówki dla swoich następców, aby ukończyli dzieło. Architekt Lluís Bonet i Garí uratował ich fragmenty, a modele zostały złożone na nowo. Wiele szczegółów technicznych dotyczących sposobu realizacji projektu Gaudíego zostało później dopracowanych przez nowozelandzkiego architekta Marka Burry'ego

Sagrada Família jest uważana za jeden z cudów współczesnego świata, ale nie zawsze tak było. Salvador Dalí opisał jej „przerażającą i jadalną urodę", podczas gdy George Orwell uważał ją za „jeden z najbardziej odrażających budynków na świecie" i skomentował, że anarchiści wykazali się brakiem smaku, nie wysadzając jej w powietrze, gdy mieli okazję. Brytyjski pisarz i historyk Gerald Brenan stwierdził: „Nawet w europejskiej architekturze tego okresu nie można znaleźć niczego tak wulgarnego i pretensjonalnego". „The Telegraph" opublikował zaś artykuł atakujący bazylikę, w którym została nazwana „najbrzydszą katedrą na świecie".

Czy Gaudí chciał tych schodów?

Do dzisiaj zarówno bazylika, jak i jej rozbudowa budzą kontrowersje i emocje. Obecnie punktem spornym są ogromne schody. Miałyby one prowadzić od głównej Fasady Chwały do Carrer d'Aragó, arterii, symbolizując drogę z piekła do zbawienia. Niestety, aby powstały, konieczne będzie zburzenie wielu budynków.

Trzeba pamiętać, że w chwili rozpoczęcia prac wokół świątyni było pusto, dopiero z biegiem lat wyrosły tam zabudowania. Sporny obszar obejmuje 3 tys. domów (ok. 10 tys. mieszkańców) i 50 lokali użytkowych. Na niektórych balkonach wiszą transparenty z hasłami: „Nasze mieszkania są legalne", „Moje życie jest tutaj, a oni chcą je zniszczyć".

„Od ponad 40 lat wisi nad nami miecz Damoklesa. Obawiamy się, ponieważ nie wiemy, co się z nami stanie", mówi Salvador Barroso, lider stowarzyszenia osób, które budowa może pozbawić dachu nad głową. „Eksmitują mnie po tym, jak zapłaciłem za mój dom. Dlaczego? Z powodu uporu zarządzających projektem Sagrada Família w sprawie budowy schodów, których nie było w planach Gaudíego". Barroso cytuje ekspertów, którzy mówią, że schody nie są dziełem Gaudíego, zostały zaprojektowane później przez jego uczniów, aby „mieć pretekst do proszenia o datki".

Mieszkańcy twierdzą, że schody nie były częścią oryginalnych planów Gaudiego, argumentując, że brakuje dokumentacji potwierdzającej ich zaprojektowanie. A jeśli nie ma tych oryginalnych szkiców, budowa schodów będzie tylko niepotrzebnym zakłóceniem spokoju społeczności. Już w 2018 r. stowarzyszenie społeczne ujawniło dokument hiszpańskiego ministerstwa kultury z 1975 r., wskazujący – jak uważali członkowie – że Gaudí nigdy schodów nie zaprojektował.

Wbrew ich opiniom ekipa budująca bazylikę Sagrada Família przypisuje schody architektowi, powołując się na artykuł opublikowany w gazecie „La Veu de Catalunya" 10 października 1907 r., kiedy geniusz jeszcze żył. „Sprawa wejścia do świątyni pozostaje nierozwiązana, a główne drzwi, ze względu na wysokość, zaczynają się na poziomie pierwszego piętra. Aby się do nich dostać, Gaudí zaprojektował most nad ulicą zakończony dwoma dużymi ciągami schodów", czytamy w nim.

Historycy tacy jak Julià Bretos sugerują, że wizja Gaudíego rzeczywiście obejmowała schody, i powołują się na zachowane fotografie, szkice oraz relacje asystentów architekta.

Rozwiązanie dla wszystkich

Prace budowlane są finansowane z wpływów z biletów wstępu od turystów odwiedzających bazylikę. Koszt biletu to kwota od 26 do 36 euro. Pod uwagę brane są także darowizny. A tych jest sporo.

W 2024 r. świątynię odwiedziło 4,83 mln osób, czyli o 2,7% więcej niż w roku 2023. To najwyższa liczba zwiedzających bazylikę – najczęściej odwiedzaną atrakcję turystyczną w Hiszpanii i drugą najczęściej odwiedzaną bazylikę na świecie po bazylice św. Piotra w Watykanie.

Sagrada Família to najczęściej odwiedzana atrakcja turystyczna w Hiszpanii i druga najczęściej odwiedzana bazylika, po bazylice św. Piotra w Watykanie.

Kontrowersje wokół budowy schodów postawiły radę miasta w trudnej sytuacji. Z jednej strony, istnieje silne lobby naciskające na zachowanie domów i przedsiębiorstw, które musiałyby zostać zburzone lub przeniesione. Z drugiej – kulturowe i historyczne znaczenie ukończenia dzieła Gaudíego jest bardzo ważne. Rada podjęła rozmowy z różnymi interesariuszami, w tym stowarzyszeniami sąsiedzkimi i Fundacją Sagrada Família, próbując znaleźć rozwiązanie, które zadowoli wszystkie zaangażowane strony.

W 2024 r. bazylika zarobiła 133,9 mln euro – 96,9% tej kwoty pochodziło ze sprzedaży biletów – i wydała 86,2 mln euro, z czego 44,7 mln przeznaczono na jej budowę. ■

eprasa.pl 4b4797edfc

Jak **jelita** rozmawiają z mózgiem

Mózg komunikuje się z jelitami, ale 90% komunikacji przebiega w drugą stronę – to jelita przekazują informacje do mózgu

Dr Emily Leeming

Mózg sięga daleko

Mózg, bryła wielkości kalafiora umieszczona w głowie, jest niezwykle złożonym organem – siedliskiem twoich myśli, uczuć i decyzji. Zarządza wieloma procesami organizmu, których nawet nie zauważasz (poza tym, że żyjesz i oddychasz). Przejdźmy więc do połączenia między mózgiem a jelitami. Kiedy jesteś podekscytowana, czujesz „motyle w brzuchu". Kiedy jesteś pewna, że coś wygrałaś, czujesz to w trzewiach, a kiedy jesteś przestraszona lub niespokojna, może skończyć się to pilną potrzebą pójścia do toalety. (…) Stan umysłu – stres, nastrój i emocje – może zmieniać samopoczucie i wpływać na jelita.

Twój drugi mózg

Jelita i mózg rozmawiają ze sobą. Przede wszystkim są fizycznie połączone. Mózg i rdzeń kręgowy tworzą centralny układ nerwowy. Kontroluje on twoje świadome decyzje, np. gdzie i kiedy chcesz pójść, a także mimowolne procesy, które zachodzą automatycznie, takie jak tętno, oddychanie i odruchy. Masz również drugi układ nerwowy, który obejmuje resztę ciała i jelita. Podobnie jak mózg i rdzeń kręgowy, także ten układ składa się z sieci komórek zwanych neuronami, które działają jak szlaki komunikacyjne biegnące z jelit, innych narządów i kończyn do mózgu i w drugą stronę. Neurony komunikują się ze sobą za pomocą sygnałów elektrycznych i chemicznych przy użyciu substancji zwanych neuroprzekaźnikami. Układ ten jest podzielony na wiele części, ale skupimy się na współczulnym, przywspółczulnym i jelitowym układzie nerwowym.

Współczulny układ nerwowy – „walka lub ucieczka" – jest odpowiedzialny za reakcję organizmu na niebezpieczeństwo i stres. Przygotowuje cię do ucieczki lub walki poprzez zwiększenie napływu krwi do mięśni i przyśpieszenie tętna.

Przywspółczulny układ nerwowy – „odpoczynek i trawienie" – działa jak hamulec dla współczulnego układu nerwowego. Pomaga przywrócić ciało do stanu relaksu, obniża tętno i wspomaga trawienie poprzez nerw błędny.

Jelitowy układ nerwowy – „drugi mózg" – to sieć neuronów w ścianach układu pokarmowego, od przełyku (rurki znajdującej się poniżej gardła) do odbytu. Może on zarządzać trawieniem bez bezpośredniego udziału mózgu i ma kluczowe znaczenie dla zdrowia jelit.

Jelita to drugi mózg? To prawda!

Jelita i mózg pełnią co prawda różne funkcje – mózg na pewno nie zacznie trawić za ciebie jedzenia, a jelita nie zaczną pisać wierszy ani rozwiązywać równań matematycznych – istnieją jednak między nimi zaskakujące podobieństwa. Mózg zawiera ok. 100 mld neuronów, natomiast jelita mieszczą ich ok. 500 mln, czyli więcej niż jakakolwiek inna część ciała i więcej niż ma mózg kota. Jelita mogą funkcjonować z zaskakującą niezależnością – jako dyrektor generalny własnej domeny – będąc

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b4797edfc

jednocześnie pod centralnym dowództwem mózgu. Dlatego też nazywane są często drugim mózgiem.

Jelitowy układ nerwowy:

• Kontroluje skurcze mięśni w ścianach przewodu pokarmowego, co pomaga w przechodzeniu pokarmu i płynów.

• Nakazuje wydzielanie soków trawiennych, które pozwalają rozkładać pokarm w żołądku i jelicie cienkim.

• Zapewnia dopływ krwi do układu pokarmowego, dzięki czemu możliwe jest dostarczanie tlenu i składników odżywczych do tego obszaru.

• Wyczuwa obecność pokarmu, gdy ściany układu pokarmowego są fizycznie rozciągnięte, a także rozpoznaje składniki odżywcze w tym, co zjadłaś.

• Współdziała z układem odpornościowym, ponieważ 70% komórek odpornościowych żyje w jelitach.

Jelitowy układ nerwowy musi koordynować wiele zadań, dlatego zawiera wiele różnych nerwów, z których każdy pełni inną funkcję. Dzięki temu nasz „drugi mózg" sprawuje kompleksową, precyzyjną kontrolę nad każdym aspektem funkcjonowania układu pokarmowego, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Jelita, mózg i nerw błędny

Jelitowy układ nerwowy – „drugi mózg" – ma bezpośrednie połączenie z „pierwszym mózgiem" za pośrednictwem długiego nerwu nazywanego nerwem błędnym. Jest to kluczowe fizyczne połączenie między jelitami a mózgiem. Ten dwukierunkowy system informuje mózg o tym, co się dzieje w jelitach, szczególnie podczas trawienia, i pomaga kontrolować pracę jelit. Jeśli chcesz się z kimś jak najszybciej skontaktować, nie piszesz do niego listu – podnosisz słuchawkę i dzwonisz. W przypadku jelit i mózgu najszybszym sposobem na wymianę informacji jest nerw błędny, który łączy je bezpośrednio ze sobą.

Nerw błędny – łącznik między jelitami a mózgiem

Nerw błędny jest jednym z najdłuższych w organizmie i sięga od mózgu do jelit i narządów w górnej części ciała. Działa on jako główna ścieżka komunikacyjna mózgu. (…) Jest to nerw parzysty. Lewy nerw błędny biegnie po lewej stronie szyi i przez górną część ciała, a prawy po prawej stronie. Jego łacińska nazwa *vagus* oznacza „wędrujący".

Nerw błędny biegnie od mózgu w dół, ma wiele odgałęzień w postaci nerwów podobnych do wąsów i dociera do poszczególnych narządów niczym droga łącząca stolicę z innymi miastami. Oplata serce, płuca i układ pokarmowy. Jeśli mózg chce sprawdzić, jak radzą sobie poszczególne organy, odpowiedź zwykle wraca przez nerw błędny. (…) Nie zdziwi cię raczej to, że mózg jako dyrektor generalny organizmu komunikuje się z jelitami, możesz być jednak zaskoczona, gdy dowiesz się, że 90% tej komunikacji przebiega w druga stronę – to jelita nieustannie przekazują informacje do mózgu. (…)

Mikrobiom matki

Związek mózgu z mikroorganizmami zaczyna się jeszcze przed narodzinami. Mózg zaczyna się rozwijać około dwóch tygodni od poczęcia – wielkiego wybuchu, w którym rodzice zapoczątkowali proces narodzin nowego człowieka. W tym momencie jest on tylko skupiskiem komórek nie większym niż kijanka, zagnieżdżonym w łożysku w macicy i stale rosnącym. Łożysko jest tymczasowym organem przymocowanym do ściany macicy, który rozwija się podczas ciąży, aby wspierać wzrost i rozwój dziecka aż do momentu narodzin. Pępowina łączy dziecko z łożyskiem i to za jej pośrednictwem otrzymuje ono z krwiobiegu matki składniki odżywcze, tlen i metabolity pochodzące z jelit. Mikrobiom jelitowy matki zmienia się w czasie ciąży przez kolejne trymestry. Dostosowuje koktajl składników mikrobiologicznych i dostarczanej energii do potrzeb dziecka, co pomaga mu rosnąć i rozwijać się. (…)

„Nie przejdziesz!" Bariera krew-mózg

Bariera krew-mózg jest w pewnym sensie podobna do wyściółki jelit chroniącej organizm przed ich zawartością. Działa jak fizyczna bariera chroniąca mózg przed niepożądanymi cząsteczkami i najeźdźcami. Jest to mikroskopijna membrana zawierająca połączenia ścisłe, czyli bramy. (…)

Bariera ta jest wysoce selektywna i świetnie wykonuje swoją pracę. Bramki w barierze krew-mózg są bardzo małe, więc tylko małe cząsteczki mogą się przez nią przedostać. Niektóre większe cząsteczki, takie jak glukoza, główne źródło energii dla mózgu, są również wpuszczane, ale tylko na specjalne zaproszenie. Muszą przejść przez specjalne drzwi, które otwierają się jedynie dla nich.

Zaraz po urodzeniu zaczynamy kształtować własny mikrobiom jelitowy, mikrobiom matki ma jednak wpływ na rozwój naszego mózgu także po porodzie. Stwierdzono, że przeniesienie mikrobiomu pochwy matki (który zasiewa mikrobiom jelitowy dzieci urodzonych przez kanał rodny) do jelit dzieci urodzonych przez cesarskie cięcie poprawiło rozwój ich mózgu w wieku trzech i sześciu miesięcy.

Naukowcy są w stanie dokładniej określić, jak rozwija się mózg dziecka, na podstawie mikrobiomu jego mamy niż na podstawie jego własnego mikrobiomu. W wieku dwóch lat mózg osiąga 80-90% docelowej objętości, jednak wpływ mikrobiomu jelitowego matki z czasów ciąży wciąż nie mija. Naukowcy byli w stanie przewidzieć, czy dwuletnie dziecko może mieć wczesne objawy lęku, jeśli jego mama miała mniej zróżnicowany mikrobiom jelitowy w trzecim trymestrze ciąży. (…)

Mikrobiom jelitowy a efektywność mózgu w dorosłości

Naukowcy łączą mikrobiom z siłą umysłu w wieku dorosłym. W niewielkim badaniu przeprowadzonym na dwudziestosześciolatkach ci, którzy mieli wyższy poziom pewnych „dobrych" bakterii jelitowych, znacznie lepiej radzili sobie z zadaniami umysłowymi. Łatwiej było im przyswajać nowe informacje i rozwiązywać problemy. Bakterie jelitowe prawdopodobnie wspierają mózg w utrzymaniu aktywności przez całe życie i są kluczowym czynnikiem starzenia się w dobrym zdrowiu. Wraz z wiekiem spada

eprasa.pl 4b4797edfc

ich różnorodność. Podanie starym myszom bakterii jelitowych pochodzących od młodszych i bardziej energicznych odwróciło oznaki starzenia się zarówno w ciele, jak i w mózgu, a także poprawiło ich pamięć.

To, co obciąża jelita, obciąża umysł

W pewnym dużym badaniu przeanalizowano dane zebrane od ponad 110 tys. mężczyzn i kobiet w wieku od 25 do 70 lat. Okazało się, że mózgi osób, które rzadko się wypróżniały, np. z powodu zaparć), funkcjonowały znacznie gorzej, co skracało życie. Częste biegunki również wiązały się z gorszym funkcjonowaniem mózgu. Naukowcy odkryli, że zależność między częstością wypróżnień a zdolnością do uczenia się i zapamiętywania była skorelowana ze składem mikrobiomu jelitowego, co podkreśla związek jelit z mózgiem.

Jak bakterie jelitowe rozmawiają z mózgiem: szlaki jelitowo-mózgowe

Bakterie jelitowe i mózg komunikują się na wiele różnych sposobów. Niektóre są dość bezpośrednie, jak pukanie do drzwi, by się przywitać. W innych przypadkach wiadomość może przechodzić przez wiele rąk i czasami zmieniać swój charakter – jak w przypadku poczty (która musi zostać odebrana, posortowana, a następnie dostarczona przez listonosza) lub wiadomości ustnej zmieniającej się w miarę przekazywania od jednej do drugiej osoby. (…)

Autostrada do nieba – nerw błędny

Nerw błędny dociera z mózgu do jelit, w szczególności do ich wyściółki, którą zamieszkuje mikrobom jelitowy. Jest to jeden ze sposobów, w jaki mózg jest w stanie oddziaływać na skład mikrobiomu jelitowego – może bezpośrednio kontrolować wydzielanie soków trawiennych, wchłanianie pokarmu i inne czynniki, które wpływają na rozwój lub śmierć bakterii. Bakterie jelitowe również przekazują informacje zwrotne. Mogą mieć wpływ na poziom stresu, energii, nastrój i wiele innych czynników.

Neuroprzekaźniki

Neuroprzekaźniki to posłańcy mózgu i układu nerwowego. Są to sygnały chemiczne, które pozwalają neuronom komunikować się ze sobą i z innymi komórkami. Mają kluczowe znaczenie dla nastroju, choć odgrywają również rolę w innych aspektach funkcjonowania organizmu. Prawdopodobnie słyszałaś już o najsłynniejszym z nich – serotoninie, nazywanej „hormonem szczęścia". Zaskakujący może być fakt, że wiele neuroprzekaźników jest produkowanych zarówno w jelitach, jak i w mózgu. 90% serotoniny i 50% dopaminy jest wytwarzane przez jelita z pomocą mikrobiomu.

W mediach społecznościowych można natknąć się na hasła w rodzaju: „Dziewięćdziesiąt procent hormonu szczęścia powstaje w jelitach". Nie jest to jednak takie proste. Serotonina produkowana w jelitach z pomocą zamieszkujących je bakterii nie może przekroczyć bariery krew-mózg i bezpośrednio wpływać na nastrój. Cząsteczki neuroprzekaźników są zbyt duże i nie mogą przejść przez połączenia ścisłe w barierze krew-mózg. (…) Neuroprzekaźniki obecne w układzie pokarmowym mają inne cele niż w mózgu.

- **Serotonina w mózgu**: Jest znana jako „hormon dobrego samopoczucia" lub „hormon szczęścia". Nie tylko wpływa na nastrój i emocje, ale także wspiera regulację snu i apetytu. Dzięki niej czujesz się syta, co pomaga ci powstrzymywać się od podjadania. Jest celem wielu leków przeciwdepresyjnych.
- **Serotonina w jelitach**: Jest produkowana głównie przez komórki wyściełające jelita (z pomocą bakterii jelitowych). Pomaga w trawieniu, koordynując przepływ pokarmu przez jelita poprzez kurczenie odpowiednich mięśni.
- **Dopamina w mózgu**: Hormon „lubię to, zrób to jeszcze raz". Jest związana z odczuwaniem przyjemności, motywacją i nagrodą oraz uwalniana w oczekiwaniu lub w odpowiedzi na aktywności, które sprawiają nam przyjemność – np. jedzenie czegoś smacznego, słuchanie ulubionej muzyki lub widok uroczego szczeniaka. Zachęca do powtarzania przyjemnych rzeczy.
- **Dopamina w układzie pokarmowym**: Dopamina jest produkowana rownież przez neurony „drugiego mózgu". W układzie pokarmowym pomaga w przemieszczaniu się jedzenia i w innych procesach trawiennych, takich jak wydzielanie soków żołądkowych i przepływ krwi. (…)

Neuroprzekaźniki wytwarzane w jelitach nie mogą co prawda przekroczyć bariery krew-mózg, naukowcy uważają jednak, że wpływają na mózg pośrednio. Są w stanie wysyłać sygnały do mózgu za pośrednictwem układu odpornościowego i nerwu błędnego i w ten sposób wpływać na nastrój. (…)

Układ odpornościowy

Mikroorganizmy jelitowe i ich metabolity wysyłają sygnały do komórek odpornościowych w mózgu za pośrednictwem wielu połączonych ze sobą szlaków. Wiele bakterii jelitowych zagnieżdża się w śluzie pokrywającym ściany jelit, co sprawia, że są one w bezpośrednim, niemal fizycznym kontakcie z komórkami nerwowymi i odpornościowymi osadzonymi w wyściółce jelit i tuż za nią. Te komórki nerwowe i odpornościowe są jak szpiedzy, którzy uważnie obserwują wszystko, co się dzieje, i szybko zgłaszają do mózgu wszelkie sygnały niebezpieczeństwa lub podejrzanej aktywności. Bakterie jelitowe mogą działać w tej sieci jako informatorzy. Wpływają na to, jak dobrze układ odpornościowy reaguje na zagrożenia pojawiające się w całym organizmie i jak komórki odpornościowe przesyłają sygnały do mózgu. 70% komórek układu odpornościowego żyje w jelitach, natomiast 15% w mózgu. Komórki odpornościowe mózgu są nazywane mikroglejem i stanowią jego pierwszą linię obrony. Bakterie jelitowe wywierają na nie duży wpływ od momentu urodzenia aż do dorosłości i mogą oddziaływać na to, jak skutecznie reagują w razie potrzeby. (…)

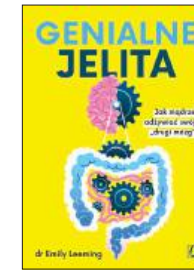

Fragmenty książki dr Emily Leeming *Genialne jelita*, przeł. Marcin Masłowski, Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2025

eprasa.pl 4b4797edfc

Carl Safina

EMPATIA SŁONI

Słonie pomagają sobie wzajemnie. Co jeszcze bardziej tajemnicze, czasem pomagają ludziom

Słonie rozumieją pojęcie współpracy. Współpracują ze sobą wzajemnie, pomagając osobnikom uwięzionym na błotnistych brzegach rzek, wspierając się przy opiece nad dziećmi czy podnosząc pobratymców, którzy doznali zranienia lub upadli. Potrafią stać u boku osobnika, któremu podano środki uspokajające, i go podtrzymywać. Pewnego razu badaczka Cynthia Moss widziała, jak mały słoń wpadł do niewielkiego zbiornika wodnego o stromych brzegach. Matka i ciotka nie dawały rady wyciągnąć młodego, więc inne słonie zaczęły rozkopywać jedną stronę zbiornika, by utworzyć rampę. Odrobina praktycznego podejścia pozwoliła uratować dziecko.

Innym razem młoda matka o imieniu Cherie, która chciała dołączyć do reszty rodziny, kilkukrotnie próbowała przekroczyć wartką i niebezpieczną rzekę w kenijskim rezerwacie Samburu. Podczas jednego z podejść woda zabrała jej trzymiesięczne dziecko. Cherie ruszyła w pościg bystrą rzeką, dogoniła młode i zaprowadziła w spokojne, odległe miejsce. Dziecko musiało opić się wody i wychłodzić, wyglądało bardzo kiepsko, a wkrótce po wyjściu na brzeg umarło. W Birmie J.H. Williams widział, jak słonica została porwana wraz z dzieckiem przez spiętrzoną rzekę: „Przyszpiliła cielę przy pomocy trąby do kamienistego brzegu. Potem z ogromnym wysiłkiem podniosła je samą trąbą, cofnęła się tak, że mogła stanąć na tylnych nogach, i ułożyła je na wąskiej skalnej półce półtora metra nad poziomem wody. Po wykonaniu tego zadania wpadła z powrotem w wartki nurt, który porwał ją, jakby była zrobiona z korka". Jednak pół godziny później, gdy przerażone dziecko wciąż drżało pozostawione na skałach, Williams usłyszał potężne trąbienie, „najwspanialszy odgłos matczynej miłości". Samica podążała wzdłuż brzegu, by odzyskać dziecko.

Matrona tak dopasowuje tempo marszu stada, by mieć pewność, że młode mają czas na odpoczynek.

Słoniątkom zwykle nie pozwala się zgubić. Matki trzymają je w zasięgu wzroku. Dzieciom nie pozwala się zostawać z tyłu. Matrona tak dopasowuje tempo marszu stada, by mieć pewność, że młode mają czas na odpoczynek.

W 1990 r. w Amboseli słonica Echo urodziła dziecko, które nie mogło wyprostować przednich nóg, ledwo dawało radę pić mleko. Słonik z bólem czołgał się na nadgarstkach, upadając raz po raz. Badacze byli przekonani, że zedrze sobie skórę i złapie infekcję, że nie przetrwa. Zastanawiali się, czy ukrócenie cierpienia nie byłoby słuszne. Zgodnie ze swoją naturą Echo i jej rodzina nie traciły wytrwałości,

eprasa.pl 4b4797edfc

podnosząc go za każdym razem, gdy upadał. Ośmioletnia córka Echo, Enid, również czasami szturchała młode, by pomóc mu wstać, ale Echo powoli i delikatnie ją odpychała. Stojąc nad dzieckiem, Enid często wtykała trąbę do pyska matki, wyraźnie szukając otuchy. Przez trzy dni udręczone młode czołgało się, a Echo i Enid zwalniały tempo, odwracając się ciągle, by je obserwować, i czekając, aż je dogoni. Trzeciego dnia słonik przysiadł i położył przednie nogi na ziemi, a potem „ostrożnie i bardzo wolno przeniósł na nie ciężar i wyprostował wszystkie kończyny jednocześnie". I chociaż upadł jeszcze kilka razy, czwartego dnia chodził normalnie i nie oglądał się za siebie. Wytrwałość jego rodziny – którą, gdyby wystąpiła u ludzi, nazwalibyśmy wiarą – uratowała go.

„Parę dni temu – mówi badaczka Vicki Fishlock – Eclipse zaczęła biegać w kółko, trąbić, wpadła w szał". Jej rodzina znajdowała się wówczas w odległości jakichś 230 m, dzieci były bezpieczne u boku samic. „Myślę, że jej syn przebywał wtedy z innymi słonicami i nie odpowiedział na jej wołanie – spekuluje Vicki. – Była taka zdenerwowana". Potem odnalazła młode i spokój powrócił. Cynthia Moss opowiadała o rocznym samcu, którego tak pochłonęła zabawa z kolegami z innej rodziny, że nie zauważył, jak jego rodzina się oddaliła. Krewni również nie spostrzegli braku młodego. Nagle spanikował i zawołał głosem „zagubionego dziecka". Kilka samic z jego rodziny natychmiast wróciło po niego, a on pobiegł ku nim tak szybko, jak mógł.

Podczas gdy małe dzieci stosunkowo szybko się znajdują, nastoletnie słonie potrafią tak zająć się kontaktami towarzyskimi, że naprawdę gubią rodziny. „Takie sytuacje są dla nich naprawdę bardzo stresujące", opowiada Vicki. W wietrzne wieczory, gdy słonie gorzej słyszą, potrafią biegać w tę i z powrotem, nawołując i nasłuchując odpowiedzi. „Czasami chciałoby się powiedzieć: «Idź dalej w tamtą stronę»". Nawet starszym słoniom, które tak się pilnują, zdarza się zgubić grupę, również najczęściej w wietrzne dni, gdy trudniej usłyszeć swoich. Są wtedy przerażone, biegają w kółko, nawołują. Odnalezienie rodziny wiąże się z emocjami. (…)

Niemądre byłoby założenie, że zagubione, spanikowane słonie nie odczuwają niepokoju. Nie mają może ekspresyjnej mimiki, ale, jak twierdzi Vicki, „robią miny z serii »martwię się«, »to podejrzane«, »zgubiłem się« – trudno mi samej określić, na czym to polega, ale można to wyczytać z ich twarzy".

Samotne zwierzęta są o wiele bardziej narażone na ataki drapieżników. Jako że zachowanie zagubionych słoni jest tak typowe i tak podobne do naszego w takich samych okolicznościach, można stwierdzić, że one, podobnie jak my, nie czują się komfortowo w pojedynkę wśród dzikiej przyrody, a przebywanie z innymi je uspokaja. (…)

Słonie rozumieją pojęcie współpracy. Potrafią stać u boku osobnika, któremu podano środki uspokajające, i go podtrzymywać.

•

Pewnego dnia Katito widziała słonicę ugodzoną oszczepem. Ruszyła jej na pomoc. Kiedy wracała wraz z weterynarzem, który miał podać zastrzyk z antybiotykiem i środkiem przeciwbólowym, w pobliżu był już drugi słoń, a oszczep leżał obok. Nikt jeszcze nie słyszał, by jeden słoń wyciągnął drugiemu oszczep z rany, musiał po prostu wypaść. Ale kiedy weterynarz trafił strzałką z lekarstwem w skórę zranionego osobnika, drugi je wyjął. Badacze widzieli też słonia, który wtykał jedzenie do pyska kolegi z poważnie uszkodzoną trąbą.

Badacze z Amboseli, Richard Byrne i Lucy Bates, twierdzą zgodnie: „Słonie są empatyczne". Pomagają cierpiącym. Pomagają sobie wzajemnie. Co jeszcze bardziej tajemnicze, słonie czasem pomagają ludziom. George Adamson, który pomagał wychować słynną lwicę Elzę z książki „Elza z afrykańskiego buszu", znał starszą, niedowidzącą kobietę z plemienia Turkana, zmuszoną niegdyś do spędzenia nocy pod drzewem. Obudziła się i dostrzegła nad sobą słonia. Obwąchiwał ją z góry na dół, ku jej przerażeniu. Inne słonie zbiegły się i zaczęły zrywać gałęzie, by ją przykryć. Kolejnego ranka jej jęki przywiodły na miejsce pasterza, który uwolnił ją z drzewnej klatki. Czyżby słonie uznały ją za martwą i urządziły pogrzeb? Byłoby to dość dziwne.

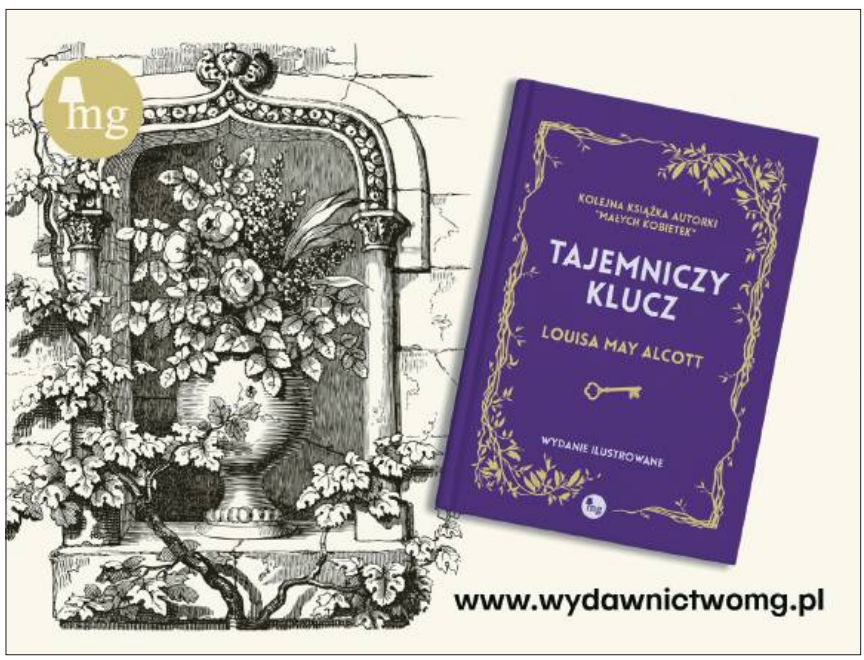

eprasa.pl 4b4797edfc

A może wyczuły jej bezbronność i w akcie współczucia postanowiły ochronić ją przez lampartami i hienami? To jeszcze dziwniejsze. Joyce Poole w książce „Coming of Age with Elephants" pisze o pasterzu, który złamał nogę w przypadkowej konfrontacji z matroną. Kiedy grupa poszukiwawcza odnalazła go pod drzewem w towarzystwie agresywnego słonia, pasterz zasygnalizował żywiołowo, żeby powstrzymać się od strzału. Później opowiedział, że matrona najpierw go uderzyła, a gdy dostrzegła, że nie może chodzić, przy użyciu trąby i przednich nóg przeniosła go kawałek dalej, w cień. Pilnowała go w nocy, dotykając od czasu do czasu trąbą, mimo że jej rodzina zdążyła się oddalić.

Empatia to coś wyjątkowego. Wielu uważa, że to ona „czyni nas ludźmi". Strach z kolei to chyba najstarsza, najbardziej podstawowa z emocji. Zaskakujące więc, że strach i empatia są ze sobą blisko powiązane, a strach to odmiana empatii. Empatia oznacza umiejętność wczucia się w czyjś stan emocjonalny. Kiedy gromada ptaków odlatuje, bo jeden z nich podrywa się do lotu, rozprzestrzenienie się uczucia nazywa się zarażeniem emocjonalnym. Płacz dziecka działa na podobnej zasadzie, przelewając niepokój na rodziców. Odebranie sygnału dotyczącego sytuacji alarmowej wymaga dostrojenia mózgu do czyichś emocji. To empatia. Kiedy strach twojego towarzysza wywołuje w tobie strach – zadziałała empatia. Kiedy oni ziewają i ty ziewasz – to też empatia. Korzeniami sięga ona do zaraźliwego strachu. Owszem, empatia jest szczególna. Ale występuje powszechnie. (Wiele osób z autyzmem doświadcza upośledzenia zdolności „odczytywania" uczuć innych).

Według ostatnich badań roczne dzieci, psy i koty próbowały pocieszyć „cierpiących" członków rodziny – którzy udawali płacz, ból czy duszenie się – poprzez, na przykład, położenie im głowy na kolanach. Ludzie i małpy człekokształtne w kontakcie z nacechowanymi emocjonalnie obrazami odpowiadają podobną reakcją mózgu oraz podwyższeniem temperatury. Ludzie reagują na obrazki pokazywane im przez czas tak krótki, że przekaz nie zdąży dotrzeć do świadomości. Wniosek: empatia jest automatyczna. Nie wymaga myślenia. Mózg automatycznie odpowiada dostrojeniem się do emocji, zanim sygnał dotrze do świadomości. (…)

Jane Goodall podkreśla, że szympansy i bonobo nie umieją pływać, ale w ogrodach zoologicznych z fosami potrafią podjąć „heroiczne wysiłki", by uratować tonących towarzyszy. Pewien dorosły samiec utonął, próbując uratować dziecko. Pewnego razu, po spuszczeniu wody z fosy w celach konserwacyjnych, opiekunowie ponownie odkręcili kurek, by ją napełnić. Nagle starszy samiec podszedł do okna, machając panicznie rękami, by zwrócić na siebie uwagę. Kilka młodych bonobo weszło do suchej fosy i nie mogło z niej wyjść. Utonęłyby. Stary samiec własnoręcznie uratował najmłodszego.

Szczur potrafi uwolnić innego szczura z zamkniętego pojemnika. Nawet jeśli w pojemniku obok jest czekolada, szczur najpierw uwolni kolegę, a potem podzieli się z nim smakołykiem. Empatia przechodzi więc we współczucie, w miłosierdzie i w końcu w altruistyczny czyn. Jako że pomaganie innym może się w przyszłości opłacić, w mózgu dochodzi do wyrzutu oksytocyny w ramach nagrody za bycie miłym. (…)

Podczas gdy małe dzieci stosunkowo szybko się znajdują, nastoletnie słonie potrafią tak zająć się kontaktami towarzyskimi, że gubią rodziny.

Dokładne przyczyny stojące za empatią i miłosierdziem u słoni pozostają w kręgu tajemnic. Nie wiemy, co słonie czują, ale wiemy, że czują. A może nie czują? Może słonie też szukają głębszego sensu życia i śmierci, który wymyka się im podobnie jak nam. Może nie tylko my przekraczamy ograniczenia rozumu i logiki dzięki umysłowi dość potężnemu, by dokonywać niemożliwego. Może rozmyślają tak samo jak my. Jeśli tak, to na pewno nie tylko one.

Fragmenty książki Carla Safiny *Co myślą i czują zwierzęta*, przeł. Dominika Dymińska, Filia, Poznań 2025

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 4b4797edfc

JOLKA

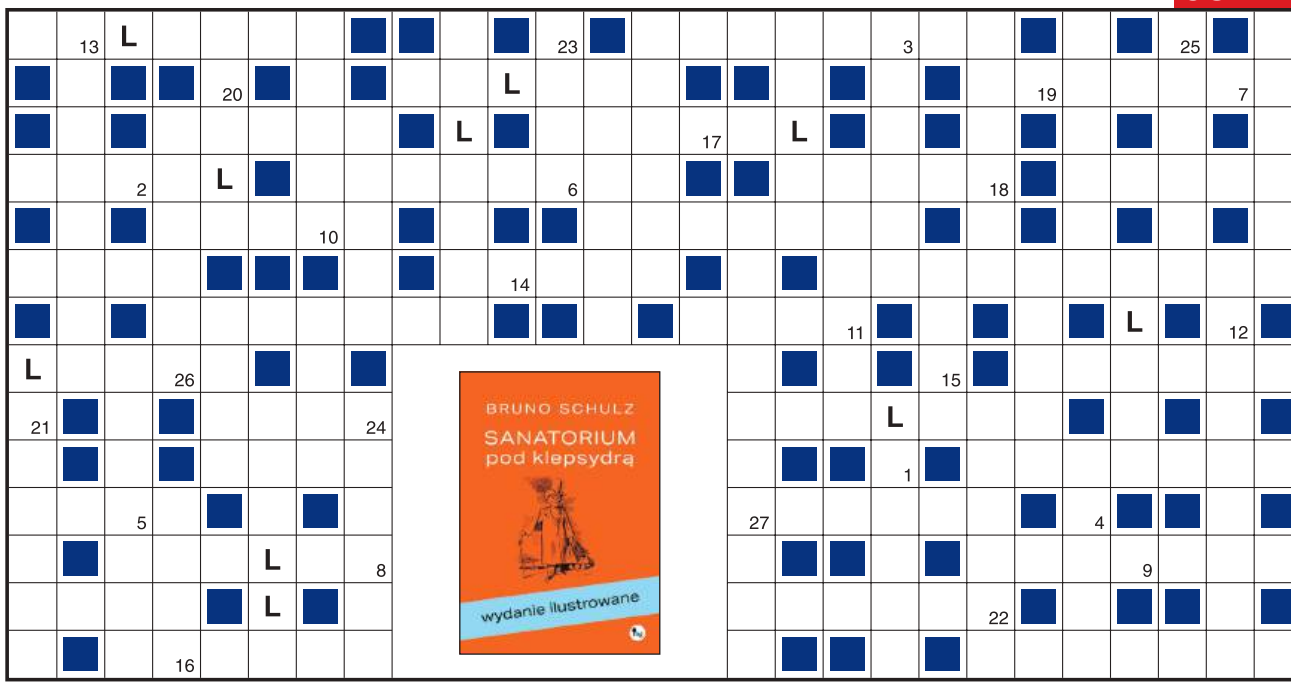

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- imię Sterna, wynalazcy, przodka Słonimskiego
- żelazne oczyszcza podejrzanego
- …Belwederski – rzeźba antyczna
- dubelt lub kszyk
- hiszpański taniec, kamizelka, kapelusz
- państwo z Sucre i La Paz
- „…w pomidorach" Joanny Chmielewskiej
- pajetka
- ...aż w uszach dzwoni
- tchórz potocznie
- suknia w tym stylu odcięta pod biustem
- literatura z narracją
- lekkomyślna wyprawa
- …Rachel Kamińska, aktorka
- pański albo Kozakiewicza
- w kompasie lub do gramofonu
- oszklona skrzynia do uprawy roślin
- sypią nimi zimne ognie
- pozaziemską jest Stich Disneya
- muzyka z Nowego Orleanu
- liche, podniszczone okrycie wierzchnie
- góry między Morzem Czarnym i Kaspijskim
- na piersi w koszulce
- budka straganiarza
- przeorysza
- prywatna – pokój wynajęty na wczasy
- była nią bohaterka „My Fair Lady"
- wody lub spuszczane manto
- do przenoszenia dawnego władcy
- duży i stary król sawanny
- miasto nad Bałtykiem i jeziorem Jamno
- najstarszy i zasłużony
- przykre wrażenie, odraza
- krewniak żyrafy z pręgami na nogach
- na… łez
- przywieziona z wakacji lub komunijna
- impreza z jedzeniem na powietrzu
- kolce mocowane do butów
- ustanawiany lub bity
- przedmiot potrzebny w sztuce, filmie
- specjalistka od poprawy fotek
- wczesna msza w adwencie
- wielka liczba ludzi
- dawny zimowy pojazd
- wielkouchy, cętkowany kot z sawanny
- treści lub powszechny
- zmowa, tajne porozumienie
- konta, posiadania, cywilny
- austriacki kraj związkowy z Grazem
- krakowska z haftowanym kołnierzem to kierezja
- wstawi szybę, zrobi lustro
- stolica Albanii
- gody cietrzewi
- do rzęs albo do drukarki
- „Przyjdzie… i wyrówna" Młynarskiego
- najstarszy syn Dymitra Dońskiego
- linijka wiersza
- „Hotel…", brytyjski sitcom
- selekcjonowane ziarno na… to kwalifikat
- „...na kraterze" Wańkowicza
- na świętego Grzegorza idzie do morza
- dawne miało duszę

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1218". Do rozlosowania książki „Sanatorium pod klepsydrą" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 kwietnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1215" z nr. 14: *Kto wiele obiecuje, mało daje*. Nagrody otrzymują: Zenon Lewiński z Dęblina, Jadwiga Marcinkiewicz z Wesołej, Grażyna Nowosielska z Wałbrzycha.

eprasa.pl 4b4797edfc

Wybory za granicą

Wybory to dla konsularników robota okropna – wszystko muszą zorganizować. I na nich wszystko się skrupia. Na razie jednak zaczepiony przy alei Szucha na schodach ważny człowiek, pytany o wybory, odpalił: „Chyba się uda”…

Przez lata podczas kolejnych wyborów mieliśmy mniej lub bardziej głośne awantury związane z głosowaniem Polaków za granicą. Atakowano MSZ: że przygotowało zbyt małą liczbę komisji, że Polacy w niektórych miastach muszą stać godzinami, by oddać głos, że część komisji ze względu na frekwencję nie jest w stanie przeliczyć na czas głosów. W Wielkiej Brytanii były miejsca, gdzie głosowało 20 tys. rodaków! Oglądaliśmy też obrazki z samych komisji – wycieńczonych ludzi, liczących głosy do rana, a potem czekających godzinami na zatwierdzenie protokołu wyborczego przez PKW.

Jest jednak nadzieja, że tym razem tak nie będzie. Nadzieja oparta na prostej przesłance – ministerstwo zabrało się do przygotowań wcześniej. Przede wszystkim zwiększyło liczbę obwodów wyborczych. Jeżeli onegdaj było ich w świecie 360, to teraz będzie ich – co MSZ z dumą przedstawiło – 508. Już istnieją, mamy adresy, wszystko jest gotowe. W porównaniu z tym, co działo się w poprzednich latach, kiedy w niektórych przypadkach konsulowie musieli szukać lokali na punkt wyborczy niemal do końca – mamy jakiś porządek.

A teraz pytanie zasadnicze: czy organizowanie wyborów za granicą ma sens? Czy warto? Odpowiedź opiera się często na pewnym micie, jeszcze żywym w niektórych grupach – micie Polonii chicagowskiej, która kocha ojczyznę i jest szczęśliwa, że podtrzymuje z nią więź, biorąc udział w wyborach. Łączy w ten sposób Polskę i Amerykę.

Ładny to obrazek, ale nieprawdziwy. Po pierwsze, Polonia w USA jest na pewno liczna, ale politycznie bez znaczenia. Zarówno w USA, jak i w Polsce. Zacznijmy od USA. Poseł PiS, były wiceminister spraw zagranicznych, Jan Dziedziczak, tak to określa, porównując Polonię w USA i w Kanadzie: proporcje są mniej więcej takie same, 10 mln w przeszło 300-milionowych Stanach i 1 mln w przeszło 30-milionowej Kanadzie. „Tylko ten 1 mln ma kilku parlamentarzystów federalnych, kilku parlamentarzystów w parlamentach prowincji, używając polskiej nomenklatury – samorządowców. Jest to udany proces. Natomiast jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to niestety – nad czym wszyscy ubolewamy – nie mamy adekwatnej reprezentacji naszych rodaków”. Innymi słowy, Polonia w USA jest wystarczająco silna, by zachęcić Andrzeja Dudę do wizyty, aby przyjechał np. do Doylestown, amerykańskiej Częstochowy. Ale już nie tak silna, by to sanktuarium raczył odwiedzić podczas kampanii wyborczej Donald Trump. Podobnie jest z wpływem w Polsce. W wyborach w 2020 i 2023 r. w całych Stanach Zjednoczonych oddano ok. 45 tys. głosów. To niewiele.

W wyborach w 2020 r. głosowało za granicą 516 tys. Polaków, w 2023 r. – 575 tys. Najwięcej w Wielkiej Brytanii (183 tys. i 146 tys.) i w Niemczech (84 tys. i 101 tys.). W Holandii 25 tys. i 32 tys., a we wspomnianej Kanadzie – po 11 tys.

Czy to są ważne liczby? Owszem, w wyborach w roku 2020 w II turze różnica między kandydatami wynosiła 421 tys. głosów, w roku 2015 – 518 tys. Pół miliona głosów ma znaczenie. I praca naszych konsularników ma tu głębszy sens.

Co ku ich pokrzepieniu piszemy.

Attaché

Wybory prezydenckie w Ekwadorze. Miasto Pujilí w prowincji Cotopaxi, 13 kwietnia 2025 r.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 4b4797edfc

PENETRACJE

PROF. ADAM DANIEL ROTFELD,
DYPLOMATA

Budowanie strategii państwa niezbędnego wymaga głębokich przewartościowań w polityce wewnętrznej. W praktyce oznacza to potrzebę i konieczność respektowania trzech fundamentalnych postulatów. Sprowadzają się one do kształtowania silnych i stabilnych instytucji, które będą stały na straży demokratycznego państwa, jego wartości i porządku prawnego. Instytucje te, a w szczególności sądy i prokuratura, nie mogą być zawłaszczane przez partie polityczne. I wreszcie, respektowanie zasady ciągłości w polityce zagranicznej jest na tyle istotne, że stanowi o skuteczności tej polityki.

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Europa jest słaba i podzielona. Wielka Brytania wróciła do splendid isolation. Wojska amerykańskie mają wyjść z Europy, co oznacza nie tylko, że Rosjanie dojadą metrem do placu Pigalle, ale i że Niemcy znowu będą problemem. Już słychać nad Renem głosy, że trzeba wyrzucić tych, którzy nie mogą udowodnić swojej niemieckości w trzecim pokoleniu. Za chwilę usłyszymy, że nie ma bardziej niemieckiego miasta niż Breslau. Obywatele Izraela, powstałego w wyniku silnych moralnych przesłanek i napadniętego przez palestyńskich bandytów 7 października 2023 r., w większości są za umocnieniem władzy rodzimych faszystów, którzy chcą wysiedlić nawet niewinnych Palestyńczyków (na Madagaskar?).

KATARZYNA BŁAŻEJEWSKA-STUHR,
DIETETYK KLINICZNY I PSYCHODIETETYK

Jeżeli przez 80% czasu odżywiamy się w sposób zbilansowany i urozmaicony, nic się nie stanie, gdy czasem, maksymalnie w 20% przypadków, odejdziemy od tych zasad. Jeżeli codziennie jem pół kilograma warzyw i raz na jakiś czas sięgnę zamiast nich po frytki czy hot doga, nic złego się nie stanie. Dużo problemów bierze się, jak często w życiu, z nadmiaru napięcia i stresu. Jeżeli będę się stresowała, że albo 100%, albo nic, to napięcie związane z dążeniem do ideału jest tak duże, że najprawdopodobniej za chwilę nasze ciało będzie chciało zjeść coś wysokokalorycznego, słodkiego albo tłustego, żeby zniwelować stres. Dajmy więc sobie te przyjemności. Jeżeli mam ochotę na chipsy, to wafel kukurydziany, paluszki z sezamem czy jabłko tej potrzeby nie zaspokoją. Kupuję więc małą paczkę chipsów, jem je i się cieszę, że robię coś, na co miałam ochotę.

MACIEJ MACIUSIAK,
TRENER SKOCZKÓW NARCIARSKICH

Troszeczkę było naruszone zaufanie na linii trener-zawodnik. Być może właśnie brak zaufania nie pozwalał, by wskoczyć o jeden czy dwa poziomy wyżej, choć wiele spraw było w kadrze fajnie poukładanych. Kiedy Adam Małysz zaproponował mi pracę, to natychmiast zadzwoniłem do Thomasa, usłyszałem od niego miłe, zachęcające słowa. Prosto z mostu odpowiedział: „Maciek, jedynie ty możesz się tym zająć". Thomas udanie wprowadził system pracy z trenerami bazowymi i to świetnie funkcjonowało. Jest mu naprawdę za co dziękować.

FOT. AMEM (2), SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 4b4797edfc

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

			D		

* oliwki w cieście

			K				

* fruwająca domówka

					M					

* komputerowa natka

ROZWIĄZANIA: KNEDLE, JASKÓŁKA, INFORMATYKA

Aby język giętki…

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ O LEWICY
Patronem dzisiejszej lewicy jest Narcyz – opiekun przebudzonych.

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI O KŁAMSTWACH
Nie wolno już odstąpić ani na krok, bo wszyscy znajdujemy się w szponach iluzji i szaleńców, kreujących świat pod swoje widzimisię.

OJCIEC PAWEŁ GUŻYŃSKI O PRYMASIE WOJCIECHU POLAKU
Potencjał ma, odwagi brakuje, ale na swoją miarę wojuje.

TOMASZ RACZEK O WOJCIECHU SMARZOWSKIM
Nie jest pupilkiem tzw. środowiska, bo chodzi swoimi drogami, nie łasi się, nie zgadza się na kompromisy.

ANDRZEJ MLECZKO O POMYSŁACH
Mam całą szufladę zanotowanych fajnych pomysłów, które codziennie błagają mnie, abym je wreszcie narysował.

JAN ENGLERT O TEATRZE NARODOWYM
Uważam się za Pigmaliona. Stworzyłem ten zespół. Chcę go chronić przed rozpadem.

JOLANTA FRASZYŃSKA O PRESJI
Dążę do życia pozbawionego przymusu i presji. Chcę żyć spokojnie i ze spokojem.

ALICJA MAJEWSKA O SWOICH PIOSENKACH
Teksty moich piosenek są pogodne, dają nadzieję, pewnie dlatego ludzie się do mnie uśmiechają.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 4b4797edfc

Raj

Summertime IV

NEOromantyzm Macieja Raucha

Na pierwszy rzut oka kompozycje Macieja Raucha wydają się łatwe do rozszyfrowania, lecz skrywają bogatą symbolikę, którą każdy może odczytywać na swój sposób. Nieodłącznym ich elementem są motywy roślinne i zwierzęce – motyle, świetliki, zające czy nietoperze, czasem w niepokojącej, niemal drapieżnej odsłonie. Postacie zaś często są pozbawione twarzy – jak mówi artysta, ma to ułatwić odbiorcom utożsamienie się z przedstawionymi scenami. Niekiedy powydzierane twarze zastąpione kosmicznymi pejzażami stają się swego rodzaju portalami do innego świata.

Galeria i Dom Aukcyjny ToTuart
Warszawa, plac Konesera 10A
do 15 maja

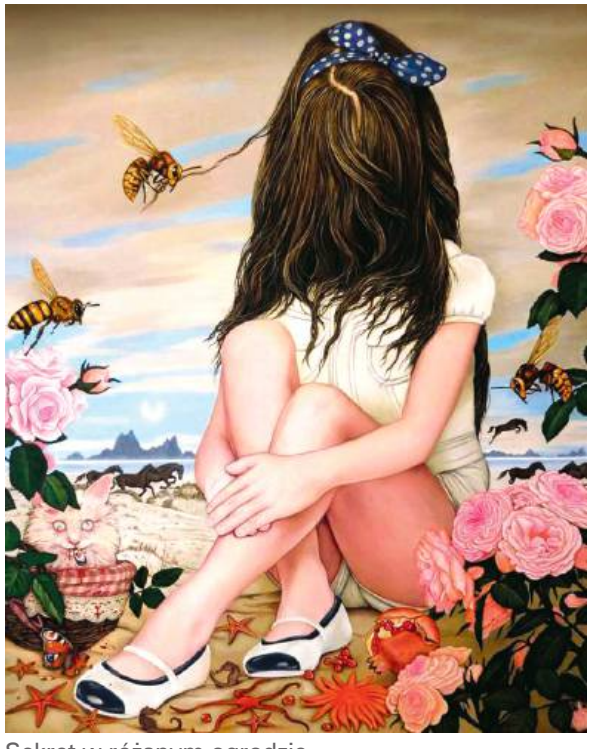

Sekret w różanym ogrodzie

Damy w słonecznikach

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b4797edfc

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

Republika Korei – Gość Honorowy

targiksiazkiwarszawa.pl

Światy Łączone Słowami
Republika Korei Gość Honorowy 2025

15-18 maja 2025
PKiN, plac Defilad i Muzeum Sztuki Nowoczesnej

Organizatorzy

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

PROJEKT. KSIĄŻKA

Gość Honorowy

Embassy of the Republic of Korea in Poland

한국문화원 Korean Cultural Center

Patronat honorowy

MARSZAŁEK SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ Małgorzata Kidawa-Błońska

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Minister Spraw Zagranicznych

patronat honorowy Prezydenta miasta stołecznego Warszawy

Patronat honorowy

BIBLIOTEKA NARODOWA

PAN

SBP

COPYRIGHT POLSKA

iBby

KOPD

POLSKA IZBA KSIĄŻKI

Wydarzenie towarzyszące

FKW

OJCE i dziadki

KONKURS ACADEMIA 2025

Mecenas

zaKS sprzyjamy wyobraźni

Patronat medialny

granice.pl

lubimyczytać

HIST MAG ORG

NOWA N

Patronat medialny

TVP info

TVP 3

TVP 3 WARSZAWA

TVP KULTURA

TVP abc

Rynek-Ksiazki.pl

POLSKIE RADIO

onet

eprasa.pl 4b4797edfc

50 LAT rampa TEATR NA TARGÓWKU

PREMIERA 23 MAJA

WITKACJA

WODEWIL NA KRAWĘDZI

REŻYSERIA: CEZI STUDNIAK • SCENARIUSZ: KAROLINA FELBERG-PAWŁOWSKA I ROMAN PAWŁOWSKI-FELBERG
MUZYKA: GRZEGORZ RDZAK • SCENOGRAFIA: MICHAŁ HRISULIDIS
KOSTIUMY: BARBARA SIKORSKA-BOUFFAŁ • CHOREOGRAFIA: ALISA MAKARENKO

Teatr Rampa na Targówku, ul. Kołowa 20, Warszawa, teatr-rampa.pl
Biuro Obsługi Widzów i Kasa tel.: (22) 679 89 76, +48 573 801 004
Sprzedaż biletów online: bilety.teatr-rampa.pl, ebilet.pl, kicket.com

Partnerem wydarzenia jest Samorząd Województwa Mazowieckiego
Mazowsze. serce Polski

eprasa.pl 4b4797edfc